

Isaac Bashevis Singer

MESZUGE

Tytuł oryginału: **Meshugah**

Przełożyła: Anna Zbierska

MESZUGE (jidysz)

szalony, zwariowany, pomyłony, obłąkany

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Zdarzało się nieraz, że ktoś, kto — jak sądziłem — zginął w obozie hitlerowskim, pojawiał się nagle, cały i zdrowy. Staralem się wówczas ukryć zaskoczenie. Na cóż stwarzać dramat lub melodramat, na cóż ten ktoś miałby wiedzieć, że pogodziłem się już z jego śmiercią? Jednak tego wiosennego dnia 1952 roku, kiedy otworzyły się drzwi mojego gabinetu w redakcji nowojorskiej gazety żydowskiej i stanął w nich Max Aberdam, pobladłem i musiałem chyba robić wrażenie przestraszonego, bo wykrzyknął:

— Nie bój się, nie przyszedłem z zaświatów, żeby cię udusić!

Wstałem i wyciągnąłem ramiona, aby go chwycić w objęcia, ale on podał mi rękę. Uścisnąłem ją. Nadal nosił fantazyjny krawat i aksamitny kapelusz z szerokim rondem. Był sporo ode mnie wyższy. Nie zmienił się zanadto od czasu, gdy widziałem go po raz ostatni w Warszawie, choć w jego czarnej brodzie dostrzegłem kilka siwych włosów. Tylko brzuch mu urósł i zaokrąglił się. Tak, to był ten sam Max Aberdam, warszawski mecenas malarzy i pisarzy, znany opój, żarłok i kobieciarz. W palcach trzymał cygaro, przy kamizelce wisiał złoty łańcuszek od zegarka, a spinki u mankietów skrzyły się drogocennymi kamieniami. Max Aberdam zazwyczaj nie mówił, tylko krzyczał — taki już miał sposób bycia.

— Przyszedł Mesjasz, a ja powstałem z martwych — zagrzmiał. — Nie czytasz własnej gazety? A może to ty jesteś już martwy? Jeśli tak, wracaj lepiej do grobu.

— Żyję, żyję.

— Ty to nazywasz życiem? Siedzenie w tej zadymionej norze i robienie korekty to życie? Tylko truposz by to wytrzymał. Na dworze wiosna, przynajmniej wedle kalendarza. Zauważyłeś, że w Nowym Jorku nigdy nie ma wiosny? Tutaj albo zamarzasz, albo się smażyysz. Chodź ze mną na lunch, bo jak nie, to zrobię z ciebie kotlet.

— Na górze czekają na tę korektę. Zajmie mi to najwyżej pięć minut.

Nie wiedziałem, czy zwracać się do niego po imieniu, czy bardziej oficjalnie, na „pan”. Był ode mnie prawie trzydzieści lat starszy. Jego tubalny głos rozniósł się wokół po innych pokojach i kilku znajomych dziennikarzy wetknęło głowy przez uchylone drzwi. Uśmiechali się do mnie, a jeden z nich mrugnął okiem, sądząc, że mój gość to jakiś kolejny przypadek kliniczny. Odkąd zacząłem prowadzić w gazecie rubrykę z poradami, często nachodziły mnie różne dziwne indywidua — zrozpaczone żony, którym zaginęli mężowie, młodzieńcy z planami zbawienia świata i ludzie przekonani, że dokonali jakichś niezwykłych przełomowych odkryć. Jeden z czytelników zwierzył mi się w tajemnicy, że Stalin był kolejnym wcieleniem Hamana. Szybko zrobiłem korektę swojego artykułu, zatytułowanego: „Naukowcy przewidują, że ludzie będą żyć dwieście lat”, i wręczyłem windziarzowi, by zawiózł go na dziewiąte piętro.

Winda, którą zjeżdżaliśmy w dół, pełna była dziennikarzy i zecerów wybierających się do kafeterii na lunch. Ale Max Aberdam przekrzyczał ich wszystkich:

— Naprawdę nie wiedziałeś, że jestem w Ameryce? Gdzie ty żyjesz — w Świecie Chaosu? Usiłuję cię złapać już od kilku tygodni. Żydowskie gazety nic a nic się nie zmieniły. Kiedy dzwonisz i kogoś prosisz, mówią ci, żebyś poczekał przy telefonie. No, więc czekasz, tyle że nie wiadomo na co — zapominają o tobie. Gdzie ty żyjesz, na księżycu? Nie masz w redakcji swojego telefonu?

Kiedy wyszliśmy na dwór, zaproponowałem, byśmy też się udali do kafeterii, ale Max się obruszył:

— Nie upadłem jeszcze tak nisko, żeby nosić tacę niczym kelner, to nie dla mnie. Hej, taxi!

Wgramoliliśmy się do taksówki, która zawiozła nas zaledwie kilka przecznic dalej, do restauracji przy Drugiej Alei. Kierowca powiedział, że pochodzi z Warszawy i zna Maxa Aberdama i jego rodzinę. Był też czytelnik-

nikiem moich felietonów. Max wręczył mu swój bilet wizytowy wraz z dużym napiwkami. U Rappaporta, w restauracji, którą wybrał na lunch, dobrze go znano. Wskazano nam stolik z koszykiem świeżych bułeczek, miską gotowanego grochu i półmiskami pełnymi pikli i kiszzonej kapusty. Kelner poznał Maxa i uśmiechnął się. Max zamówił dla siebie sok pomarańczowy i karpia w galarecie, a dla mnie, wegetarianina, omlet z jarzynami. Jedząc, podpalił zapalniczką cygaro. Przeżuł, wypuścił dym i zawołał:

— A więc zostałeś w Ameryce felietonistą! Słyszałem cię w niedzielę w radio, plotłeś coś o tym, jak panować nad emocjami i inne podobne brednie. Przyjacielu, może straciłem wszystko, ale zostało mi jeszcze trochę zdrowego rozsądku. Chociaż siedzę po uszy w długach, Panu Bogu nie jestem nic winien: tak długo, dopóki zsyła nam Hitlerów i Stalinów, nie jest moim Bogiem, tylko i c h .

— Gdzie pan był — spytałem — przez całą wojnę?

— A gdzie mnie nie było! W Białymstoku, Wilnie, Kownie, Szanghaju, później w San Francisco. Spadła na moją głowę cała żydowska bieda. W Szanghaju zostałem drukarzem. Wydałem *Szita Mekubecet*, Ritbę, Razała. Wiem wszystko o korekcie i składzie. Sam, osobiście, stałem przy maszynie, dobierając czcionkę. Zawsze wiedziałem, że Żydzi to wariaci, ale tego, że będą w stanie założyć jesziwę w Chinach, żeby debatować nad tym, czy jajko zniesione w szabat jest koszerne, podczas gdy ich rodziny pakowano do pieców — nie, tego sobie nigdy nie wyobrażałem. Uciekłem tylko dzięki temu, że mój dawny rywal z Warszawy, konkurent w interesach, wystarał się dla mnie o wizę do Ameryki. Dobrzy przyjaciele zostawili mnie, ażebym szczeł, ale mój wróg mnie uratował. Nic mnie już nie zdziwi.

Strzepnął na spodek popiół z cygara.

— Jeśli ktoś by mi przepowiedział, że będę zecerem w Szanghaju, że Żydzi stworzą własne państwo i że w Nowym Jorku będę obracał papierami na giełdzie, wyśmiałbym go. Ale wszystkie te szaleństwa naprawdę się wydarzyły — chyba że to wszystko sen. Jedz, Aronie, nie marudź. W Ameryce nie sposób dostać filiżanki przyzwoitej kawy. Hej, kelner! Zamawiałem kawę, a nie pomyje!

Jedząc, opowiedział mi trochę o tym, co przeżył od 1939 roku do dziś. W sierpniu 1939 zostawił w Warszawie żonę i dzieci i wraz z teściem i tysiącami innych mężczyzn uciekł przez most Praski w kierunku Białegostoku, który był już w rękach bolszewików. Tam pewni pisarze, których niegdyś wspierał, udzielając im zapomóg i zasiłków, zadenuncjowali go jako

kapitalistę, faszystę i wroga ludu. Aresztowano go i posadzono na moskiewskiej Łubiance. O mały włos, a zostałby postawiony pod ścianą i rozstrzelany, gdyby nie pewien funkcjonariusz partyjny z KGB, jego były księgowy, który rozpoznał go i uratował. Max uciekł na wschód i po wielu cudach znalazł się w Szanghaju.

Żona Maxa i jego dwie córki zginęły w Stutthofie. Później, w Ameryce, poznał wdowę po pewnym rzeźbiarzu z San Francisco, którego rzeźbę niegdyś kupił. Dwa tygodnie później byli już małżeństwem.

— To było szaleństwo, po prostu szaleństwo — wykrzyknął Max. — Demony musiały mi chyba odebrać rozum. Jednego dnia stałem z nią pod chupą, a następnego już wiedziałem, że wpadłem w potworne bagno. Byłem zmęczony tą całą włóczęgą. W Szanghaju miałem Koreankę, rozkoszną osobkę, ale nie mogłem zabrać jej z sobą do Stanów. Moja obecna żona, Prywa, jest wiecznie chora, a w dodatku to maniaczka. Uważa się za medium, które odbiera wibracje duchów. Rozmawia ze swoim zmarłym mężem za pomocą spirytystycznego stoliczka. Maluje portrety duchów. W Nowym Jorku poczułem, że znów jestem w domu — są tutaj wszyscy, z Łodzi i z Warszawy. Znalazłem nawet swojego dalekiego krewnego, Wolbromera. Jest strasznie bogaty, właściwie to milioner. Rzucił się na mnie, jakbym był jego zaginionym bratem. Jest właścicielem mnóstwa domów i akcji, które nabył dawno temu, po krachu na Wall Street, a których ceny od tej pory nieustannie zwyżkują. Wystarał się dla mnie o dużą pożyczkę i zacząłem grać na giełdzie. Tak się złożyło, że wielu uchodźców otrzymało tutaj niewielkie odszkodowania pieniężne z Niemiec; nie mieli pojęcia, co z nimi zrobić, więc mi je powierzyli.. Skupuję akcje, obligacje, papiery wartościowe, które — jak dotąd — jakoś idą w górę. Akcje nie będą, rzecz jasna, nieustająco zwyżkować. Ale na razie moi klienci mają z tych swoich paru dolarów trzy razy więcej, niż dostaliby w banku. Kelner, ta kawa jest lodowata!

— Zdążyła wystygnać — odpowiedział kelner.

Max Aberdam odłożył cygaro, wyjął niewielkie metalowe pudełeczko, wziął dwie pigułki i wsunął je do ust. Podniósł szklanekę z wodą, popił i oświadczył:

— Żyję dzięki pigułkom i wierze — nie w Boga, ale w swoje głupie szczęście.

Kiedy wyszliśmy z restauracji, oznajmiłem Maxowi, że muszę wracać do redakcji. Nie chciał o tym słyszeć.

— Ten dzień należy do mnie. Szukałem cię od wielu tygodni. Myślałem nawet, czy nie dać ogłoszenia do gazet. W niedzielę, kiedy usłyszałem cię w radio, postanowiłem, że nazajutrz rzucam wszystko, biorę taksówkę i jadę na Wschodni Broadway. Włazić za dnia do podziemia, niczym mysz do dziury, żeby pojechać metrem, to nie dla mnie. Większość moich klientów to kobiety, uciekinierki z Polski, które nie nauczyły się liczyć dolarów. Po tych wszystkich gettach i obozach prawie odebrało im rozum. Tłumaczę, że pobieram procent za swe usługi, a one dziękują mi, jakbym był jakimś filantropem rozdającym jałmużnę. Nie mam zielonego pojęcia, co w ogóle robią te wszystkie spółki, których akcjami obracam. Moim maklerem jest Harry Treibitcher. Mówi mi, co mam kupować, więc kupuje, mówi, co mam sprzedawać, a ja sprzedaję. Od czasu do czasu sam trochę ruszam głową, czytam gazety poświęcone finansom i tak zwanych ekspertów. Wiem, że ryzykuję. Mam świadomość, że prędzej czy później moje pomyłone klientki się rozczarują, ale rozczarowywanie kobiet to moja specjalność. No, ale plotę cały czas o sobie. Powiedz, co słyszeć u ciebie?

Dalej wędrowaliśmy Drugą Aleją.

— Ja też, przykro mówić, rozczarowuję kobiety.

Czarne oczy Maxa Aberdama rozbłysły.

— Po tym, co gadałeś ostatnio w radio, myślałem, że stałeś się świętoszkiem, kaznodzieją, amerykańskim świętym czy jakimś innym pomyłencem. Wszystko, co przewidział Oswald Spengler po pierwszej wojnie światowej, zdarzyło się po drugiej. Na naszych oczach rozgrywa się permanentna rewolucja Trockiego. Nie wiem, czy to wszystko ma charakter społeczny, duchowy, czy też jest rezultatem szaleństwa Boga. Niech osądzaniem zajmują się profesorowie. Ja wiem tyle, ile widzą moje oczy.

— A co widzą?

— Świat jest *meszuge*. Zupełnie oszalał. To musiało się stać.

Max Aberdam westchnął.

— Nie wolno mi dużo jeść — powiedział. — Serce mi szwankuje. Ale kiedy serwują te żydowskie dania, zapominam o wszystkim. Pod tym względem przypominam naszego praojca Izaaka. Kiedy Jakub podał mu naleśniki, paszteciki i kaszę z makaronem, Izaak udał, że jest ślepy, i udzielił Jakubowi błogosławieństwa, które należało się Ezawowi. Te wszystkie

kobiety, których pieniędzmi obracam, trochę się we mnie podkochują. Nic na to nie poradzę. Straciły swoich mężów, dzieci, swoich braci i swoje siostry. W większości są zbyt stare, by ponownie wyjść za mąż. Istota ludzka musi kogoś kochać, inaczej gaśnie niczym świeca. Jestem więc ich ofiarą. Nie patrz na mnie w ten sposób: nie jestem, uchowaj Boże, jakimś żigolakiem. Pochodzę z ich miasteczek, z tamtych stron. Znałem ich rodziny. Mówię ich językiem. Zresztą czemu miałbym się wypierać? Ja też je kocham. Jestem takim facetem, który kocha się w każdej kobiecie, począwszy od dwunastolatki, do takiej, której stuknęło osiemdziesiąt dziewięć. Tak było wtedy, kiedy byłem młody, i tak jest dziś. Ile miałem kłopotów z powodu tych wszystkich historii i ile spowodowałem nieszczęść, wie tylko Ten, który siedzi w Siódmym Niebie i nas zadrecza. Rozmawiam z nimi i opowiadam dowcipy. Przekonuje każdą z osobna, że w moich oczach wciąż jeszcze jest młodą dziewczyną. Zresztą to też prawda. Dawnoż to wszystkie one były młode? Zaledwie wczoraj. Niektóre pamiętam z wcześniejszych czasów, z niektórymi sypiałem. One nie chcą, bym przesyłał dywidendy pocztą. Musze osobiście dostarczać im czeki. Chichoczą i mizdrzą się, jakbym był ich nowo poślubionym małżonkiem. Chodź, jest ktoś, kogo powinienes poznać.

— Musze wracać do pracy.

— Dzisiaj już nigdzie nie pójdziesz, nawet gdybyś stanął na głowie. Twoja gazeta nie padnie tylko dlatego, że nie będzie cię przez pół dnia w pracy. Przede wszystkim chcę cię przedstawić Prywie. Jest moim nieszczęściem, ale to twoja wierna czytelniczka. Czyta wszystkie twoje kawałki i zna wszystkie pseudonimy, jakimi się posługujesz. Jeśli nie kupię jej rano gazety, wywołuje demony, żeby przemieniły mnie w kupę kości. Kiedy dzisiejszego ranka powiedziałem jej, że postaram się ciebie odszukać i może przyprowadzę do domu, strasznie się podnieciła. Wizyta samego Arona Greidingera! Dla niej stoisz zaledwie o szczebel niżej od Wszchemocnego. Nie raz mówiła mi, że utrzymujesz ją przy życiu. Gdyby nie ty i te twoje wypociny, dawno popęłniłaby samobójstwo, a ja zostałbym wdowcem. No, więc musisz ze mną pójść. Poza tym muszę dostarczyć dzisiaj czek jednej z moich klientek. Też jest twoją czytelniczką. Znasz ją, przychodziła do Związku Pisarzy Żydowskich w Warszawie. Była tak zwanym dodatkiem literackim.

— Jak się nazywa?

— Irka Szmelkes.

- Irka Szelkes żyje! — wykrzyknąłem.
- Tak, żyje, jeśli można to nazwać życiem.
- A co z Judą Szelkesem?
- Juda Szelkes wypieka bajgielki w raju.
- No, to naprawdę dzień pełen niespodzianek.

— Mówiła mi, że napisała do ciebie list, na który nigdy nie dostała odpowiedzi. Nie odpisujesz na listy. Twojego nazwiska nie ma w książce telefonicznej. Gdzie ty się ukrywasz?

Był maj i panowało już straszliwe gorąco. Wyobraziłem sobie jednak, że wraz z wonią benzyny i rozgrzanego asfaltu dobiega mnie wiosenny powiew od East River albo nawet znad Catskill Mountains. Na Drugiej Alei każdy krok przywodził mi na myśl nieodległe wspomnienia. W pobliżu znajdowała się Café Royal, kawiarenka stale odwiedzana przez żydowskich aktorów i pisarzy. Po drugiej stronie ulicy mieścił się Teatr Sztuki Żydowskiej, w którym przez lata występował Maurice Schwartz. Tego, co hitlerowcy uczynili z żydostwem w Warszawie, w Nowym Jorku stopniowo dokonywała asymilacja — a jednak żydostwo, w sensie religijnym, jak i świeckim, nie chyliło się bynajmniej ku upadkowi. W Nowym Jorku wciąż jeszcze wychodziły cztery żydowskie gazety codzienne, kilka tygodników i miesięczników. Maurice Schwartz, Jacob Ben-Ami, Aron Lebediew, Bertha Gerstin i inni żydowscy aktorzy i aktorki występowali w żydowskich sztukach. Wydawano żydowskie książki. Nadal napływali uchodźcy z Rosji Sowieckiej, Polski, Rumunii, Węgier. Zresztą z jakich zakątków świata nie napływali? W Palestynie powstało żydowskie państwo, które miało już za sobą zwycięską wojnę. Ja sam przeżyłem kryzys, osobisty i twórczy. Od lat trzydziestych, kiedy tutaj przyjechałem, straciłem bliskich krewnych i przyjaciół, zarówno tych z Polski, jak i ze Stanów Zjednoczonych. Długo żyłem w odosobnieniu i w poczuciu beznadziei. Teraz miałem jednak wrażenie, że zaczynają budzić się we mnie nowe źródła energii.

Max Aberdam przywołał taksówkę i dosłownie wepchnął mnie do środka. Opadłem na siedzenie. Kiedy wtaszczył się Max, zapalone cygaro wypadło mu z ust. Kierowca warknął:

- Proszę pana, nie chcę pożaru w taksówce!
- Żaden pożar na tej ziemi nas nie strawi — odrzekł Max z miną proroka. Podał kierowcy adres: róg West End Avenue przy Osiemdziesiątej któ-

rejś Ulicy, i wziął głęboki oddech, jak gdyby próbując zapalić nowe cygaro. Zagadnął mnie:

— Twoje nazwisko słyszałem nawet w Szanghaju. Miałem zamiar przedrukować tę twoją książeczkę — jak ona się nazywała? O prawdziwych talentach nigdy się nie zapomina. Moja pamięć bawi się ze mną w chowanego. Czasem myślę, że mam sklerozę.

— Ja też.

— W twoim wieku? W porównaniu ze mną jesteś jeszcze embrionem.

— Przekroczyłem już czterdziestkę.

— Czterdzieści to nie to samo co sześćdziesiąt siedem.

Wysiedliśmy z taksówki obok ogromnego budynku i wjechaliśmy windą na dwunaste piętro. Max zadzwonił do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Wyjął klucz i otworzył drzwi. Weszliśmy do szerokiego przedpokoju. Podłoga wyścielona była pięknym perskim dywanem. Strop był wysoki, rzeźbiony, a ściany obwieszane obrazami. Wyszła ku nam kobieta o siwych włosach i dziewczęcej twarzy. Miała na sobie kwiecisty szlafrok i pantofle z pomponami. W płatkach jej uszu połyskiwały diamenty. Jej wąska twarz, długi nos, wysmukła figura, wszystko to promieniowało dobrobytem i jakimś rodzajem dawnego żydowskiego dostojęstwa. Przypominała mi portrety wiszące w muzeach. Gdy mnie ujrzała, zrobiła gest, jak gdyby chciała się wycofać, ale Max zawołał:

— Oto twój bohater!

— Widzę, widzę!

— To Prywa, moja żona.

Prywa podeszła bliżej, wyciągnęła wąską dłoń o długich palcach i pomalowanych paznokciach i wymamrotała:

— To dla mnie zaszczyt i przyjemność.

Trudno uwierzyć, że Aberdamowie byli uchodźcami z zajętej przez Hitlera Europy. Obszerne, ośmiopokojowe mieszkanie emanowało atmosferą trwałej stabilności. Okazało się, że użyczyła im go w całości, wraz z wyposażeniem, pewna zamożna kobieta, daleka krewna Prywy. Kiedy zmarła, jej córka sprzedała im wszystko za grosze — stoły, krzesła, dywany, lampy, nawet obrazy na ścianach i książki z biblioteczki. Sama Prywa pochodziła z rodu rabinów i bogatych kupców. Jej pierwszy mąż, lekarz, publikował

artykuły o tematyce medycznej w „Hacfirze”, hebrajskim tygodniku warszawskim, a później w „Hajom”. Prywa straciła w czasie wojny męża, syna, który też był lekarzem, i córkę studiującą w Warszawie medycynę. Należała do tych zamożnych kobiet, które podczas upalnych letnich miesięcy podróżowały do rozmaitych zagranicznych kurortów. Mówiła w jidysz, po rosyjsku, polsku, niemiecku i francusku. Jako młoda dziewczyna studiowała literaturę niemiecką u słynnej Teresy Rosenbaum. Znała też trochę hebrajski. Prywa przeniosła do Nowego Jorku odrobinę zamożnej żydowskiej Warszawy. Wyznała mi, że jako dziecko znała Icchaka Pereca, Hersza Nomberga, Hilela Cejtlina. Niewiarygodne, ale choć uciekając przed Niemcami przemierzyła całą Rosję, zdołała ocalić swój stary album ze zdjęciami. Każde jej słowo wywoływało we mnie wspomnienia. Wedle moich rachub musiała być starsza od Maxa — mogła mieć już ponad siedemdziesiąt lat.

— Straciłam w tej strasznej wojnie wszystko. Ale póki umysł pracuje, trwa pamięć. Czym jest pamięć? Jak wszystko inne — zagadką. Kiedyś miałam nadzieję, że na starość zaznam spokoju, ale otacza mnie tak wiele tajemnic, że o spokoju nie może być mowy. Kładę się spać pełna lęku i z lękiem się budzę. Największą tajemnicę stanowią moje sny.

— Obawiam się, że sny zawsze pozostaną tajemnicze — wtrąciłem.

— Czytam wszystko, co pan napisze, każde słowo, niezależnie od pseudonimów, jakimi się pan posługuje. Pan sam jest tajemnicą.

— Nie większą niż inni.

— Znacznie większą.

— A nie mówiłem? — wykrzyknął Max Aberdam. — Ty, Aronie, jesteś częścią naszego życia. Nie ma dnia, żebyśmy o tobie nie rozmawiali. — Tu Max zwrócił się do Prywy: — Gdzie jest Cłuwa?

— Poszła do supermarketu.

— Mamy szczęście, że jest naszą służącą — powiedział Max. — Znalezienie tutaj służącej, na dodatek Żydówki, graniczy z cudem. Ale tyle cudów przydarzyło się nam w życiu, że nic nas już nie zdziwi. W Warszawie Cłuwa nie była służącą, tylko kobietą interesu. Prowadziła sklep galanteryjny — z bielizną, torebkami, koronkami i różnymi takimi rzeczami. U nas robi, co chce, właściwie jest panią domu. To nasza córka, siostra i pielęgniarka jednocześnie. Czyta artykuły o medycynie zamieszczane w twojej gazecie i każde słowo napisane przez lekarza jest dla niej święte.

— Ona i pan, panie Greidinger, utrzymujecie mnie przy życiu — wtrąciła Prywa. — Cłuwa jest surowa, ale pociągająca. Mężczyźni uganiają się za nią i gdyby tylko chciała, mogłaby wyjść za mąż, ale ona woli zostać z nami. Sklep, o którym wspominał Max, nie był jej własnością, należał do starszego, zamożnego małżeństwa, które zginęło podczas wojny. Cłuwa zaś należy do tych, którzy rodzą się, aby służyć innym. Taki jej los.

— Jej los to dla nas szczęśliwy traf. Co byśmy bez niej zrobili? — zauważył Max. — Na dodatek pozostaje w dobrych stosunkach z umarłymi. Przychodzą do niej z zaświatów, kiedy tylko zasiada za tym swoim kwitującym stoliczkiem i zaczyna bawić się z nimi w chowanego.

— Czemu się śmiejesz? Ona jest urodzonym medium — powiedziała Prywa.

— Tak, tak. Umarli żyją, jedzą, kochają się, prowadzą interesy — zażartował Max. — Wystarczy tylko położyć ręce na stoliczku, a ze wszystkich stron świata zbiegną się do ciebie umarli.

— Nie bądź taki cyniczny, Max. Aron Greidinger też wierzy w takie rzeczy. Publikuje pan w swojej gazecie mnóstwo listów na ten temat. Zrobię herbatę. Musi mi pan obiecać, że zostanie na kolację.

— Nie mogę, naprawdę.

— Dlaczego? Przygotujemy dla pana tradycyjne warszawskie potrawy.

— Niestety, jestem już umówiony.

— Trudno, nie będę nalegać. Ale musi nas pan wkrótce odwiedzić. Cłuwa czyta wszystkie pańskie artykuły. Kiedy chce, potrafi ugotować królewskie dania, a przecież Talmud mówi, że prawdziwymi królami są uczeni — pisarze, ludzie ducha.

— Widzę, że nieobce są pani nasze nauki — pochwaliłem ją.

— Ach, od dzieciństwa chciałam się uczyć, ale mój ojciec, niech spoczywa w pokoju, uważał, że dziewczęta nie powinny studiować świętych ksiąg. Mickiewicz — tak; Słowacki — tak; Lessing — oczywiście. Natomiast studiowanie Gemary przez dziewczynę — to przekroczenie. Sama odkryłam Hagadę i znalazłam tam mnóstwo mądrości, więcej niż w *Natanie mędrca* Lessinga — powiedziała Prywa.

Od strony korytarza doszedł mnie odgłos otwieranych drzwi; to była Cłuwa. Usłyszałem też szelest papierowych toreb, które przytaszczyła z supermarketu. Prywa wyszła jej na spotkanie. Max Aberdam zerknął na zegarek.

— No i tak to jest. Chciałem żony, a mam instytucję.

— To subtelna kobieta.

— Zbyt subtelna. A do tego chorowita. Z żoną możesz się rozwieść, ale instytucji nie opuścisz. Zaklina się, że w Rosji, przy dwudziestostopniowym mrozie, pracowała w lesie przy wyrębie drzew. Tutaj zrobiła się z niej wielka dama. Stale biega po lekarzach, wspiera różne wydumane przedsięwzięcia, bezustannie świętuje jakieś rocznice krewnych i znajomych. Cierpi na *anginae pectoris* i co rusz trzeba ją zabierać do szpitala. W San Francisco, kiedy ją poznałem, byłem w takim nastroju, że pragnąłem jedynie trochę wytchnienia. Chciałem pójść do jakiegoś domu starców, położyć się i czekać, aż wyzionę ducha. Ale nieoczekiwanie obudziły się we mnie dzikie siły. Wpadłem w pułapkę, z której nie ma wyjścia.

Drzwi otworzyły się i wkroczyła Prywa, trzymając Cłuwę pod rękę, jakby prowadziła zawstydzoną pannę młodą do narzeczonego. Wyobrażałem ją sobie jako starszą kobietę, ale Cłowa wyglądała młodo. Miała ciemną cerę, krótko przycięte czarne włosy, wydatne kości policzkowe, mały nos, spiczasty podbródek i skośne, tatarskie oczy. Ubrana była w czarną sukienkę, przybraną sznurem czerwonych koralii.

— To nasza Cłowa — odezwała się Prywa. — Znamy ją jeszcze z warszawskich czasów. Gdyby nie ona, dawno by mnie już nie było między żywymi. Cłowa, kochanie, to pan Aron Greidinger, ten pisarz.

Skośne oczy Cłowy rozjaśnił uśmiech.

— Znam pana. Słucham pana każdej niedzieli w radio. Czytam wszystko, co pan pisze. Pani Aberdam dała mi pańską książkę.

— Miło mi panią poznać — powiedziałem.

— Pisał pan ostatnio, że tęskni pan do jakiejś warszawskiej zupy z zasmażką. Mogę przyrządzić jeszcze lepszą niż ta, którą jadał pan w Warszawie — zaproponowała Cłowa.

— Och, bardzo dziękuję. Dzisiaj, niestety, jestem już umówiony. Ale mam nadzieję, że nadarzy się jeszcze okazja.

— W domu jadaliśmy zupę z zasmażką zwykle dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i czwartki.

— Cłowa jest najlepszą kucharką na świecie — stwierdziła Prywa z przekonaniem. — Cokolwiek przyrządzi, smakuje niebiańsko.

— To żadna tajemnica — odezwała się Cłuwa. — Do zupy z zasmażką wystarczy tylko zasmażka i przysmażona cebulka, a do tego dodaję marchewkę, pietruszkę i koperek. Dobrze ją podawać z pulpetami.

— Przestań, Cłuwa. Kiedy cię słucham, cieknie mi ślinka — zawołał Max. — Lekarz kazał mi zrzucić dziesięć kilo. Jak mogę myśleć o zrzuceniu czegokolwiek, kiedy ty opowiadasz o takich specjałach?

— A co jedli w Chinach? — spytała Cłuwa.

— Ach, kto ich tam wie, co jedli — smażone karaluchy z kaczym mlekiem. Rozmawiałem ostatnio z pewnym jegomościem z Galicji i kiedy rozmowa zesłała na kuchnię, powiedział mi, że w jego miasteczku mieli zwyczaj jadać kilisz i pompuszkes.

— A cóż to za świństwa? — spytała Prywa.

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odparł Max. — Może ty wiesz, Aronie?

— Nie, naprawdę nie wiem.

— Przepadł na wieki cały nasz świat, bogata kultura — powiedział Max. — Czy następne pokolenie będzie wiedzieć, jak Żydzi we wschodniej Europie żyli, jak mówili, co jedli? Chodź, musimy już iść.

— Kiedy wrócisz? — spytała Prywa.

— Nie wiem — odrzekł Max. — Mam tysiąc spraw do załatwienia. Ludzie czekają na moje, to znaczy, chciałem powiedzieć, na swoje czeki.

— Nie wracaj w środku nocy. Budzisz mnie i nie mogę potem przez resztę nocy zmrużyć oka. Ty od razu zasypiasz, a ja leżę i rozmyślam do świtu.

— Może dokonasz jakiegoś nowego odkrycia. Mogłabyś stać się drugim Einsteinem.

— Nie żartuj, Max. Nocą moje myśli są niczym jad.

Rozdział drugi

Winda zwiozła nas na dół i powędrowaliśmy wzdłuż West End Avenue. Max chwycił mnie za ramię.

— Jestem zrozpaczony z powodu Miriam, Aronie.

— Miriam? A kto to? — spytałem. — Dlaczego jest pan zrozpaczony?

— Och, Miriam to dla mnie jeszcze dziecko — młoda, ładna, inteligentna dziewczyna. Ale niestety jest żoną pewnego młodego amerykańskiego poety. Oczekuje teraz rozwodu. Gdyby nie to, że jestem żonaty, byłaby dla mnie błogosławieństwem zesłanym z niebios. Ale nie mogę rozwieść się z Prywą. Miriam wydaje się, że jest sama jedna na świecie. Jej rodzice są rozwiedzeni. Ojciec żyje z jakąś nudziarą, która uważa się za artystkę. Należy do tych, którym się zdaje, że wystarczy napaćkać trochę bohomażów, żeby zostać Leonardem da Vinci naszych czasów. Matka z kolei wyjechała do Izraela z jakimś niedoszłym aktorzyną. Jej mąż, to znaczy mąż Miriam, wyobraża sobie, że jest poetą. Nasi oświeceni ziomkowie zawsze narzekali, że my, Żydzi, jesteśmy *luftmenschen*, ludźmi bez zawodu i zajęcia. Ale takich *luftmenschen*, jakich wydało to nowe pokolenie w Ameryce, nie znajdziesz nigdzie. Próbowalem czytać wiersze jej męża, ale brak w nich ładu i składu. Ci szlemiele są wszystkim naraz — futurystami, dadaistami i na dodatek komunistami. Nie chce im się ruszyć palcem, żeby cokolwiek zrobić, ale chcą zbawiać proletariat. Siłą się na oryginalność, ale w gruncie rzeczy naśladowują się nawzajem jak papugi. Miriam to wspaniała młoda kobieta, ale tak naprawdę jest jeszcze dzieckiem. Z jego powodu, z powodu swojego męża — jak mu tam, Stanley — i z powodu rozpadu swojej rodziny porzuciła college. Ten Stanley zwiął teraz z jakąś redaktorką do Kalifornii czy diabeł wie gdzie, a Miriam została opiekunką do dziecka. Co to za zajęcie dla dwudziestosiedmioletniej dziewczyny — opiekowanie się cudzym dzieckiem? Mężczyźni uganiają się za nią, ale ja ją kocham i ona mnie kocha. Nigdy nie zrozumieję, co ona we mnie widzi. Mógłbym z łatwością być jej ojcem, albo nawet i dziadkiem.

— Tak, tak.

— Przestań powtarzać „tak, tak” jak osioł. Nikomu poza tobą o tym nie opowiadałem. Skoro stałeś się chodzącym poradnikiem, może poradzisz mi, co zrobić z tą sprawą.

— Nie umiem sobie poradzić nawet z własnymi sprawami.

— Wiedziałem, że tak powiesz. Miriam nie urodziła się w Ameryce. Przyjechała tu po wojnie, w 1947 roku. Zna świetnie jidysz, polski i niemiecki, a po angielsku mówi bez akcentu. Sama ci opowie, co przeżyła. Jej ojciec to człowiek bez charakteru, kawał szarlatana. Miał swoje biuro przy ulicy Przechodniej w Warszawie — pracował na giełdzie, a przynajmniej tak twierdzi. Miał wystarczająco dużo oleju w głowie, by przed wojną zdeponować pieniądze w banku szwajcarskim. Jej matka jest przekonana, że ma talent aktorski. Jej brat został zabity w Powstaniu Warszawskim w 1944 roku. Każda żydowska rodzina z Polski ma swoją własną historię. My jesteśmy szaleńcami i doprowadzamy świat do szaleństwa. Taxi!

— Dokąd mnie pan teraz zabiera? — spytałem, kiedy siedzieliśmy już w taksówce.

— Do Irki Szelkes. Mam dla niej czek, który noszę z sobą od tygodnia. Czeki w kieszeni się gniotą i czasem bank nie chce ich potem przyjąć. Spędzimy u Irki najwyżej dziesięć minut. Ona będzie nalegała, żebyśmy zostali na kolacji, ale stanowczo jej odmówię. Potem pojedziemy do Miriam. I Irka, i Miriam są twoimi gorliwymi czytelniczkami. Miriam pisała nawet o tobie pracę w college'u.

— Gdybym wiedział, że będziemy jeździć po tych wszystkich miejscach, założyłbym inną koszulę i garnitur.

— Masz doskonałą koszulę i garnitur też. W porównaniu z tym, co nosiłeś w Warszawie, wyglądasz jak dandys. Trzeba tylko poprawić krawat. Pozwól, o tak!

— Jestem nieogolony.

— Nie martw się. Miriam jest przyzwyczajona do zarostu. Stanley, jej mężulek, zapuścił ostatnio brodę. A Irkę Szelkes poznałeś w Warszawie i nie musisz się dla niej stroić.

Taksówka zatrzymała się na rogu Broadwayu i Sto Siódmej Ulicy. Weszliśmy do kamienicy czynszowej bez windy. Wspięliśmy się po schodach na drugie piętro, po czym Max Aberdam przystanął, żeby trochę odpocząć. Wskazał palcem na lewą stronę klatki piersiowej.

— Pompa mi nawala. Zaczekaj parę minut.

Kiedy znów podjęliśmy naszą wspinaczkę po schodach, Max zaczął dyszeć i jęczeć:

— Czy ona musi mieszkać na samej górze, na czwartym piętrze? Te ludziska tak dbają o swoje pieniądze, że robią się z nich prawdziwe sknery — boją się, że dzisiaj czy jutro w Ameryce zapanuje głód.

Max zapukał do drzwi na czwartym piętrze. Irka Szelkes otworzyła od razu. Była niewysoką kobietą o okrągłej twarzy, krótkim nosie, czarnych oczach i zbyt szerokich — jak na swoją drobną twarz — ustach. Musiała mieć dobrze po pięćdziesiątce, poza tym przeżyła obozy, ale wyglądała młodziej. Jej czarne jak węgiel włosy sprawiały wrażenie świeżo ufarbowanych. Ubrana była w wydekoltowaną czarną suknie bez rękawów. Zdaje się, że wystroiła się specjalnie na tę okazję. Obrzuciła mnie zdziwionym spojrzeniem i powiedziała:

— Ach, przyprowadziłeś gościa. Nie spodziewałam się. — I uśmiechnęła się, ukazując rząd sztucznych zębów. Na lewym policzku pojawił się ślad dołeczka.

Przeszliśmy przez długi korytarz. Z kuchni dobiegały zapachy pieczonego mięsa, czosnku, smażonej cebuli, ziemniaków. Wprowadziła nas do pokoju, w którym stał tapczan. Stało się dla mnie jasne, że mieszkanie nie należy do niej, a pokój, w którym się znajdujemy, służy jej jednocześnie jako pokój dzienny, jadalnia i sypialnia. Do drzwi zapukała młoda kobieta i oznajmiła:

— Pani Szelkes, jest pani proszona do telefonu w holu.

— Ja? Chwileczkę! — I Irka Szelkes zniknęła.

— Nieźle się trzyma — zauważył Max. — Jej mąż, kompletny idiota, rwał się do trockistów, więc zlikwidowali go w Hiszpanii. Oni wszyscy chcieli budować lepszy świat, a zginęli jak męczennicy. Dla kogo tak się poświęcali? Kto im da nagrodę w grobie?

— Może Wszechmocny też jest trockistą — powiedziałem.

— Co? Nigdy się nie dowiemy, co tak naprawdę działo się w Hiszpanii. Stalin urządził tam istną inkwizycję. Przyjeżdżali, żeby walczyć przeciwko faszystom, a byli wybijani przez swoich własnych towarzyszy. Żydzi zawsze stają na pierwszej linii. Oni po prostu muszą ni mniej, ni więcej, tylko zbawiać świat. W każdym Żydzie mieszka dybuk mesjasza.

Kiedy Irka Szelkes wróciła do pokoju, zauważyłem, że ma niezwykle wysokie obcasy. Zagadnęła:

— Dni i noce mijają i nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, żeby do mnie zadzwonić. Ale ledwo zjawia się dwóch takich ważnych gości, wołają mnie do telefonu. I kto dzwoni? Jakaś stara plotkara, która ma ochotę pomleć sobie trochę jęzorem.

— Gdzie jest twój syn, Edek? — spytał Max.

— A gdzież by? W bibliotece. Ten chłopak wpędza mnie w chorobę. Stałe znosi do domu książki ze wszystkich stron świata. Chodzi na Czwartą Aleję, gdzie można je dostać po pięć centów sztuka albo trzy za dziesiątaka, i przynosi stosy starych książek. Musi wszystko wiedzieć. Któregoś dnia zauważyłam, że czyta jakąś poźółkłą książczynę o pociągach w Ohio czy Iowa, pełną wykresów i liczb. Po co mojemu Edkowi znajomość pociągów, które jeździły przed laty w Ohio? On jest chory, chory. Dzięki Bogu, że ta garbuska się wyprowadziła i mogłam dać Edkowi jej pokój. Cały jest już zawalony książkami.

— Mam dla ciebie czek — powiedział Max.

— Na pewno się przyda. Ale ty, mój drogi, i gość, którego z sobą przyprowadziłeś, jesteście dla mnie ważniejsi od jakiegoś czeku. Co się z panem stało, panie Greidinger? Odkąd zaczął pan pisywać do gazet, nie chce pan już znać nas, maluczkich. Ta młoda kobieta, która poprosiła mnie do telefonu, jest pańską czytelniczką. Gdyby się dowiedziała, że jest pan w moim pokoju, chyba by oszalała. Czekaście, przyniosę jakieś zakąski. Przygotowałam więcej niż zazwyczaj, jakby serce mi podpowiedziało, że przyjdziecie we dwóch. Zaraz wracam! — I Irka Szelkes znów zniknęła.

— Musimy trochę spróbować, czy mamy ochotę, czy nie — powiedział Max. — Ludzie, którzy zaznali głodu, uważają jedzenie za największe błogosławieństwo. Choruję po tych wszystkich zakąskach, więc stale obiecuję sobie, że będę wysyłał czek pocztą. Mam ochotę na cygaro. Gdzie moja zapalniczka? *Nu*, zostawiłem ją u Rappaporta!

Wypiliśmy herbatę i zjedliśmy babkę. Młody Edek wrócił z biblioteki. Niski i krępy, zapuścił już sobie niezły brzuch. Zauważyłem, że górny guzik przy spodniach ma niedopięty. Jego okrągłą głowę porastała kopa gęstych czarnych włosów. Miał ogromne zezowate oczy i uderzyło mnie, że

jego policzki są gładkie jak u eunucha. Usiadł w bujanym fotelu i kołysząc się, zaczął mówić.

— Czytam wszystkie pana artykuły i opowiadania — zaczął. — Ale nie zawracam sobie głowy tymi powieściami w odcinkach. Nie mam cierpliwości czekać przez cały tydzień. Dlaczego nie wyda pan książki? Amerykańscy pisarze w pana wieku są już sławni na cały świat. Mój lekarz ma dwudziestosiemioletniego syna, który sprzedał swoją książkę dla filmu za osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Gdybym miał osiemdziesiąt tysięcy dolarów, wybrałbym się w podróż dookoła świata. Czytałem sporo z geografii i wierzę, że wciąż jeszcze istnieje mnóstwo miejsc, które nie figurują na żadnych mapach. Należę do stowarzyszenia zrzeszającego ludzi, którzy nie wierzą w to, że ziemia jest okrągła — ciągnął. — Jest nas zaledwie czterdziestu, ale debatujemy w kółko nad tą kwestią. Nie ma żadnego dowodu, że ziemia jest okrągła. To tylko teoria. Moim zdaniem, Atlantyda nie zatoneła pochłonięta przez morze, jak głosi Plutarch, tylko po prostu nie wiemy, gdzie ona jest. Istnieją relacje podróżników, którzy dotarli do miejsca, gdzie ziemia była wklęsła, i odkryli tam starożytną cywilizację. Może pan uważać to za folklor, ale wiele prawd lekceważy się, traktując je jako folklor. Szamani w Afryce od lat stosują lekarstwa, które tutaj dopiero ostatnio się odkrywają. A co z miejscami, o których wspomina Biblia, takimi jak Ofir? Gdzie jest Aszkenaz? Aszkenaz to bynajmniej nie Niemcy. Niemcy w tamtych czasach były jeszcze puszcza. Może Hodu to Indie, a może nie, ale Kusz to z pewnością nie Etiopia. Anakici, o których wspomina Pięcioksiąg, nie są po prostu legendą. Giganci istnieli w przeszłości i wciąż jeszcze istnieją, tylko żyją gdzieś w ukryciu — może w Himalajach lub w dziewiczych lasach Brazylii albo gdzieś w głębi Afryki. Odnaleziono ich ślady, niezwykle szerokie i długie. Pewnie pan zapyta, czemu oni wolą żyć w ukryciu, i powiem panu, dlaczego. Odkąd istnieje ludzki ród, wytracono wiele ras. Biała rasa nie jest w stanie znieść konkurentów. Hitleryzm jest tak stary, jak ludzkość. Przez ostatnich parę setek lat Indianie zostali dosłownie zdziesiątkowani. Gdyby Hitler wygrał wojnę, zgładziłby wszystkich Murzynów. Żydów też uważał za odrębną rasę i dlatego właśnie usiłował nas wytracić, co do jednego. Giganci wiedzą o tym wszystkim i dlatego stronią od innych ras. Ale dlaczego Giganci się nie rozmnożą i nas nie dobijają — to inna kwestia. Być może natura potrzebuje dużo czasu, by stworzyć Giganta. Może ich kobiety, zamiast przez dziewięć miesięcy, noszą płód całymi latami — może nawet sto lat. Właśnie odkryto w Rosji pewną krainę, w której ludzie żyją po sto,

dwieście albo i więcej lat. Nie prowadzą rejestrów, a ich dzieci nie mają metryk urodzenia.

— Edek, pij herbatę. Stygnie.

— Nie stygnie. Walczymy z przesadami, a jesteśmy w nich zanurzeni po uszy — powiedział Edek. — Dwóch profesorów w czasach Ludwika XIV odkryło meteory, ale król oświadczył: „Łatwiej uwierzyć, że profesorowie kłamią, niż wierzyć, że kamienie mogą spadać z nieba”. Dlaczego to mówię? Z powodu rzeki Sambation. *Encyklopedia żydowska* mówi, że rzeka Sambation i dziesięć zaginionych plemion Izraela to legendy. Ale ja wcale nie jestem o tym przekonany. Przybyli z tamtych stron ludzie, którzy widzieli rzekę miotającą kamienie w powietrze, i przywieźli list od króla, Achitowa Ben Azariasza. W Biblii wyraźnie zostało powiedziane, nie pamiętam, gdzie: „Potomkowie Efraima mieszają się z innymi narodami”.

— Skoro potomkowie Efraima mieszają się z innymi narodami, jak mogą mieć własne królestwo? — spytałem.

— Jedno nie ma nic do drugiego. Ktoś stwierdził, że to w istocie Anglicy są tymi dziesięcioma zagubionymi plemionami. Dlatego właśnie tak bardzo kochają Biblię. Któregoś dnia kupiłem przy Czwartej Alei książkę za pięć centów i to najlepsza książka, jaką kiedykolwiek czytałem. Nosi tytuł *Duchowe zaślubiny*. Zapomniałem, kto jest autorem. Ktoś mi ją ukradł.

— A kto by kradł stare książki? — spytał Max Aberdam.

— Ludzie kradną wszystko. Freud ukradł całą swoją teorię z dwu stron Gemary, z Błogosławieństw, z rozdziału *Ha-Roch*. Spinoza kradł z *Hymnu o jedności Boga*, który recytuje się w noc Jom Kipur. Mam swoją teorię, że istnieją takie duchy, które mają za zadanie kraść. W nocy kładę książkę na stole, a rano już jej nie ma. Doszło do tego, że jeśli znajduję naprawdę dobrą książkę, trzymam ją w skrytce w podziemiach metra. Ale nawet tam ginie. Mam też swoją teorię, że Hitler nie był istotą ludzką, ale diabłem. Gdzie zniknęło jego ciało? Nikt nie wie. Po wojnie odleciał tam, gdzie przebywają demony. Napisałem nawet na ten temat list do pańskiej gazety, ale go nie wydrukowali.

— Dosyć, mój synu! — ucięła Irka.

— Mamo, pewnego dnia poznasz prawdę, ale będzie za późno. Jak to się stało, że sześć milionów Żydów szło na rzeź niczym owieczki? Jak to jest, że te same narody, które w czasie holocaustu nie zdobyły się nawet na cień protestu, głosowały później za ustanowieniem żydowskiego państwa? Wypy-

tywałem o to mojego nauczyciela, ale nie potrafił dać mi żadnej odpowiedzi. Mamo, mogę opowiedzieć panu Greidingerowi o moim zegarku?

— Nie możesz, Edek.

— Pan Greidinger pisze o demonach. Może mu się przydać ta historia.

— Edek, to bez znaczenia.

— Co to był za zegarek? — spytałem.

— Edek miał zegarek, który dostał od przyjaciela — odrzekła Irka. — W dniu, w którym ten przyjaciel zmarł — chorował na gruźlicę — zegarek spadł Edkowi z ręki i się rozbił. Straciłam niejednego zegarek w życiu, ale nie przysłoby mi do głowy, żeby winą za to obarczać demony.

— Mamo, zegarek miał metalową bransoletkę i ściśle przylegał mi do przegubu. Oderwał się i upadł, choć bransoleta pozostała nietknięta. Zapomniałaś dodać, że to się stało dokładnie w tej samej chwili, w której Ilisz wydał ostatnie tchnienie. Dokładnie w tej samej chwili. To fakt.

— Faktem jest też, że muszę pójść do kuchni i przyrządzić dla moich drogich gości coś do jedzenia.

— Proszę wybaczyć, pani Szelkes, muszę już iść — powiedziałem.

— Ja też — odezwał się Max.

— Cóż to, czyżbyście obaj chcieli już uciekać? — spytała Irka. — Nie mogę mieć pretensji do gościa, którego z sobą przyprowadziłeś. Znam go zarówno z warszawskiego Związku Pisarzy, jak i z tego, co pisze tutaj, chociaż on mnie nie zna. No więc...

— Ależ znam panią. Kiedyś w Warszawie zostaliśmy sobie przedstawieni — powiedziałem.

— Nie miałam pojęcia, że pan to zapamiętał. Tak, rzeczywiście przedstawiono nas sobie. Był pan wtedy bardzo młodym człowiekiem, zaczynał pan dopiero. Tutaj, w Ameryce, napisałam kiedyś list do pana, choć nie oczekiwałam odpowiedzi. Nasi żydowscy ludzie pióra nie odpowiadają na listy. Niektórych, być może, nie stać po prostu na znaczki. Ale ty, Max, nie zrobisz mi chyba wstydu i nie pójdziesz?

— Mamo, wracam do swojego pokoju — oznajmił Edek.

— Dobrze, moje dziecko. Zawołam cię, kiedy jedzenie będzie gotowe.

— Mamo, nie pozwól im iść! — powiedział Edek już od drzwi.

— A cóż ja mogę? Nie mam kozaków na swoje rozkazy, jak zwykł mawiać mój ojciec, niech spoczywa w pokoju. Mogę, co najwyżej, poprosić.

— Nie wychodź, Max. Mama tak często o tobie mówi. Stoi w oknie i wypatruje, tak jak robili ludzie w małych miasteczkach w Polsce. Potem powiada: „Zastanawiam się, gdzie jest Max. Gdzie on się podziewa?”. W Jabłonnej, kiedy stało się w oknie, przez pół godziny zdążyło przemaszerować całe miasteczko. Ale tutaj, w Nowym Jorku, wyglądać kogoś oknem to — jak by to powiedzieć? — anachronizm. Szansa, że ktoś, kogo znasz, przejdzie nieopodal, nawet jeśli jest to ktoś, kto mieszka w sąsiedztwie, jest jedna na milion, może nawet jedna na miliard. Nie jestem matematykiem, ale interesuję się statystyką i rachunkiem prawdopodobieństwa. Jakie były szanse zaistnienia świata? Do zobaczenia.

Edek zamknął drzwi. Irka Szelkes potrzęsła głową.

— Ten chłopak jest chory, chory. Co on przeszedł, a ja razem z nim, nikt nigdy się nie dowie. Nawet Bóg, jeśli w ogóle istnieje.

— Irka, muszę iść! — zawołał Max.

— Nie krzycz. Nie jestem głucha. Kiedy cię znów zobaczę? Jeśli będziesz czekał do następnego czeku, może być za późno.

— Co się stało? Jesteś, uchowaj Boże, chora?

— Jestem chora i zmęczona tym wszystkim.

— Przyjdę jutro. Na obiad.

— Naprawdę, czy żartujesz sobie ze mnie?

— Nie żartuję. Wiesz, że cię kocham.

— O której będziesz?

— O drugiej.

— Dobrze, mam nadzieję, że nie wystrychniesz mnie na dudka. Panie Greidinger, to był dla mnie zaszczyt i niespodzianka. Kiedy moja lokatorka dowie się, że pan tutaj był, a ja pana nie zatrzymałam, żeby ją przedstawić, nigdy mi nie wybaczy.

— Z Bożą pomocą, jeszcze się spotkamy — powiedziałem.

— Wszyscy ostatnio wzywają imienia Bożego. Zaczynam wierzyć, że nadchodzi era Mesjasza — i Irka Szelkes uśmiechnęła się. Przez moment znów była młoda, taka, jak ją zapamiętałem z warszawskiego Związku Pisarzy.

Rozdział trzeci

Tym razem Max nie brał taksówki. Miriam mieszkała na Setnej Ulicy w Central Park West. Na Broadwayu Max wszedł do apteki, by zatelefonować, podczas gdy ja czekałem na zewnątrz. W tej okolicy mieszkali głównie uchodźcy — z Polski, Niemiec i Bóg wie skąd jeszcze. Przy West End Avenue mieścił się hotel Paris, który uchodźcy z Niemiec nazywali „Czwartą Rzeszą”. Max długo marudził w aptece, więc stałem na chodniku, przyglądając się płynącemu nieprzerwanie potokowi ciężarówek. Na rozdzielającym ulicę pasie trawy, w samym środku Broadwayu, starsza kobieta rzucała okruszyny chleba, które przyniosła z sobą w brązowej papierowej torbie. Z dachów sfruwały gołębie, tłocząc się wokół niej i dziobiąc okruszki. Odór benzyny i psich odchodów mieszał się z wonią lata. Po drugiej stronie ulicy, na chodniku przed kwaciarnią wystawiono wazon z świeżym bzem. Na ławkach usytuowanych na kratkach metra siedzieli ludzie, którzy w samym środku nowojorskiej bieganiny i zgiełku najwyraźniej nie mieli nic do roboty. Jakiś starszy mężczyzna przeglądał żydowską gazetę. Kobieta w nasuniętym na siwe włosy czarnym kapeluszu przeglądała niemiecki „Aufbau”, usiłując czytać przez szkło powiększające. Jakiś Murzyn spał z głową opartą o ławkę. Od czasu do czasu hucząc przejeżdżały w dole wagony metra. Skądś wyłoniła się ciężarówka, spryskująca wodą zakurzoną nawierzchnię.

Mieszkałem w Nowym Jorku od lat, ale nie byłem w stanie przywyknąć do tego miasta, w którym człowiek może spędzić całe życie i czuć się wciąż tak obco, jak w dniu, w którym zszedł tutaj na ląd. Zacząłem bezmyślnie studiować napisy na przejeżdżających ciężarówkach — cement, olej, rury, szkło, mleko, mięso, linoleum, guma piankowa, odkurzacze, materiały do pokrycia dachów. Potem pojawił się karawan. Toczył się wolno, okna miał przysłonięte udrapowaną materią, na masce leżał wieniec — kondukt, któremu nikt nie towarzyszył. Max wszedł z apteki i dał mi znak, żebym

począł. Wszedł do kwaciarni i wyszedł stamtąd, taszcząc bukiet. Ruszyliśmy w kierunku Central Park West. Max westchnął:

— Tak, taki właśnie jest Nowy Jork — prawdziwy dom wariatów. Ale co robić? Ameryka jest naszym ostatnim schronieniem.

Milcząc, minęliśmy trzy ulice oddzielające Broadway od Central Park West. Dotarliśmy do dużego, piętnasto- lub szesnastopiętrowego budynku. Przed zadaszonym wejściem stał dozorca w uniformie. Najwyraźniej dobrze znał Maxa. Przywitał się z nami i otworzył drzwi niczym gospodarz zapraszający do wejścia. Max szybko wetknął mu do ręki napiwek. Dozorca podziękował, zauważył, że jest ładna pogoda, po czym szybko dodał, że na jutro zapowiadano w radio deszcz. Tej samej informacji udzielił nam windziarz. Max odburknął:

— Kto by się przejmował tym, co będzie jutro! Na razie jest dzisiaj. Kiedy człowiek dożywa mojego wieku, jest wdzięczny za każdy dzień.

— Ma pan rację, proszę pana. Życie jest krótkie.

Wysiedliśmy z windy na trzynastym piętrze i oto ujrzałem coś, co było dla mnie zupełnie nowym zjawiskiem. W długim korytarzu, pomiędzy drzwiami prowadzącymi do mieszkań, stały fotele i stolik z wazonem, a na ścianie wisiało lustro i obrazy w złotych ramach.

— Ameryka, co? — odezwał się Max. — W Warszawie rozkradliby to wszystko pierwszego dnia. Amerykańscy złodzieje nie poślakomią się na taki łup; ich interesuje tylko gotówka. Niech Bóg błogosławi Kolumba!

Zadzwoił do drzwi; upłynęła minuta, nim zostały otwarte. Palcem lewej, wolnej ręki, Max przecesał i wygładził brodę. Ja również szybko poprawiłem węzeł krawata. Drzwi się otworzyły i przed nami stanęła Miriam. Była niska, nieco, jak na swój wzrost, zbyt krągła, o pełnych piersiach i pozbawionej śladu makijażu twarzy najwyżej szesnastoletniej dziewczynki. Promieniowała z niej dziecięca pogoda; brązowe włosy miała rozrzucone w nieładzie. Jej ciemnoniebieskie oczy błyszczały radośnie, jak oczy dziecka podejmującego dorosłych gości. Rzuciła mi spojrzenie, które zdawało się pytać: „A ty kim jesteś?”, a jednocześnie zapewniało, że kimkolwiek bym był, jestem mile widzianym gościem. Palce Miriam były uwalane atramentem, niczym palce uczniów w starym kraju, paznokcie zaś obcięte (czy może obgryzione) niezwykle krótko. Sukienka, którą miała na sobie, również przypominała krojem fason, jakie nosiły warszawskie uczennice: luźna, z falbanką u dołu, bez najmniejszych pretensji do elegancji. Kiedy nas zobaczyła, wykrzyknęła w warszawskim jidysz:

— Znów kwiaty? Chyba cię zabiję!

Dopiero teraz dostrzegłem na jej wskazującym palcu ślubną obrączkę.

— No, to dalej, zabij! W Nowym Jorku zabija się tylu ludzi, że jeden trup więcej, jeden mniej... Weź bukiet, proszę. Nie jestem twoim służącym, żeby nosić za ciebie twoje kwiaty. I otwórz szerzej drzwi, ty ofiarno!

— Och, tak mnie zaskoczyłeś, że...

Miriam wyrwała bukiet z rąk Maxa i otworzyła na oścież drzwi. Weszliśmy do mieszkania z niewielkim przedpokoikiem, w którym mieścił się jedynie stolik, cały zarzucony notesami i książkami. Przez uchylone drzwi można było dostrzec sypialnię z ogromnym łóżkiem, jeszcze niezaścielonym, na którym leżały porozrzucane sukienki, piżamy, wieszaki, gazety, czasopisma i pończochy. Na poduszce leżały dwa zielonkawe jabłka. Okna wychodziły na Central Park i pokój tonął w słońcu. Przez drugie drzwi dostrzegłem małą kuchenkę, biurko i sofę. Na podłodze przed kuchenką stał garnek. W mieszkaniu nie było dywanów, a parkiet sprawiał wrażenie nowego, świeżo wypolerowanego, jak w domu, do którego dopiero co się wprowadzono. Zauważyłem, że Miriam była w pończochach, lecz bez butów. Biegała tam i z powrotem z bukietem kwiatów w dłoni, szukając wazonu. Po chwili cisnęła kwiaty na łóżko i na poły powiedziała, a na poły wykrzyknęła:

— Nie spałam całą noc, ot co. Mieliśmy tutaj w nocy pożar. Starsza pani, prezeska klubu sierot, zapomniała wyłączyć piecyk i nagle zaczęło się dymić. Przyjechali strażacy i w środku nocy musieliśmy schodzić na dół do westybulu. Mam na imię Miriam — zwróciła się do mnie.

Wykonała coś w rodzaju dygu i wyciągnęła rękę. Najwidoczniej zapomniała jednak, że coś w niej trzyma — i na podłogę wypadł ołówek. Dobrodusznie skarciła Maxa:

— Nawet mnie nie przedstawiłeś! Jesteś bardziej roztrzepany ode mnie. Ale wiem, kim pan jest. Ja mam na imię Miriam, to wystarczy. — Po czym powiedziała ni to do mnie, ni to do siebie: — Chciałabym, żeby pan wiedział, że jestem pańską największą wielbicieleką na świecie. Przeczytałam każde słowo, które pan napisał. W Warszawie chodziłam do żydowskiej szkoły. Czytaliśmy wszystkich żydowskich pisarzy, nawet tych najgorszych. Chcieli, żebym mówiła litewskim dialektem jidysz, ale nie byłam w stanie. Umiałam czytać, ale mówić — nie. Jeśli się zdarzy, że wróciwszy późnym wieczorem do domu, uzmysłowię sobie, że zapomniałam kupić pańską gazetę, wracam na Broadway i szukam. Pewnego dnia chodziłam

prawie godzinę, ale wszędzie była już wykupiona. Potem nagle dostrzegłam jedną, leżała w koszu na śmieci. Ach, jak mi się chciało śmiać!

— A z czego tu się śmiać? — zagrzmiał Max. — Kiedy ktoś kończy czytać gazetę, wyrzuca ją. Nowy Jork to nie Błędów czy Ejszyszki, gdzie ludzie przechowywali gazety w nieskończoność!

— To prawda, ale wyobraź sobie: idę i szukam — niczym ze świecą — kolejnego odcinka powieści, a gazeta leży sobie, jak gdyby nigdy nic, w koszu na śmieci, jakby na mnie czekała. Od razu zaczęłam czytać — pod latarnią, na ulicy. Tak w ogóle to uważam, że nie cyzeluje pan zanadto języka. Pisze pan w taki sposób, w jaki ludzie mówią.

— Tak właśnie powinien postępować pisarz. Nie powinien być purytaninem — powiedziałem — w żadnym sensie tego słowa.

— Tak, to prawda. Czytałam ostatnio, że to, co jedno pokolenie uważa za błędy, następne traktuje jako obowiązujące normy — odrzekła Miriam.

— Jak ci się to podoba? — spytał Max. — Ledwo odrosła od ziemi, a gada jak jakaś uczona.

— Mam dwadzieścia siedem lat, ale jemu się wydaje, że dopiero co się urodziłam. Czasami czuję się tak, jakbym miała sto lat — szepnęła Miriam. — Gdybym opowiedziała panu, co przeżyłam, zarówno w czasie wojny, jak i tutaj, w Ameryce, toby pan zrozumiał. Na moich oczach runął cały świat. Ale pan, mój ulubiony autorze, wskrzesza go na nowo.

— Słyszysz? — wykrzyknął Max. — To największy komplement, jakim czytelnik może obdarzyć pisarza.

— Tysięczne dzięki — odparłem. — Ale żaden pisarz nie potrafi wskrzesić tego, co zniszczyli niegodziwcy.

— Kiedy kupuję gazetę i czytam pańskie opowiadania, rozpoznaję każdą ulicę, każde podwórko. Czasem mam nawet uczucie, że znam tych ludzi.

— Miłość od pierwszego wejrzenia — zamruczał Max, jakby do siebie.

— Nigdy tego przed tobą nie kryłam, Max — powiedziała Miriam. — Kocham ciebie za to, jaki jesteś, a jego za to, co pisze. Co jedno ma wspólnego z drugim?

— Ma, ma — odrzekł Max. — Ale nie jestem zazdrosny. Ja sam go lubię. On nie wie o Polsce i Warszawie nawet jednej setnej tego, co ja. A skąd by miał wiedzieć? Urodził się w jakimś biednym, małym *sztetl*, w zapadłej dziurze. Tak naprawdę to prowincjusz. Siedzi przy swoim biurku i zmyśla. Ale jego wymysły są więcej warte niż moje fakty. Gemara mówi, że kiedy

Świątynia została zburzona, odebrano prorokom dar prorokowania i przekazano go szaleńcom. A wiadomo, że pisarze to szaleńcy, więc dar proroctwa im też został dany. Bo skąd niby taki młody zarozumialec jak on miałby wiedzieć, jak mówił mój ojciec, mój dziad albo moja ciotka Genendełe? Możesz być pewna, że on opíše i nas, wymyślając przy tym rzeczy, które nigdy się nie wydarzyły, i robiąc z nas kompletnych idiotów.

— A niech tam. On nie musi nic zmyślać, sama mu wszystko opowiem — odezwała się Miriam.

— Wszystko? — ryknął Max.

— Tak, wszystko.

— A więc znakomicie, jestem załatwiony. Jak to mówią — uszyto mi buty. Niech gada o mnie, co chce. Kiedy umrę, możecie poćwiartować moje ciało i rzucić psom na pożarcie. Ale póki żyję i przyprowadzam do mojej ukochanej gościa, chcę, żeby go właściwie przyjęła. Włóż jakieś buty i zabierz z podłogi ten garnek. Po co go tam postawiłaś — dla myszy?

— Miałam zamiar podlać fikus.

— Miałas zamiar, co? Chodź, pomogę ci posprzątać. To nie chlew, tylko mieszkanie, ty obłąkane stworzenie.

— A kto ty jesteś, hrabia Potocki? — spytała Miriam. — Nawet mnie nie pocałowałeś.

— Nie zasługujesz na pocałunek. Chodź!

Max rozpostarł ramiona i Miriam rzuciła mu się w objęcia.

— No!

Nie wierzyłem własnym oczom. W ciągu dziesięciu minut Max i Miriam wysprząkali oba pokoje, poukładali wszystko na miejsce i wkrótce mieszkanie wyglądało schludnie i czysto. Miriam uczesała się i włożyła pantofle na wysokich obcasach, dodając sobie w ten sposób wzrostu. Kiedy całowała Maxa, musiała stawać na palcach, podczas gdy on musiał schylać głowę. Kiedy tak stała, wtulona w jego ramiona, rzuciła mi rozbawione figlarne spojrzenie. Zdawało mi się, że dostrzegam w jej wzroku coś drwiącego i obiecującego zarazem. Boże w niebiosach, ten dzień był niesamowicie długi i bogaty w zdarzenia, pomyślał we mnie pisarz. Taka właśnie — pełna zdarzeń, pozbawiona klisz i sentymentalnych rozmyślań powinna być literatura. Słyszałem wprawdzie wiele pochwał pod adresem Joyce'a, Kafki

i Prousta, ale sam postanowiłem nie podążać drogą tak zwanej szkoły psychologicznej czy strumienia świadomości. Literatura winna powrócić do stylu Biblii i Homera: akcja, napięcie, charaktery — i tylko odrobina gry umysłowej. Ale czy takie postanowienie było wykonalne? Czyż moja rzeczywistość i rzeczywistość ludzi mi podobnych nie była nazbyt paradoksalna?

Czułem się coraz bardziej odurzony cygarami Maxa, kawą, którą podała nam Miriam, i rozmową. Wypytywałem Miriam o jej życie, a ona odpowiadała chętnie — krótko, z dziecięcą prostotą. Urodzona? — W Warszawie. Nauka? — W szkole żydowskiej, w Hawacelet, prywatnym gimnazjum hebrajsko-polskim. Jej ojciec należał do Partii Fokistów. Nie był syjonistą, lecz jidyszystą. Mimo to każdego roku wspierał finansowo Żydowski Fundusz Narodowy. Dziadek ze strony ojca miał domy na Lesznie, Grzybowskiej, Złotej. Dziadek ze strony matki był chasydem, wyznawcą cadyka z Góry Kalwarii, i miał sklep z winami. Ile było u nich w domu dzieci? — Tylko dwójka — Manes, starszy brat, który zginął w Powstaniu Warszawskim, i ona, Miriam. Przyjaciółki nazywały ją Marylką, czasem Marianną. W pewnej chwili, kiedy rozmowa zeszła na warszawski Związek Pisarzy, Miriam wyznała:

— Byłam tam tylko raz. Matka poszła kupić bilety na jakiś wykład i zabrała mnie z sobą. Mój nauczyciel był członkiem Związku. Przypadkiem, akurat wtedy, kiedy przyszliśmy, jadł tam coś w głównej sali. Kiedy nas zobaczył, zostawił wszystko i oprowadził nas po całym Związku, jakby to było muzeum. Miałam wtedy dziewięć lat i czytałam już książki w jidysz. Nie tylko podręczniki, ale też książki dla dorosłych. Matka besztowała mnie za to i ostrzegała: „Jeśli nie przestaniesz czytać tych książek, zestarzejesz się przed czasem. Poza tym zapomnisz języka polskiego”. Obiecywałam, że nie będę już ich czytać, ale kiedy tylko matka wychodziła z pokoju, wracałam do lektury. Kogóż ja nie czytałam? Szaloma Alejchema, Abrahama Reisena, Szaloma Asza, Hersza Nomberga, pańskiego brata, Segalowicza. Prenumerowaliśmy w domu „Literarisze bleter” i kiedy podrosłam, czytałam również tę gazetę. Dzienniki po przeczytaniu wyrzucaliśmy, ale czasopisma literackie mój ojciec zawsze przechowywał. Trzymaliśmy w domu wszystkie odcinki przetłumaczonej przez pana powieści, którą drukowano w dodatku do „Literarisze bleter”. Mój nauczyciel — nazywał się Szydłowski — przedstawił mnie tym, którzy byli w Związku Pisarzy. Taka byłam naiwna, że uważałam ich wszystkich za dawno umarłych. Ale tamtego dnia poznałam wielu moich ulubieńców — żyli i bynajmniej nie byli to sędziwi starcy.

Siedzieli i jedli kluski z rosółem. Pana utwory poznałam później, dopiero tutaj, w Ameryce. Kiedy przeczytałam pierwszy rozdział, powiedziałam...

— Nie wychwalaj go tak! — przerwał Max. — Będzie się napawał tymi komplementami, aż spuchnie i w końcu pęknie. Pisarz jest jak koń: dasz mu worek owsa, zje worek, dasz mu dwa worki, połknie dwa. W folwarku mojego ojca koń nieraz dotąd żarł mokłą trawę, póki nie zdechł.

— Och, co ty wygadujesz! — zawołała Miriam z wyrzutem.

— To prawda. Aron może pomyśleć, że zazdroszczę mu tych pochwał, ale ja naprawdę po tysiącokroć życzę mu powodzenia. Przez te wszystkie lata wiele było rzeczy, których pragnąłem, ale pisarzem nie chciałem być nigdy — zajęcie gryzipiórka nigdy mnie nie pociągało.

— A kim chciał pan być? — spytałem.

— Słuchaj no, jeśli wciąż będziesz się zwracał do mnie tak drętwo i oficjalnie, złapię cię za kark i zrzucę ze schodów. Cóż za uprzejmość! Pan! Mów mi po prostu, Max, a jak nie, to idź do diabła! Skoro nasza mała uczennica może być ze mną po imieniu, to ty chyba też. Powiem ci całkiem otwarcie, oboje jesteście mi tak bliscy, jakbyś ty był moim bratem, a ona... No, lepiej sobie daruję. Zdaje się, że zadałeś mi jakieś pytanie, ale nie pamiętam jakie.

— Pytałem, kim chciałeś być?

— A kim nie chciałem? Rockefellerem, Casanovą, Einsteinem, a nawet paszą mającym harem piękności. Ale ślęczeć z piórem w rękę nad kartką papieru — to nie dla mnie. Czytać — i owszem. Dobra książka jest dla mnie tak samo ważna jak dobre cygaro.

— Nie miałam pojęcia, że marzysz o haremie — powiedziała Miriam.

— Marzyłem trzydzieści lat temu, jeszcze zanim ty, Miriam, opuściłaś łono swojej matki. Ale teraz, odkąd mam ciebie, nikt inny nie jest mi już potrzebny. Taka jest gorzka prawda.

— Dlaczego gorzka? — spytała Miriam.

— Bo to znaczy, że jestem o trzydzieści lat starszy, a nie młodszy.

— Biedny Max. My wszyscy z każdym dniem stajemy się młodszy, a tylko on jeden się starzeje. Chciałbyś być coraz młodszy, żeby w końcu znów stać się niemowlęciem? — spytała Miriam.

— Nie, ale chciałbym pozostać trzydziestolatkiem.

— Och, niepoprawny marzyciel — odezwała się po polsku Miriam.

Zapadał zmierzch. Cienie napełniły pokój, ale nikt nie podniósł się, żeby zapalić światło. Od czasu do czasu Max zaciągał się cygarem i czerwona poświata rozjaśniała mu twarz. W jego oczach płonął ogień. Nagle odezwał się:

— Kiedy jestem z wami, czuję się znów młody.

Wysłuchiwałem takich historii nieskończoną ilość razy, ale historia Miriam wydawała się w jakiś sposób inna. Fakty były mniej więcej takie same — w Warszawie wykopano już rowy strzeleckie, a nawet wzniesiono barykady, jednak wybuch wojny we wrześniu 1939 roku dla wielu był zaskoczeniem. Niemieckie bomby zniszczyły mnóstwo domów. Panował już także głód. Miriam była wówczas trzynastoletnią dziewczynką i została w domu tylko z matką. Ojciec wyruszył z tysiącami innych mężczyzn w kierunku Białegostoku.

Te opowieści były mi tak znajome, że od czasu do czasu, kiedy Miriam pomyliła się, podając jakąś datę lub numer domu, poprawiałem ją. Znałem to wszystko na pamięć — głód, choroby, wywożenie Żydów do obozów pracy przymusowej, pożary, strzelaniny, okrucieństwo Niemców, obojętność Polaków. W ruinach getta aktorzy usiłowali wystawiać żydowskie sztuki. W piwnicy ktoś stworzył coś w rodzaju kabaretu, w którym zamożne kobiety zabijały czas, podczas gdy na zewnątrz ginęli ludzie. Później, kiedy mieszkanie Miriam zostało skonfiskowane, a jej matkę wywieziono do obozu koncentracyjnego, dziewczynka przedostała się z getta na stronę aryjską. Jej dawna nauczycielka ukryła ją w ciemnej alkwie, gdzie przechowywano stare meble, szmaty i gazety.

O jej schronieniu dowiedział się syn dozorczyńni, próżniak i bufon, szmalcownik. Była zmuszona zapłacić mu łapówkę z pieniędzy uzyskanych za matczyną biżuterię, którą nauczycielce udało się sprzedać. Zmusił ją także do uległości. Przyszedł do niej i przyłożył jej nóż do gardła. Nauczycielka, stara panna, ze zmartwienia i strachu popadła w chorobę nerwową.

— Sama nie wiem — ciągnęła Miriam — czemu nie popełniłam wtedy samobójstwa. A właściwie to wiem. Po prostu nie mogłam obarczać mojej nauczycielki martwym ciałem. Jak długo mogłaby ukrywać trupa? Niemcy rozstrzelaliby i ją, i wszystkich jej sąsiadów.

— Tak, tak. Taki właśnie jest rodzaj ludzki — powiedziałem. — I tak się dzieje od wieków.

— Ale moja nauczycielka też należała do rodzaju ludzkiego — odrzekła Miriam.

— To prawda.

— Któregoś dnia czytałam twój artykuł na temat religii protestu. Co miałeś wówczas na myśli? — spytała Miriam. — Nie śmiej się, ale ktoś oderwał kawałek strony i nie mogłam dokończyć.

Przez moment się zawahałem. Do rozmowy wtrącił się Max:

— On pewnie zapomniał, o co mu chodziło. Ma tuzin pseudonimów i wciąż musi pichcić nowe teksty. Píše wszystko, co mu wpadnie do głowy.

— Oj, uspokój się Maxe. Daj mu odpowiedzieć.

— Nie, nie zapomniałem, bynajmniej. Miałem na myśli, że ktoś może uznawać mądrość Boga, a jednak nie wierzyć, że jest On jedynie źródłem dobra. Bóg i miłosierdzie to w żadnym razie nie to samo.

— A po co w ogóle zawracać sobie głowę Bogiem? Nie lepiej po prostu Go zignorować? — spytała Miriam.

— Nie możemy chyba bardziej ignorować Boga, niż ignorujemy czas, przestrzeń czy przyczynowość — odpowiedziałem bardziej Maxowi niż Miriam.

— I w czym ten protest nam pomoże? — spytał Max.

— Przestaniemy być pochlebcami i masochistami; nie będziemy już całować różgi, która nas chłoszcze.

— Nie wiem jak ty, ale ja nie mam nic przeciw temu, by radzić sobie bez Boga, Jego mądrości, Jego miłosierdzia i tych wszystkich religijnych rekwizytów — powiedział Max.

— Co więc byłoby podstawą etyki? — spytałem.

— Nie ma żadnych podstaw ani etyki.

— Innymi słowy, rację ma siła?

— Na to wygląda.

— Jeśli rację ma siła, to Hitler miał rację — stwierdziłem.

— Skoro przegrał, to znaczy, że nie miał racji. Gdyby wygrał, przyłączyłyby się do niego wszystkie narody, cały świat.

— Doprawdy, Max, jesteś w błędzie — wtrąciła Miriam. — Nam, Żydom, nie wolno głosić poglądu, że we wszechświecie nie obowiązuje żadna moralność i że człowiek może robić to, co mu się żywnie podoba.

— A niby kim są Żydzi? — spytał Max. — Cztery tysiące lat temu, kiedy my, Żydzi, mieliśmy siłę, napadliśmy na Kananejczyków, Girgaszytów, Peryzzytów i wycieliśmy ich do nogi, mężczyzn, kobiety, dzieci. Zaledwie kilka lat temu nasi chłopcy musieli walczyć w dokładnie takiej samej wojnie. Jaka jest pana, panie Aronie Greidinger, definicja Boga?

— Plan, stojący za ewolucją, Siła, która porusza ciała niebieskie, galaktyki, planety, komety, mgławice i całą resztę.

— Ta siła jest ślepa i nie ma żadnego planu — powiedział Max.

— Skąd możemy to wiedzieć? — spytałem.

— Jeśli chodzi o mnie, to nie ma niczego poza chaosem. A nawet jeśli jest jakiś plan, tyle mnie to obchodzi, co zeszłoroczny śnieg.

— A jednak wciąż mówisz o Bogu, Max — odezwała się Miriam. — I nawet pościsz w Jom Kipur.

— Nie z pobożności, bynajmniej. Robię to ze względu na pamięć rodziców i mojego dziedzictwa. Można być Żydem, nie wierząc w Boga. Cóż to za religia, ta religia protestu? Jeśli Bóg nie istnieje, nie ma przeciw komu protestować. A jeśli istnieje, równie dobrze może zesłać nam nowego Hitlera. Ci, którzy całują różgę, robią to ze strachu. Sam Bóg wyłożył to zwięźle i jasno — będziesz kochał mnie z całego serca swego, z całej duszy swojej, z całej swojej mocy. Jeśli nie, na twoją głowę spadną wszystkie nieszczęścia z Księgi Kapłańskiej i Księgi Powtórzonego Prawa.

— Nikogo nie można zmusić do miłości — zauważyła Miriam.

— Widocznie niektórych można. Nie od razu, ale stopniowo... — odparł Max.

Max zapalił światło i zaproponował, żebyśmy poszli coś zjeść do pobliskiej restauracji, ale Miriam uparła się, że sama przygotuje kolację. Max udał się do sypialni, żeby zatelefonować. Rozmawiał głośno, więc usłyszałem, że mówi coś o akcjach. Miriam otworzyła drzwi od kuchni i zajęła się lodówką.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że jesteś tutaj, w moim mieszkaniu. Kiedy jestem z tobą i z Maxem, mam uczucie, jakbym dalej była w Warszawie, a wszystko, co wydarzyło się później, to tylko senna mara. Gdyby Bóg miał spełnić jedno moje życzenie przed śmiercią, poprosiłabym, żebyście obaj, ty i Max, wprowadzili się do mnie i żebyśmy mogli być razem, we trójkę.

Powiedziała to tak zwyczajnie, z taką dziecięcą niewinnością, że upłynęło kilka chwil, nim zdobyłem się na odpowiedź.

— Jesteś zbyt młoda, by mówić o śmierci — odparłem.

— Zbyt młoda? Przez lata patrzyłam śmierci w twarz. Zaczęłam o niej rozmyślać na długo przed wojną. Jakoś czułam, że mój brat zginie tragicznie. Ciągłe usiłował zaciągnąć się do Armii Polskiej. Ojciec mawiał, że jeśli naziści zdobędą Polskę, mój brat poda nam wszystkim truciznę do wypicia. Tak naprawdę nie mieliśmy powodu, by pozostać w Warszawie. Ojciec mógł zdobyć dla nas wizy, ale był zbyt zajęty interesami. Tamtego dnia, zanim przeszedł przez most Praski, zabrał teczkę z banknotami i papierami wartościowymi. Wszystko poszło w błoto, ale kiedy w 1945 wróciliśmy z Rosji i wyjechaliśmy do Niemiec, znów zaczął robić pieniądze. Został przemytnikiem. Do dziś nie wiem, co szmuglował. Matka zdradziła mi, że kiedyś, gdy policja niemiecka przysłała przeszukać nasz dom — a zagłądali w każdą dziurę — ojciec miał ukrytych ponad siedemdziesiąt tysięcy marek. Jesteśmy dość szczególną rodziną. Mój ojciec to maniak, matka jest szurnięta, a Manes, mój brat, miał nie całkiem po kolei w głowie. Ja zaś jestem największą wariatką z nich wszystkich. Takie już nasze szczęście, że każde na swój własny sposób jest dziwakiem. Kocham Maxa, ponieważ jest kompletnym szaleńcem. A ciebie kocham, bo piszesz o szaleńcach. A tak naprawdę to znałeś tych ludzi, których opisujesz, czy ich wymyśliłeś?

— Dla mnie cały świat to dom wariatów.

— Muszę cię ucałować za te słowa!

Podbiegła do mnie i pocałowała mnie. Bałem się, że Max mógłby wejść i nas zobaczyć, ale usłyszałem, jak krzyczy do słuchawki:

— Texaco? Ile? Poczekaj, Herszele, zapiszę to.

— Kto to jest Herszele?

— Nie nazywa się Herszele, ale Harry Treibitcher, jest rodowitym Amerykaninem. Max uparł się, żeby nazywać go Herszele. To spekulant, niebieski ptaszek, gra na wyścigach. Max dał mu swoje pełnomocnictwo — to czyste szaleństwo, bo Max obraca przecież cudzymi pieniędzmi, pieniędzmi hitlerowskich ofiar. Harry to mistrz w robieniu pieniędzy, ale jeśli znów dojdzie do krachu na giełdzie, to będzie katastrofa dla tych setek uchodźców Maxa. Jak w jidysz mówi się na „pełnomocnictwo”? — spytała Miriam.

— Nie wiem, naprawdę. W świętym języku można by użyć słowa „przyzwolenie”, ale to nie to samo. Teraz w Izraelu są sądy i prawnicy i jestem pewien, że istnieje odpowiednie hebrajskie słowo. „Przyzwolenie” to słowo używane w *bet din*, rabinackim sądzie mojego ojca. Ojciec przygotowywał przed Pesach umowę sprzedaży, na mocy której wszystek chumec na naszej ulicy przechodził na własność stróża. Ale ty pewnie nawet nie wiesz, o czym mówię.

— Wiem doskonale. Uczę się hebrajskiego — powiedziała Miriam. — Mój dziadek zawsze sprzedawał chumec przed Pesach. W mojej rodzinie byli rabini, chasydzi. Ojciec uważał się za heretyka, ale kuchnia była u nas koszerna. Matka w szabat zapalała świece, po czym siadała naprzeciwko i paliła papierosy. Myślę, że to był jej własny sposób wyrażania sprzeciwu lub też jej interpretacja tego, co ty nazywasz protestem. Czytam na temat Żydów i żydostwa wszystko, co tylko uda mi się znaleźć. A jidysz lubię szczególnie. To jedyny język, w którym jestem w stanie dokładnie wyrazić to, co chcę powiedzieć. Przeczytałam *Bohatera naszych czasów* Lermontowa. Zrobił na mnie niezwykle wrażenie. Kiedy tu, w Ameryce, poznałam Maxa, pomyślałam sobie, że to żydowski Pieczorin. Ty zresztą chyba też — chociaż nie, ty jesteś mieszaniną Pieczorina i Obłomowa, a może i Raskolnikowa. Stale się maskujesz. W swojej niedokończonych pracy piszę, że zawsze pozostajesz w ukryciu. Piszę, rzecz jasna, po angielsku. Wiesz, jaki mam cel w życiu? Uczynić cię sławnym. Nie śmieję się, ktoś to musi zrobić. Mam jeszcze jedno pragnienie, a właściwie dwa.

— Cóż to takiego?

— Opowiedzieć ci wszystko, co przeżyłam, wszystko, nie pomijając niczego, nawet największych szaleństw.

— A to drugie pragnienie?

— Nie chcę dziś o tym mówić.

— A kiedy?

— Kiedyś, później. Pamiętasz to opowiadanie, które kiedyś napisałeś? Te historie o poligamii, mężczyźnie, który miał kilka żon? Zmyśliłeś to czy opisujesz kogoś, kogo znałeś?

— To prawdziwa historia.

— Max mówił, że zmyślona.

— Nie, to się zdarzyło naprawdę.

— Po co kobiecie taki szaleniec?

— Kobiety są jeszcze bardziej szalone niż mężczyźni — odrzekłem.

— Wyjechałeś z Polski w latach trzydziestych, ale ja, jak mawiała moja babka, przeszłam przez siedem piekieł. Gdybym opowiedziała ci swoje przeżycia, nie musiałbyś niczego zmyślać.

— Opowiedz, proszę.

— Nie byłabym w stanie opowiedzieć ci choćby jednej tysięcznej. Nie powiedziałam nawet Maxowi. Kocham go nad życie, ale on uwielbia mówić, a nie słuchać. To, co jest między nami, mogłoby wypełnić tysiącstronicową księgę. On ma żonę, kompletną wariatkę — szaloną niczym kapelusznik, jak mówią Anglicy. A dlaczego niby kapelusznik ma być szalony? Sam język zawiera w sobie elementy szaleństwa. Cytuję twoje własne słowa.

— Co? Nigdy czegoś takiego nie mówiłem.

— Napisałeś to w artykule o esperanto i stwierdziłeś przy tym, że brakuje w nim tych przeróżnych osobliwości, które tworzą się w naturalnym procesie rozwoju języka.

— Naprawdę, masz wspaniałą pamięć.

— Wspomniałeś nawet o tym, że mieszkałeś kiedyś przy Dzikiej, której część nazwano później, na cześć twórcy esperanto, ulicą Zamenhofa. Teraz sobie przypominasz?

— Owszem, masz zdumiewającą pamięć.

— Wolałabym nie mieć. Działa na mnie przygnębiająco, zwłaszcza gdy jestem sama. Max często mnie odwiedza, ale jest straszliwie zajęty. Ma żonę, Prywę, i całą czeredę innych kobiet. Kiedy czytałam twoje opowiadanie o poligamii, myślałam, że to o Maksie. On każdą z nich z osobna zapewnia, że jest jego prawdziwą miłością. Obraca ich pieniędzmi, aż w końcu je straci. Współczuje tym kobietom, ale stanie się dla nich Aniołem Śmierci — powiedziała Miriam. — Jest nawet w angielskim takie określenie — zabójstwo z litości.

Max wszedł do pokoju.

— Ceny zwyżkują. W ziemi Kolumba kopujemy złoto łopatami. Co porabiacie? Ona pewnie naopowiadała ci o mnie samych bzdur. Nie wierz ani jednemu słowu. Jest podobna do ciebie, ty bazarzu. Właśnie się dowiedziałem, że muszę wyjechać do Polski. Ojciec zostawił mi w Łodzi dom i Polacy w końcu pozwolili mi go sprzedać — za jedną dziesiątą ceny, rzecz jasna.

— Rozmawiałeś z Harrym? — zapytała Miriam.

— Tak, papiery są już przygotowane. Cały dzień usiłowałem mnie złapać, ale ja byłem zajęty naszym młodym pisarzem.

— Kiedy wyjeżdżasz?

— Wkrótce. Jeśli to pułapka, a komuniści szukają po prostu sposobności, żeby mnie załatwić, będziecie wiedzieli, co robić.

— Chyba jesteś pijany — powiedziała Miriam.

— Urodziłem się pijany. Pif-paf! Świat jest pełen cudów! Co z naszą kolecją?

Rozdział czwarty

Kiedy wyszedłem od Maxa i Miriam, było już po północy. Miriam pocałowała mnie w oba policzki i w usta. Dałem jej swój adres i numer telefonu w domu, gdzie wynajmowałem pokój. W obecności Maxa Miriam obiecała mi, że zadzwoni nazajutrz. Użyła wyrażenia częstego w warszawskim półświatku: „Jesteś na mojej liście”. Kiedy Max oznajmił, iż zostanie jeszcze chwilę, stało się dla mnie jasne, że zamierza spędzić tam noc. Zjechałem windą do holu i wyszedłem na dwór. Na Central Park West nie było żywego ducha. W ciemnościach migotały tylko uliczne światła. Obiecałem Miriam, że wezmę taksówkę, ale po tylu godzinach siedzenia całkiem zeszywniałem i miałem ochotę się przejść.

Wędrowałem powoli wzdłuż parku i choć paliły się uliczne lampy, zagrożony byłem w mroku, którego żadne światło nie mogłoby rozproszyć. Nauczyłem się budowania napięcia nie tylko w literaturze, ale i we własnym życiu — matnia bez wyjścia. Miałem uczucie, że przyciągam przeróżne zagubione dusze — melancholików, niedoszłych samobójców, ludzi opętanych rozmaitymi obsesjami, poczuciem własnej misji, proroczymi snami. Ci, którzy przychodzili do redakcji zasięgnąć mojej rady, często wracali z kolejnymi wątpliwościami i skarżyli się, że moje wskazówki w niczym im nie pomogły. Czytelnicy bez ustanku zasypywali mnie sążnistymi, pełnymi zawiłych opowieści listami, na które ledwo rzucałem okiem. Otrzymywałem nawet przesyłki od pacjentów zakładu psychiatrycznego. Jeden z korespondentów utrzymywał, że cała współczesna medycyna została już dawno opisana w Pięcioksięgu, inny twierdził, że wynalazł niezwykłą maszynę — *perpetuum mobile*. Uchodźcy opisywali swoje doświadczenia z obozów koncentracyjnych w hitlerowskich Niemczech, Rosji Sowieckiej, swoje przeżycia w powojennej Polsce, a nawet tutaj, w Ameryce. Trzeba by sztabu sekretarek, żeby na te wszystkie listy odpowiedzieć.

Wkrótce doszedłem do rogu Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy i Broadwayu. Podobnie jak w Warszawie, wynajmowałem w Nowym Jorku nie jeden, lecz dwa umeblowane pokoje — ten przy Siedemdziesiątej Ulicy

i drugi, z którego korzystałem rzadko, alkowę we Wschodnim Bronksie, w mieszkaniu mojego krajana, Miszy Budnika. Misza zarabiał na życie jako taksówkarz.

Wiedziałem, że w razie potrzeby mogę też przenocować u innych moich przyjaciół, a zwłaszcza u Stefy Kreitler, która była jedną z moich warszawskich przyjaciółek. Ona i jej mąż, Leon, spędzili lata wojny w Londynie, a obecnie mieszkali w Nowym Jorku. Leon, który zbliżał się do osiemdziesiątki, stracił w czasie holocaustu dwie córki i był po ataku serca. Mimo to prowadził jeszcze w Nowym Jorku interesy, obracał akcjami i obligacjami. Córka Stefy z pierwszego małżeństwa, Franka, wyszła za mąż i mieszkała w Teksasie ze swoim mężem, inżynierem, który był chrześcijaninem, oraz z córeczką.

Boże w niebiosach, dobrze już po czterdziestce, a wciąż byłem taki sam jak wtedy, kiedy miałem dwadzieścia lat — leniwy, niezorganizowany i pograżony w melancholii. Jeśli doznawałem jakiejś porażki, choćby drobnej, wpadałem w przygnębienie. Żyłem z dnia na dzień, z godziny na godzinę, z minuty na minutę. Długo stałem na rogu Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy i Broadwayu, kontemplując okruchy dnia. Miałem ochotę pochwalić się jakiemuś znajomemu swoim nowym podbojem, chyba głównie po to, by wzbudzić zawiść. Gdybym tylko mógł zapewnić Miriam, że niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość, będę jej wierny — na swój własny sposób. Było jednak za późno na takie szaleństwo, więc udałem się do swojego pokoju przy Siedemdziesiątej Ulicy.

Wspiałem się na drugie piętro i wszedłem do środka. W wąskiej izdebce mieścił się tylko mały stolik i dwa krzesła. Kiedy otworzyłem okno, dostrzegłem niewielki kawałek rzeki Hudson i jakiś neon w New Jersey, który rzucał na wodę czerwonawą poświatę. Przeraziła mnie myśl, że rzeka płynie tak od milionów lat i wyrzeźbiła swe łożysko pomiędzy skałami palisady, tak starymi, jak sama ziemia. Kiedy wyteżyłem wzrok, dostrzegłem na niebie, wysoko ponad Hudson, samotną gwiazdę.

W pokoju przeczytałem gazety i, jak zwykle, zajrzałem na stronę z nekrologami zawierającymi fotografie mężczyzn i kobiet, którzy zaledwie wczoraj byli żywi i pełni nadziei zmagali się z losem.

— Jaki ten świat jest okropny — mruknąłem do siebie. — Jaki obojętny jest Bóg, który to wszystko stworzył. I nie ma żadnej pociechy.

Miałem świadomość, że w tej właśnie chwili, gdy ja wertuję gazetę, tysiące ludzi dogorywa w szpitalach i więzieniach. W rzeźniach zwierzętom

ucina się głowy, obdziera ze skóry i wypruwa flaki. Niezliczone rzesze niewinnych stworzeń poddaje się w imię nauki okrutnym eksperymentom, zaraża się je okropnymi chorobami.

Rzuciłem się w ubraniu na niepościelone łóżko. Boże, jak długo jeszcze będziesz przyglądał się temu Swojemu piekłu, zachowując spokój? Na co Ci ten ocean krwi i ciał, którego odór roznosi się po Twoim wszechświecie? A może wszechświat to nic innego, jak tylko kupa gnoju? Czy na innych planetach też dręczy się tryliony i kwadryliony stworzeń? Czy powołałeś do życia tę nieskończoną rzeźnię, aby okazać nam Swoją moc i Swoją mądrość? Czy dlatego nakazuje nam się kochać Ciebie z całego serca, z całej duszy?

Noc w noc mój gniew narastał na nowo. Musiałem znaleźć sposób na stłumienie bólu zrodzonego przez bunt. Jak dobrze rozumiałem tych, którzy topili swój ból w alkoholu lub uśmierzali narkotykami! Na szczęście sięganie po takie środki ucieczki jakoś nie leżało w mojej naturze. Zasnąłem i moje sny wypełniły krzyki i płacz. Nie byłem w Nowym Jorku, lecz w Polsce, ścigany przez nazistów. Czołgałem się pośród grobów, które Żydzi sami dla siebie wykopali. Hałdy ziemi poruszały się i tłumiliły wydobywające się spod nich krzyki. Zadygotałem i obudziłem się. Zaskrzypiały zardzewiałe sprężyny materaca, koszulę miałem mokrą od potu.

Przez krótką chwilę nie mogłem sobie przypomnieć wydarzeń poprzedniego dnia, ale stopniowo wracała mi pamięć. Aha, Max Aberdam powstał z martwych i ciągał mnie za sobą po kolei do restauracji Rappaporta, do Prywy, Irki Szmelkes i jej syna, a potem do jakiejś młodej dziewczyny — jak jej na imię? Miałem przed oczami jej obraz, ale nie mogłem sobie przypomnieć imienia — aha! Miriam.

Kiedy wstałem, było już późno. Na dworze świeciło słońce i rzeka, którą mogłem dojrzeć przez okno, iskrzyła się niczym ogniste lustro. W powietrzu unosił się zapach drzew, trawy i kwiatów. Łazienka w holu była wolna, więc wziąłem prysznic, ogoliłem się i włożyłem świeżą koszulę. Postanowiłem wyjść na śniadanie do kafeterii. Kiedy zszedłem na parter, usłyszałem, że dzwoni telefon. Podniosłem słuchawkę. Z drugiej strony dobiegł mnie młody głos mówiący po angielsku:

— Czy mogłabym rozmawiać z panem Greidingerem?

— Przy telefonie — odparłem.

Zaległa cisza. Po chwili głos przemówił:

— Mam nadzieję, że cię nie obudziłam. Tu Miriam, pamiętasz mnie?

— Nie obudziłaś mnie. Tak, Miriam, pamiętam. Miło cię słyszeć.

Zazwyczaj przez telefon mówiłem cicho, ale tym razem prawie krzychałem.

— Max chyba ci mówił, że opiekuję się dzieckiem — zaczęła Miriam.
— Jego matka mieszka przy Park Avenue. To nikt z naszych uchodźców, ona jest Amerykanką. Mówiłam ci wieczorem, że piszę o tobie pracę. Przyszło mi na myśl, że moglibyśmy się spotkać, chciałabym zadać ci kilka pytań. Wiem, że to bezczelność z mojej strony, i nie wezmę ci za złe, jeśli nie będziesz miał dziś ani czasu, ani ochoty na to spotkanie.

— Mam i czas, i ochotę.

— Jadłeś śniadanie?

— Nie, właśnie wychodzę do kafeterii.

— Może spotkamy się w kafeterii? Nie wiem, czy Max ci mówił, że jeżdżę samochodem.

— Samochodem?

— Tak. Zrobiła się ze mnie prawdziwa Amerykanka. To stare auto, ale na chodzie. Co to za kafeteria? Gdzie ona jest?

— Nazywa się Broadway. — I podałem Miriam adres.

— Będę tam za pięć minut. Nie mam garażu, więc parkuję na ulicy. Zanim dojdiesz do kafeterii, już tam będę.

— Gdzie jest Max?

— Max będzie przez cały dzień zajęty. Umówił się z Irką Szmelkes na obiad. Wczoraj w nocy dużo rozmawialiśmy o tobie. To, że ja cię kocham, nie jest w ogóle dziwne, ale Max dziś w nocy powiedział, że jesteś dla niego jak syn. Mówiłam mu, że rano do ciebie zadzwonię. Ach, mam ci tyle do powiedzenia, że nawet nie wiem, od czego zacząć. Do zobaczenia!

Miriam odłożyła słuchawkę. Stałem jeszcze przez pewien czas przy telefonie, jakby w nadziei, że znów się odezwie. Potem wróciłem biegiem na drugie piętro do swojego pokoju.

Włożyłem nowy letni garnitur, który dopiero co sobie kupiłem. Przeżyłem już wiele miłości i miałem za sobą różne związki, które można by określić mianem miłostek. Ale tego ranka ogarnęła mnie taka radość, jakiej nie zaznałem od lat. „Czyżby to naprawdę była miłość — pytałem samego siebie — a nie po prostu chęć przeżycia nowej przygody?”

Kafeteria Broadway leżała prawie dziewięć przecznic dalej, właściwie bliżej Osiemdziesiątej niż Siedemdziesiątej Ulicy. Polubiłem ją, ponieważ stoliki nie były tam metalowe, lecz drewniane, a krzesła wygodne, bardziej swojskie niż gdzie indziej. Panowała w niej europejska atmosfera, często mówiono w jidysz, a czasem po polsku. Nie chciałem zjawić się w kafeterii zziębnięty i spocony. Mój wewnętrzny moralista, pragmatyk, ostrzegwał, że mogę wpaść w matnię, z której nigdy nie wybrnę. Usłyszałem głos matki: „Ta twoja Miriam jest nie lepsza od dziwki, a Max Aberdam to pomyłony libertyn, zdeprawowany rozpustnik”. Doszedł mnie też głos ojca (ileż razy już to słyszałem?): „Będziesz tym pogardzał i będziesz się tym brzydził”.

Był czas kiedy odpowiadałem w myślach moim rodzicom i przekonywałem ich — jednak nie tym razem. Dotarłem do kafeterii w tej samej chwili, w której przystanął przed nią samochód. Z samochodu wyskoczyła Miriam, zwinna, o twarzy uczennicy. Rozświetlała ją biel sukienki, którą miała na sobie. Uśmiechnęła się do mnie i pomachała ręką. Kiedy zdążyła obciąć włosy, krótko niczym chłopak? Wydała mi się wyższa, szczuplejsza i bardziej elegancka niż poprzedniego wieczora. Miała białą torebkę i białe rękawiczki. Przesłała mi kokieteryjny uśmiech kobiety doświadczonej przez życie. Wzięła mnie pod rękę i wkroczyliśmy do kafeterii w takim pośpiechu, że przez moment, przechodząc przez obrotowe drzwi, przyłgnęliśmy do siebie. Nasze kolana się zetknęły. Oboje zaczęliśmy się śmiać z pożądania, które nas ogarnęło. Dostrzegłem pusty stolik przy oknie wychodzącym na ulicę i natychmiast go zająłem.

Miriam zapewniała, że nie jest głodna i chce tylko kawę, jednak w drodze do kontuaru postanowiłem wziąć śniadanie dla nas obojga. Choć na ulicy często czułem się zagubiony i niezdarny, w kafeterii znałem wszystkie zasady — wiedziałem, gdzie leżą tace, łyżki, widelce, serwetki i wszystko inne. Wiedziałem, który ogonek jest po jedzenie, a który po kawę. Kiedy wróciłem do stolika z jajecznicą, rogalikami, masłem, kaszą manną, dżemem i kawą, Miriam znów powiedziała, że nie jest głodna, lecz mimo to spróbowała trochę jajecznicy, wzięła łyżkę kaszy i kawałek rogalika.

Siedzieliśmy przy stoliku niczym para uchodźców, ale to nie ja byłem ofiarą hitleryzmu, tylko Miriam. Nim znalazła schronienie w tym błogosławionym kraju, gdzie żydowska dziewczyna może prowadzić samochód, wynajmować mieszkanie, studiować na uniwersytecie, a nawet pisać dysertację o nikomu nieznanym żydowskim pisarzu, stawiała czoło niezliczonym niebezpieczeństwom. Podobała mi się pierwsza scena tej miłosnej przygody,

jej początek, gdy między przyszłymi kochankami nie ma żadnych zobowiązań, a wszystko, czym sobie odpłacają, to czysta życzliwość, nieskażona wzajemnymi żądaniami, pretensjami, zazdrością.

Wkrótce Miriam Zalkind (powiedziała, że tak brzmi jej panieńskie nazwisko) zwierzyła mi swoje tajemnice. Jej matka w latach trzydziestych była komunistką — należała do tych, których ironicznie nazywano „salonowymi komunistami”, i zbierała pieniądze na pomoc więźniom politycznym. Miała romans z komunistycznym funkcjonariuszem. Ojciec Miriam był członkiem Żydowskiej Partii Ludowej, ale gdy ta partia się rozpadła, zwrócił się ku Poale Syjon, i wspierał centralną żydowską organizację szkolną. Brat Miriam, Manes, został rewizjonistą; należał do frakcji Żabotyńskiego i był orędownikiem zniesienia brytyjskiego mandatu w Palestynie, nawet gdyby wymagało to sięgnięcia po środki terroru. Procesy moskiewskie, antysemityzm Stalina i jego pakt z Hitlerem, wyleczyły matkę Miriam, Fanię, z komunizmu. Kiedy matka wyjechała do Palestyny z jakimś aktorem, ojciec Miriam, Moryc, przeprowadził się do pewnej artystki, Lindy McBride.

— Taka z niej McBride, jak ze mnie Turek — powiedziała Miriam. — Naprawdę nazywa się Beile Knepl, pochodzi z Galicji. Jej pierwszy mąż był chrześcijaninem i ona przyjęła jego nazwisko. Usiłowałam kiedyś czytać jej wiersze, ale tylko mnie rozśmieszyły. Chce być futurystką. Prócz tego maluje, ale jej obrazy są podobne do wierszy — brudne plamy. Nigdy nie zrozumieć, jak mojego ojca może podniecać taka *jenta* jak ona. Wiesz, że nie jestem moralistką. Miałam mężczyzn zarówno w Polsce, jak i tutaj i za każdym razem oddawałam się złudzeniom, że kocham lub przynajmniej jestem kochana. To, co stało się z moją rodziną, jest czymś w rodzaju samobójstwa. Zamiast popełnić samobójstwo w Rosji albo w obozie koncentracyjnym, wielu uchodźców czekało, żeby zabić się tutaj, w Ameryce, kiedy już obrośli w tłuszcz, stali się bogaci i żyją w poczuciu bezpieczeństwa. Nie ma dnia, by nie doszły mnie wieści o śmierci któregoś ze znajomych. Wierzysz, że to wszystko jest jedynie zbiegiem okoliczności?

— Nie wiem, w co wierzyć. Jest coś takiego, jak pragnienie śmierci.

— Znam to — powiedziała Miriam. — Niby uczę się, czytam, znajduję natchnienie w tobie lub w innych, marzę o szczęściu, podróży, posiadaniu dziecka — a w chwilę potem zaczynam czuć się zmęczona całą tą przekłętą grą i mam ochotę skończyć ze wszystkim. U Maxa jest to nawet silniejsze niż u mnie. Nieustannie mówi o śmierci. Chce zabezpieczyć każdego,

wszystkich uchodźców, a zwłaszcza mnie. Co kilka tygodni zmienia testament. Jest optymistą i wierzy, że zostawi po sobie fortunę, ale jestem pewna, że prędzej czy później wszystko straci. Pewnie powiedział ci, że mam męża. Nazywa się Stanley Bardeles. To szaleniec, grafoman bez talentu. Nie chce mi dać rozwodu i piętrzy wszelkie możliwe trudności. Max uważa mnie za dziecko, bezradną małą dziewczynkę, ale ja tak naprawdę często mam uczucie, jakbym była stara, bardzo stara.

— Ilu miałaś mężczyzn? — spytałem, pożałowawszy w tej samej chwili swojego braku taktu.

Oczy Miriam rozbłysły śmiechem.

— Dlaczego pytasz?

— Nie mam pojęcia. Głupia ciekawość.

— Miałam wielu.

— Dwudziestu?

— Przynajmniej.

— Dlaczego to robiłaś?

— Może właśnie dlatego, że pragnęłam śmierci. Ta nauczycielka z Warszawy miała brata. Został moim kochankiem. Zginął potem w powstaniu, w 1944 roku. Kiedy całymi miesiącami leżysz w jakiejś dziurze i nie możesz nawet rozprostować nóg — a żyjesz w ciągłym zagrożeniu — każde spotkanie z kimś ze świata żywych staje się niezwykłym wydarzeniem. To część ceny, jaką zapłaciłam za swoją chęć życia. Kiedy w końcu wyszłam na wolność i zobaczyłam miasto pełne zgliszcz i grobów, miałam uczucie, jakbym sama jakimś cudem powstała z grobu. Napisałeś takie opowiadanie — jak ono się nazywało?

— *W świecie chaosu.*

— No właśnie, czytałam je. Wszyscy uchodźcy mają wiele do opowiedzenia, a niektórzy przeżyli rzeczy gorsze od śmierci. My przedostaliśmy się do Niemiec. Drogi były pełne wszelakiego rodzaju morderców, zbójców, faszystów, różnych fanatyków. Noce spędzaliśmy w jakichś stodołach, stajniach, ziemiankach. Bywało, że obok spał jakiś mężczyzna, który włożył na mnie bez słowa. Nie było sensu wszczynać skandalu. Wszyscy spodziewaliśmy się rychłej śmierci. Jestem pewna, że teraz, kiedy opowiedziałam takie rzeczy, wydam ci się odrażająca. Ale skoro pytałeś, chciałam odpowiedzieć.

— Nie miałem prawa pytać. Ale odrażające nie są dla mnie ofiary, tylko mordercy.

— Z Izraela przyjechali agenci, członkowie Berichy. Mieli nam pomóc. Też mężczyźni, bynajmniej nie anioły. Jaki argument może mieć w tej sytuacji kobieta? Żadnego, poza swoim ciałem. Kiedy dotarliśmy do Niemiec, znów umieszczono nas w obozie. Czekaliśmy na wizy do Ameryki albo do Palestyny. Mój ojciec zajmował się przemytem i dorobił się niewielkiej fortuny, ale nadal byliśmy więźniami. Zrobiłam się przez to cyniczna i zaczęłam wątpić, czy takie rzeczy, jak miłość i lojalność, w ogóle istnieją. W Ameryce natknęłam się na Stanleya Bardelesa. Bardzo mi nadszpeciwał. Byłam przekonana, że odnalazłam wreszcie prawdziwą miłość, i zbyt późno dostrzegłam, że to głupiec. Mój Boże, za piętnaście jedenasta. Nadal jeszcze masz ochotę iść ze mną na Park Avenue?

— Tak, jeśli ty chcesz.

— Jeśli chcę? Każda minuta z tobą to dla mnie czysta radość. Dlatego, że ty i Max jesteście jak bracia, a ja chcę być żoną was obu. Ty się czerwienisz! Jesteś jeszcze dzieckiem — taka jest prawda.

Siedziałem obok Miriam i przyglądałem się, jak prowadzi samochód, paląc papierosa.

— Chciałabym, żebyś wiedział — zagadnęła — że w poprzednim wcieleniu żyłam w Tybecie, gdzie kobieta może poślubić dwóch lub trzech braci. A tutaj — niby dlaczego nie? Po pierwsze, kocham zarówno ciebie, jak i Maxa. Po drugie, Max chce mi znaleźć męża. Często zadaję sobie pytanie, dlaczego mężczyznom wszystko wolno, a nam, kobietom — nic? W naszym związku z Maxem panuje pełna swoboda. Pewnego dnia, kiedy Max spytał mnie, kogo bym chciała mieć za męża lub kochanka, odpowiedziałam bez wahania, że Arona Greidingera. Chyba nie czujesz się urażony tym, że jesteś u mnie na drugim miejscu? Max jest od ciebie starszy. Jest dla mnie najważniejszy i tak pozostanie na zawsze.

— Miriam, jestem zadowolony z tego drugiego miejsca.

— Mówisz poważnie?

— Całkowicie.

Lewą ręką ująłem prawą rękę Miriam, którą mi podała. Nasze dłonie były wilgotne i drżące. Udało mi się odnaleźć jej puls, gwałtowny i mocny. Jechała teraz wzdłuż Madison Avenue, więc spytałem, dlaczego, skoro naszym celem miała być Park Avenue.

— Nie mogę cię zabrać na górę, kiedy matka małego jest w domu — wyjaśniła. — Jak widzisz, wszystko zaplanowałam. Zapisałam ci numer

telefonu. Zadzwoń za dziesięć minut. Kiedy przychodzę, ona prawie od razu wychodzi. Na swój sposób też jest zakochana.

Miriam zatrzymała się i wysiadłem z auta. Wręczyła mi świstek papieru ze słowami:

— Sprawdź, która godzina, i zadzwoń za dziesięć minut. — I nim zdążyłem coś powiedzieć, odjechała.

„Gdzie ten świstek, który dopiero co mi dała?” — zadałem sobie pytanie. Zawsze tak się właśnie działo — ilekroć los zdawał się do mnie uśmiechać, chochliki i demony zaczynały swoje psoty. Nagle zdałem sobie sprawę, że trzymam ten skrawek papieru w lewej ręce. „Dlaczego jestem taki podniecony?” — pytałem samego siebie. I znów usłyszałem głos ojca: „Rozpustnik!”.

Po dziesięciu minutach znalazłem telefon i wykręciłem numer. Miriam odebrała od razu.

— Wyszła — powiedziała. — Możesz przyjść!

Byłem pewien, że Park Avenue znajduje się po mojej prawej ręce, lecz zamiast tam, zaszedłem na Piątą Aleję. Zawróciłem. Dlaczego zawsze wybieram niewłaściwą drogę? Po chwili dotarłem do celu — był to potężny budynek, najwyraźniej dla ludzi zamożnych. Dozorca, wystrojony w uniform ze złotymi guzikami i epoletami, wyglądał niczym generał. Zmierzył mnie podejrzliwym, pełnym powątpiewania wzrokiem. Winda wyposażona była w ławeczkę i lustro, a obsługujący ją mężczyzna odczekał, aż Miriam otworzy drzwi. Wszedłem do mieszkania, które wyglądało jak pałac. Miriam wzięła mnie pod rękę i poprowadziła. Miałem wrażenie, że jesteśmy w muzeum ze wschodnimi dywanami, wspaniałymi tkaninami na ścianach, ogromnymi wiszącymi lampami i rzeźbionymi sufitami. Cichutko otworzyła drzwi do dziecięcego pokoju pełnego kosztownych zabawek. W łóżeczku spał bladziutki chłopczyk o rudych włosach. Obok dostrzegłem butelkę i termometr. „Mógłby być moim dzieckiem” — przemknęło mi przez myśl.

Miriam, jakby czytając w moich myślach, zauważyła:

— Didi jest do ciebie podobny.

— Skąd ci to przyszło do głowy? — spytałem, zdumiony jej telepatycznymi zdolnościami.

— Zostało ci jeszcze kilka rudych włosów na głowie. Jego matka jest ognistoruda. To lesbijka, żyje w separacji z mężem. Mieszka teraz ze swoją

kochanką. Obie pochodzą z zamożnych żydowskich rodzin z Brooklynu. To taki rodzaj namiętności, jakiej nigdy nie zrozumieć. Widziałam raz jej męża, wysoki, przystojny, jak z obrazka. Zrobił doktorat na uniwersytecie harwardzkim. Po co ona w ogóle wyszła za męża i urodziła dziecko, skoro woli kogoś tej samej płci? Z jakiegoś powodu ufa mi i zwierza się. Ach, to wszystko jest takie tragiczne i komiczne zarazem. Znam też tamtą — szkaradna jak noc, mówi głębokim basem.

W salonie antyki były wymieszane ze sztuką nowoczesną: fortepian ze złocistymi zdobieniami, a na ścianach obrazy współczesnych artystów, których nazwisk nie znałem.

— A to wcale nie jest półka z książkami — odezwała się Miriam — tylko barek.

Istotnie, to, co wyglądało na zdobione złotem tomy Szekspira, Milтона, Dickensa i Maupassanta, stanowiło w rzeczywistości drzwiczki sekretarzyka, w którym trzymano butelki z winem, whisky, szampanem i mnóstwem likierów.

— Jeśli chcesz się czegoś napić i zapomnieć o kłopotach, to proszę.

— Nie, dziękuję, nie teraz.

— Max był tutaj parę razy. Pije jak szewc. Potrafi wypić całą butelkę koniaku. Nie upija się, tylko staje się jeszcze bardziej ujmujący. Moja pracodawczyni daje mi całkowicie wolną rękę: mogę tu jeść, pić, przyjmować gości. Nie ma przede mną tajemnic. Co za szaleństwo ją opętało? Kiedy przypominam sobie czas spędzony w tej mrocznej dziurze w domu mojej nauczycielki, to tutaj zdaje mi się jak marzenie. Teraz mam — przynajmniej chwilowo — wszystko, czego potrzebuję. Ale bynajmniej nie jestem szczęśliwa.

— Dlaczego?

— Ty mi powiedz. Może żądam zbyt wiele. Czy coś takiego jak szczęście w ogóle istnieje?

— Czego ci właściwie brakuje?

— Sama chciałabym wiedzieć. Kiedy Max zdecydował się na podróż do Polski, chciał, żebym z nim pojechała, ale na samą myśl, że miałabym tam znów być i wędrować pomiędzy grobami, przechodzą mnie ciarki. Ale on jest dla mnie wszystkim: ojcem, kochankiem, mężem, wszystkim, co mam na tej ziemi. Od czasu gdy moja matka wyjechała z tym kanciarzem, straciłam dla niej całe uczucie. To tak naprawdę pospolita kobieta, która nie

potrafi kochać nikogo poza sobą, nie mam co do tego złudzeń. Mój ojciec jest ulepiony z tej samej gliny. Myślisz, rzecz jasna, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. I masz rację. Jak mogłabym być inna, skoro jestem ich córką? Wiem doskonale, co o mnie myślisz.

— Nie, nie wiesz.

— Tak, wiem. Kocham Maxa, ale skoro on ma inne kobiety i ulega wszystkim swoim zachciankom, dlaczego nie miałabym robić tego samego? On sam ciągle mnie namawia, żebym znalazła sobie innego męża, i nawet proponował, że mi go znajdzie. Ciekawe, czy postępuje tak, bo czuje się winny, czy dlatego, że chciałby się mnie pozbyć. Może ty wiesz, jak wygląda prawda?

— Skąd mogę wiedzieć, jak wygląda prawda? Znam cię niecałe dwadzieścia cztery godziny. Wczoraj o tej porze nie miałem nawet pojęcia, że istniejesz. A co do Maxa, to sądziłem, że nie żyje.

— Masz rację. Ale chociaż ty znasz mnie od niecałych dwudziestu czterech godzin, ja znam ciebie od pięciu lat. Czy ktoś kiedyś napisał powieść o kobiecie, która знаła mężczyznę przez pięć lat, podczas gdy on znał ją zaledwie jeden dzień? Bohaterem musiałby być pisarz, ktoś taki jak ty, a bohaterka — podobna do mnie.

— Równie dobrze mógłby być aktorem — zauważyłem.

— To prawda, ale ja nigdy nie mogłabym się zakochać w aktorze. Aktor powtarza tylko cudze słowa. Mogłabym pokochać jedynie kogoś, kto mówi własnym głosem, nawet gdyby były w nim fałsz czy szaleństwo. Prawda jest taka, że my oboje, ty i ja, jesteśmy ulepieni z tej samej gliny.

— I nie chcesz jeszcze mieć dzieci.

— Chcę ciebie — odparła Miriam.

Objęliśmy się mocno i spojrzeliśmy na siebie. Nasze oczy zdawały się pytać: czy to już? Jednak pytanie pozostało bez odpowiedzi, bo nagle zaczął głośno dzwonić telefon. Didi się obudził, doszedł nas jego płacz.

— Zaczekaj! — zawołała Miriam i wyrwała mi się. Dzwoniła jej chlebowdawczyni z wiadomością, że niespodziewanie wraca do domu. Wiedziałem, rzecz jasna, że muszę sobie iść. Miriam poszła do pokoju dziecka, uspokoila chłopca i wróciła, by pocałować mnie na pożegnanie. Czekaając na windę, zerknąłem za siebie: Miriam stała w drzwiach i robiła wrażenie zasmuconej. Przyglądaliśmy się sobie, zdumieni wzajemnym pożądaniem.

Rozdział piąty

Nazajutrz rano w redakcji poproszono mnie do telefonu. Kiedy podniosłem słuchawkę, odezwał się głos, mówiący polskim dialektem jidysz:

— Czy pan Aron Greidinger, pisarz?

— Tak. Mogę wiedzieć, kto mówi?

— Chaim Joel Treibitcher.

Wiedziałem, że to przyjaciel Maxa, a zarazem wuj jego współpracownika, Harry'ego Treibitchera.

— Przysłano mi ostatnio pańską powieść — oznajmił. — Przeczytałem ją od deski do deski. Jak pisarzowi udaje się zapamiętać takie rzeczy? Są w pana książce słowa i zwroty, jakich nie słyszałem od czasu śmierci mojej babki, Tircy-Mejtl, niech spoczywa w pokoju.

Chciałem mu powiedzieć, że ten telefon to dla mnie niespodziewany zaszczyt, ale nie byłem w stanie przerwać potoku jego słów. Mówił tak głośno, że trzymałem słuchawkę z dala od ucha. Na poły mówił, a na poły śpiewał tonami i półtonami rodem z domu nauki, chasydzkiej bóżniczki, czarnorynkowej giełdy i ze śladami zgermanizowanego jidysz, jakim mówiono w salach kongresów syjonistycznych.

— Jak to możliwe, że pan tyle pamięta? — ciągnął. — Czy przekonał pan Anioła Zapomnienia, by zarzucił swą władzę nad panem? Czy na zakończenie szabatu, po Hawdali, intonuje pan *armimas, rmimas, mimas, imas, mas*? Czy nigdy, jako chłopiec, nie pił pan wody, która została pańskiej matce — niech spoczywa w pokoju — po zagnieceniu ciasta? I nigdy pan nie jadł ścięgien i dbał o to, by nie wkładać rękawów kaftana razem z małym tałesem?

— Ma pan doskonałą pamięć — udało mi się wtrącić.

— A kim jest człowiek pozbawiony pamięci? Nie lepszy od krowy. Gemara mówi, że nakazy: „«Masz patrzeć i masz pamiętać» pochodzą z niebios”. No, ale przejdźmy do rzeczy: mój dobry przyjaciel, znany w tych

stronach jako Max Aberdam, i moja żona, Matylda, postanowili polecieć razem do Polski. Pozwoli pan, że będę się streszczał. Przygotowujemy dla nich niewielkie przyjęcie, bankiet pożegnalny, niech pan to nazywa, jak chce. A ponieważ pan i Max, o ile wiem, przyjaźniliście się w Warszawie, a tutaj ostatnio odnowiliście swoją znajomość, zapraszamy pana do nas na kolację. Niech się pan nie obawia, jedzenie w moim domu jest całkowicie kosherne — bezpieczne nawet dla największych skrupulantów. Nie musi pan pisać o tym w gazecie, choć mała reklama nigdy nie zaszkodzi. Ameryka w końcu żyje reklamą. Mieszkam przy West End Avenue, niedaleko pana.

— Skąd pan się dowiedział o mojej przyjaźni z Maxem Aberdame? — spytałem.

— Rozmawiałem już z Maxem. Obiecał, że przyprowadzi swą drogą małżonkę, Prywę, a może i tę swoją sekretarkę, Miriam. Będzie niewiele osób, tylko jeden stół. Byłby pan uprzejmy zapisać datę i adres...

Podziękowałem Chaimowi Joelowi Treibitcherowi i powiedziałem mu, że wiem, ile uczynił dla jidysz, hebrajskiego i sztuki żydowskiej. Odpowiedział w swój własny sposób:

— *Ejsze beszejsze polewine*. Nie warto o tym mówić...

Zaproszenie do domu tego szacownego człowieka było znakiem, że moje akcje idą w górę. Swoją drogą unikałem dotąd obiadów, bankietów i przyjęć, bo nigdy nie miałem nawet odpowiedniego ubrania. Mieszkając w Ameryce, stroniłem od ludzi. „Lepiej dać sobie z nimi spokój” — mamrotał mieszkający we mnie mizantrop. No i jakże — jedno spotkanie z Maxem Aberdame przyniosło mi niezliczone komplikacje. Wróciła moja dawna nieśmiałość, nieśmiałość, która tak na dobre nigdy mnie nie opuściła. Matylda była snobką i na jej przyjęciu wymagany był pewnie smoking, wykrochmalona koszula i czarny krawat. Zadzwoiłem do Maxa do domu, ale nikt nie odpowiadał. Zatelefonowałem więc do Miriam, która również została zaproszona.

— Jaki to ma sens? — odparła. — Nie mam odpowiedniej sukienki, butów ani cierpliwości. Wiesz chyba, że Matylda przez ponad trzydzieści lat była kochanką Maxa?

— Krążyły takie plotki po Warszawie.

— Wszyscy o tym wiedzą. To tajemnica poliszynela. Myślę, że chyba nie pójdę na to ich przyjęcie. Matylda uwielbia odgrywać wielką damę. Będę się czuła jak ryba bez wody. — Po czym spytała: — Co teraz robisz?

— Ach, nic takiego.

— Przyjedź!

— Kiedy?

— Teraz, w tej chwili.

No tak, mówiliśmy sobie po imieniu, ale wciąż nie wyszliśmy poza pocałunki. Otto Weininger ostrzegał w swych pracach przed wpadnięciem w sidła kobiety, istoty pozbawionej etyki, pamięci i logiki, z natury stręczycielki, będącej afirmacją materii i zaprzeczeniem ducha. Mimo to odparłem:

— Jadę.

— Kiedy? Weź taksówkę. Nie każ mi czekać. Potrzebuję cię teraz bardziej niż kiedykolwiek — powiedziała Miriam.

— Ja też ciebie potrzebuję.

Byłem ciekaw, dlaczego Max przystał na nasz związek. Otto Weininger nazywał kobietę „stręczycielką”, ale w naszym przypadku prawdziwym stręczycielem był Max. Zazdrość ma swoje przeciwieństwo — chęć łączenia, jak to nazwał Otto Weininger. Pragnienie dzielenia się, wspólnoty seksualnej. Dostrzegałem to zarówno u mężczyzn, jak też u kobiet, zwłaszcza wśród członków warszawskiego Związku Pisarzy. Właściwie po raz pierwszy zetknąłem się z tym fenomenem w Pięcioksięgu, kiedy byłem uczniem chederu: Rachela dała Jakubowi swoją służącą Bilpę jako konkubinę, a Lea dała mu Zilpę. Wszystkie osobliwości współczesnego człowieka miały swe korzenie u zarania cywilizacji. Z słuchawki dobiegł mnie rozkazujący głos Miriam: „Weź taksówkę!”. Niemal wykrzyczała te słowa. Był w nich ton nakazu, niecierpliwość pożądania, którego dłużej nie sposób już powstrzymać.

Nie byłem przyzwyczajony do zatrzymywania taksówek na ulicy, ale udało mi się jąkaś znaleźć. „Czy ktokolwiek znalazł się kiedyś w tak dziwnym położeniu?” — zadałem sobie pytanie, jadąc taksówką. „Czy ktokolwiek napisał kiedyś powieść o kimś takim jak ja, o takich miłościach i plątaninie podobnej do tej, w jaką ja się uwikłałem?”. W porównaniu z moją sytuacją wszystkie opowieści, jakie czytałem, zdawały mi się nieskomplikowane i wolne od powikłań. O ile wiem, nikt w tych książkach nie był tak biedny jak ja, no, może poza bohaterem *Głodu* Knuta Hamsuna. Ale on nie wplątywał się w żadne prawdziwe historie, tylko fantazjował. Taksówkarz zatrzymał się i zapłaciłem za kurs. Kiedy odjechał, zdałem sobie

sprawę, że zamiast jednego dolara dałem kierowcy banknot pięciodolarowy. Byłem taki biedny, a — jak widać — dane mi było jeszcze tracić.

Wjechałem windą na trzynaste piętro. Kiedy podniosłem rękę, by naciśnąć dzwonek, drzwi się otworzyły. Najwyraźniej Miriam stała za nimi, oczekując mnie. Objęliśmy się bez słowa. Moje kościste kolana uderzyły o jej kolana, popychając ją w głąb mieszkania. Drzwi zatrzasnęły się za nami, być może pchnięte podmuchem przeciągu. Nie traciliśmy czasu na wątpliwości czy skrupuły. Upadliśmy na łóżko. Miriam miała na sobie tylko szlafroczek. Oddaliśmy się sobie w milczeniu, kęsając w pożądaniu swoje usta. Zapadł zmierzch, a my wciąż zmagaliśmy się, usiłując wydobyć ze swych ciał całą możliwą rozkosz. W myślach zaklinałem telefon, by nie dzwonił — i telefon milczał. Widać robiłem to dostatecznie mocno, bo w chwili gdy wstaliśmy, telefon zaczął szaleńczo dzwonić, jak gdyby nie mógł już dłużej wytrzymać.

— Halo, Max — usłyszałem słowa Miriam, więc wycofałem się do łazienki. Nie chciałem podsłuchiwać ich rozmowy. Nie zapaliłem światła i w lustrze odbijającym rozjarzone nowojorskie niebo ujrzałem widmową postać, wyglądającą niechlujnie i niedbale. Byłem jak Ezaw, wracający z łupem z polowania, zmęczony, gotów na śmierć, pragnący sprzedać swe pierworództwo za miskę soczewicy. Zdradziłem wszystkie swoje wcześniejsze uczucia, zdradziłem samego siebie, zdradziłem te siły, które ostrzegały mnie, że sam sobie wiązę pętlę, z której nigdy nie będę w stanie się wyswobodzić.

Drzwi do łazienki otworzyły się i do środka wśliznęła się Miriam, na wpół naga, tylko w pończochach. Znów wziąłem ją w ramiona i staliśmy tak w ciemnościach, milcząc. W blasku jej oczu dostrzegłem ten szczególny rodzaj zadowolenia, który pojawia się pomiędzy kobietą i mężczyzną, gdy potwierdzają *fait accompli*.

W końcu się odezwałem:

— Powiedziałaś Maxowi, że tutaj jestem?

— Nie.

Dzięki Bogu, wymamrotałem do siebie.

Wróciliśmy do sypialni, w której wciąż jeszcze było ciemno. Przypomniałem sobie często powtarzane powiedzenie: „Noc jest stworzona dla miłości”. Wyrażało głęboką prawdę. Ludzie nie utracili jeszcze wstydu, o którym powiada Genesis, i zmysł dotyku bardziej im służy niż zmysł

wzroku. Leżeliśmy w łóżku, w pewnym oddaleniu, jakby pozostawiając wolną przestrzeń dla swych myśli. Uświadomiłem sobie, że nie pamiętam dokładnie, jak wygląda Miriam. Tak naprawdę wciąż jeszcze byliśmy sobie obcy, podobnie jak nasi pradziadkowie i prababki, kiedy w noc poślubną łączyli się w pogrążonej w mroku małżeńskiej komnacie, do której prowadzono ich po *mycwe tanc*.

— Czy Max wie o tym, że zjedliśmy razem śniadanie i rozmawialiśmy o twojej pracy? — spytałem.

— Tak, mówiłam mu.

— Gdzie on jest?

— U Treibitcherów. Je z nimi kolację.

— O czym tak długo rozmawialiście? — spytałem, niepewny, czy mam prawo to wiedzieć.

Miriam nie odpowiedziała. Zacząłem już się zastanawiać, czy dosłyszała moje pytanie, ale w końcu odparła cicho:

— Max i Matylda pozostaną w Polsce dłużej, niż pierwotnie planowali. Zamierzają odbyć podróż po Europie. Chcieliby, żebyśmy spotkali się w Szwajcarii.

— Jaki to ma sens? — spytałem.

— Nie ma sensu, najmniejszego.

Miriam wypowiedziała ostatnie słowa, na wpół śpiąc. Chciałem jeszcze o coś zapytać, ale spała już jak zabita. Zapomniałem, jak szybko młodzi ludzie potrafią zasnąć. Przez chwilę leżałem nieruchomo. Jestem szczęśliwy, zapytywałem samego siebie, czy też nie? To pytanie pozostało jednak bez odpowiedzi. Na poły drzemałem, na poły śniłem na jawie. Nie będziemy trzymać w tajemnicy przed Maxem tego, co stało się dzisiaj. Nie został przecież zdradzony, wszak to on był tym, który nas ze sobą poznał. Miriam go kochała. Nawet pośród namiętnych westchnień mówiła o swojej miłości do niego. Kiedy zapewniałem ją, że nie będę nigdy zazdrosny o tę miłość, wiedziałem, iż nie są to czeze słowa. Zawarliśmy milcząco niepisany pakt.

Zapadłem w głęboki sen, sen bez snów. Kiedy otworzyłem oczy i spojrzełem w mrok, nie mogłem sobie niczego przypomnieć: gdzie jestem, kim jestem, co robię. Przez chwilę zdawało mi się, że znów jestem w Polsce. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem włosów, szyi, piersi. Czy to Lena? Sabina? A może Gina? Nie, Gina nie żyje. Nagle wszystko do mnie wróciło. W tej samej chwili Miriam się obudziła i spytała:

- Max?
- Nie, to ja.
- Chodź.

Rzuciliśmy się na siebie z nowym pożądaniem.

Powiedzieliśmy Maxowi, że nie pójdziemy na przyjęcie do Chaima Joela Treibitchera, ale Max nalegał, byśmy się tam koniecznie wybrali.

— Jaki to ma sens, chować się jak ślimak w kapuście — przekonywał. — Nawet ten, kto jest po uszy zanurzony w księgach, prędzej czy później musi wytknąć stamtąd nos. Jeśli chcesz być pisarzem, powinieneś obcować z ludźmi. Nie jesteś młodzieniaszkiem ani debiutantem. Puszkina i Lermontowa w twoim wieku byli już sławni na cały świat. Długo jeszcze zamierzasz chować głowę w piasek jak struś? — Po czym zwrócił się do Miriam: — Jeśli ty, Miriam, nie weźmiesz go w swoje ręce i nie zrobisz z niego człowieka, on na wieki pozostanie wałkoniem i oboje będziecie mogli wbić zęby w ścianę.

Przemawiał nie jak jej kochanek, ale jak ojciec wydający córkę za mąż. Jednym okiem ciskał pioruny, drugim mrugał porozumiewawczo.

— Nie będę na wieki twoją niańką — ciągnął. — Moje własne dzieci zostały mi odebrane i teraz wy jesteście dla mnie moimi dziećmi. Aronie, skoro rozdajesz swoje rady na prawo i lewo, nie możesz sam pozostać taką ofiarą. Jeśli coś się ze mną stanie, zostaniecie bez środków do życia.

- Co się z tobą dzieje, Max? — spytała Miriam.
- Nie zwariowałem, bynajmniej. Wiem, co mówię.
- Będziesz żył sto dwadzieścia lat.
- Może tak, a może nie. Nie mogę ci tego zagwarantować.
- Nie jedź do Polski, Max.
- Bądź cicho, Kozo!

„Kozo” była jednym z pieśczośliwych imion, których Max używał wobec Miriam. Wymyślił ich dla niej siedem — siedem „imion Jetry”, jak je nazywał — Małańka, Okruszyna, Czarodziejka, Panna Marianna, Cielątko, Etł-Betł i Kozo. Dowiedział się, że w Warszawie nazywano mnie Cucik, czyli chłopaczek, więc natychmiast zaczął się w ten sposób do mnie zwracać. Dodał do tego Osiołka, Gryzpiórka i Skrybę. Miriam nazywała mnie

Studentem Jesziwy i Motylem. Ja z kolei nadałem Miriam imię, którego używała wobec mnie matka — nazywałem ją Skarbem.

Tego wieczora Max zaprosił nas do restauracji przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Ze zgrozą przyglądałem się, jak pali cygaro za cygarem. Zamówił befsztyk i dwa gatunki alkoholu. Miriam upomniwała go, jak to już robiła nieskończoną ilość razy, że doktor zabronił palić mu więcej niż dwa cygara dziennie. Zalecano mu także, by przeszedł na dietę i pił najwyżej jednego drinka dziennie.

— Nie dzisiaj, moja droga, nie dzisiaj — bronił się Max. Wyjął z kieszonki na piersi małe pudełko i włożył do ust białą pigułkę.

Kiedy siedzieliśmy przy stoliku, Max opowiedział nam niektóre szczegóły z życia Chaima Joela Treibitchera. Był bogaczem. Imperium, które zbudował w Ameryce, przewyższało rozmiarami nawet to, które miał w Europie. Sypiał cztery godziny w nocy i trzy kwadransy w dzień — dokładnie, co do minuty. Leżąc w łóżku, niemal każdej nocy wpadał na jakiś nowy pomysł służący pomnożeniu majątku. W latach trzydziestych skupował domy i fabryki, a także akcje i papiery wartościowe; ich ceny poszły potem w górę. W Miami Beach nabył parcele, warte obecnie majątek. Na długo przedtem, nim Izrael stał się żydowskim państwem, kupił domy i działki w Jerozolimie, Hajfie i Tel Awiwie. Wszystko, czego dotknął, przemieniało się w złoto. Jego żona, Matylda, też była bogata z domu. Bratanek Harry, który działał jako makler Maxa, urodził się w Nowym Jorku.

Niedawno Chaim Joel Treibitcher rozpoczął nowe przedsięwzięcie. Chciał, by to, co najlepsze w literaturze jidysz i hebrajskiej, zostało przetłumaczone na kilka europejskich języków. Planował również wydawanie dziennika i akademickiego słownika jidysz-hebrajskiego. Max tak wychwalał Miriam przed Matyldą, że ta wiele razy już prosiła, by przyprowadził Miriam do ich domu. Treibitcherowie chętnie pomagali uzdolnionym uchodźcom w rozwijaniu ich talentów. Z radością ufundowaliby Miriam stypendium, aby mogła dokończyć rozpoczętą dysertację, poświęconą mojej twórczości. Max zażądał, byśmy obiecali, że oboje pojawimy się na przyjęciu — oczywiście, nie razem. On, Max, przybędzie tam wraz ze swą żoną, Prywą. Nic na to jednak nie odrzekliśmy.

Po kolacji Miriam spytała Maxa, czy przyjdzie do niej.

— Nie dzisiaj, moja droga, nie dzisiaj. Ty z nią idź — zwrócił się do mnie. — Mężczyzna w moim wieku powinien mieć zmiennika. Poza tym

obiecałem Prywie, że wrócę dziś wcześniej. Aronie, czy ty nigdy nie myślałeś poważnie o tym, żeby się ożenić?

— Nikt mnie nie chciał — odparłem.

— Ona ciebie chce — Max wskazał na Miriam.

— Chcę was obu. Taka jest prawda — powiedziała Miriam.

— Ty bezwstydnico!

— Co jest dobre dla gąsiora, to dobre i dla gęsi.

— Masz już swojego mężczyznę.

— Po pierwsze, Stanley to nie mężczyzna, tylko golem. Po drugie, braliśmy ślub w urzędzie, nie przed rabinem.

— No proszę, jaka uczona. Gdyby nasi dziadowie mogli cię słyszeć, rozdarliby swe ubrania w rozpacz i odbywali żałobę nie siedem dni, ale siedem lat.

— I co by to dało? — spytała Miriam.

— Ponieważ Wszchemocny zachowuje milczenie, skąd możemy być pewni czegokolwiek? — spytał Max. — Pragnie, żebyśmy znali prawdę, ale my jesteśmy jak oślepte konie, błakające się w mrocznych wąwozach. Czasami nazywam cię krową, Miriam. Ale prawdziwą krową jest moja żona, Prywa. Wysiada przy swoim stoliczku, pali czerwoną lampkę i niczym wróżka z Endor wywołuje wszystkie możliwe duchy — Spinozę, Karola Marksa, Jezusa, Buddę, Baal Szem Towa. Nakazuje im przyjść, więc przychodzą i przynoszą jej wieści z tamtego świata.

Kiedy opuściliśmy restaurację, Max mruknął:

— Potrzebna mi ta podróż do Polski jak dziura w głowie. Dajcie mi słowo, oboje, że przyjdziecie na to przyjęcie. — Max złapał nas za ręce; jego dłonie były niezwykle ciepłe. — Arele — powiedział — nie bądź głupcem. Uda ci się, zobaczysz. Taxi!

Taksówka zatrzymała się, a Max wykrzyknął do nas:

— Do zobaczenia na przyjęciu!

Postanowiliśmy z Miriam, że nic nie powiemy Maxowi o naszym związku. Może zdawał już sobie sprawę z jego istnienia i niepotrzebne było żadne wyznanie. Jeśli zaś nie wiedział lub nie był pewien, po co niepokoić go przed wyjazdem? Rozmawialiśmy o nim w taki sposób, jak dzieci rozmawiają

zazwyczaj o swoich ojcach. Powiedziałem Miriam, że ma ukryty kompleks ojca (nie miałem na myśli kompleksu Edypa), a Miriam nie zaprzeczyła. Zauważyła oschle:

— A która córka go nie ma?

Przyznała się, że często mówi do Maxa „Tatele”.

Do tej pory sądziłem, że nie byłbym w stanie kochać kobiety, wiedząc, że ona kocha innego. Jednak teraz uświadomiłem sobie, że prawdę powiedziawszy, zdarzało się to często i wcześniej. Bywałem już zakochany w mężatkach. Kochałem je dla nich samych i nigdy nie byłem zazdrosny o ich mężów. Wprost przeciwnie, wykorzystywałem każdą sposobność, by uzmysłwić im, że mąż zawsze powinien być najważniejszy. Zadałem sobie pytanie, czy takie postępowanie było po prostu pragmatyczne, czy też stanowiło przykrywkę dla moich dość osobliwych norm moralnych. W tamtych czasach wierzyłem, że ożywienie seksualne doprowadzi do nieoficjalnej wprawdzie, ale akceptowanej poligamii i poliandrii. Współczesny mężczyzna, który przystałby na to, żeby przejść przez życie z jedną kobietą, czy kobieta, która zgodziłaby się na związek z jednym tylko mężczyzną, to rzadkość. Społeczeństwo, w którym panuje całkowite zakłamanie seksualne, a cudzołóstwo jest na porządku dziennym, zostanie zmuszone — jak sądziłem — do jakiegoś kompromisu w tej sferze. Często myślałem, że istota zdrady nie leży w fakcie, iż dwóch mężczyzn dzieli się jedną kobietą lub dwie kobiety — jednym mężczyzną, ale w kłamstwach, do których obie strony są zmuszane, w wyrafinowanych oszustwach, narzucanych przez prawo tym, którzy postępują po prostu w zgodzie z własną naturą oraz potrzebami fizycznymi i duchowymi. Po raz pierwszy kochałem kogoś, kogo nie chciałem oszukiwać i przez kogo nie chciałem być oszukiwany.

Jak przyjemnie być z młodą kobietą bez konieczności zapewniania jej, że jest i pozostanie moją jedyną miłością! Jak miło mieć świadomość, że nie muszę żądać od swojej ukochanej tego, o co nie chcę, by mnie samego poproszono. Całymi dniami — które spędzaliśmy zazwyczaj w mieszkaniu przy Park Avenue, gdzie Miriam opiekowała się małym Didi — rozmawialiśmy o Eskimosach, Tybetańczykach i innych ludach, wśród których nie rozwinął się w ogóle zmysł seksualnego posiadania. Opowiedziałem Miriam o grupie anarchistów, zwolenników Proudhona, Sturmera, Madame Kollątaj i Emmy Goldman, którzy uznawali wolną miłość za podstawę sprawiedliwości społecznej i przyszłości rodzaju ludzkiego. Jedynym pytaniem pozostawało: co będzie z dziećmi? Ja sam nie miałem najmniejszej ochoty

ojcować nowemu pokoleniu. Jednak Miriam nieustannie mówiła o swojej obudzonej tęsknocie za macierzyństwem.

Dzień przed przyjęciem spędziłem z Miriam i po raz pierwszy zostałem w jej mieszkaniu na noc. Minęły dwa tygodnie, odkąd Max nas sobie przedstawił, ale wydawało mi się, że było to bardzo dawno. Tego wieczora, kiedy wyszliśmy z kafeterii i spacerowaliśmy po Broadwayu, po raz pierwszy poczułem spokój, który daje prawdziwa miłość. Nie marzyłem o niczym innym poza tym, żeby być z Miriam. Było lato, szliśmy pod rękę. Z dziewczęcej twarzy Miriam biła zaduma, w której zawierała się dla mnie prawdziwa istota życia. Z Broadwayu skierowaliśmy się w stronę Central Park West. Setną Ulicę minęliśmy jak we śnie. Dotarliśmy do domu, w którym mieszkała Miriam. Windziarz zawiózł nas w milczeniu na górę. Weszliśmy do pogrążonego w mroku mieszkania, którego okna wychodziły na park. Byliśmy zmęczeni i położyliśmy się w ubraniach na szerokim łóżu Miriam, wsłuchując się w rytm naszych serc. Miriam dotknęła ustami mojego ucha i wyszeptwała:

— To twój dom.

Często rozmyślałem o zwierzętach i ich miłosnych obyczajach. Choć niektóre z tych bożych stworzeń były tak potężne, nie objawiały — o ile wiem — jakiejś szczególnej waleczności w sferze seksualnej. Widziałem w zoo na własne oczy gody koni, wołów i lwów. Robiły, co miały zrobić, i wracały do swego zwierzęcego bytowania. Myślałem, że dzieje się tak z powodu braku mowy; wszak dla mężczyzny i kobiety język jest instrumentem pożądania. To słowami mężczyzna i kobieta wyrażają swoje tęsknoty, swoje potrzeby, wszystko to, co się wydarzyło i co mogłoby się wydarzyć. Powracającym tematem tej nocy był Max. Obiecaliśmy sobie, że nigdy nie będziemy go oszukiwać, lecz traktować jak bratnią duszę. Przeżywałem już burzliwe porywy, ale wierzyłem, że to, co ma teraz miejsce między mną i Miriam, przewyższa wszystko, co zdarzyło się wcześniej. Tego wieczora wcześniej się położyliśmy i kiedy później, na pół drzemiąc, zerknąłem na błyszczącą tarczę zegarka, dostrzegłem, że jest wpół do trzeciej.

Kiedy znów przymknąłem oczy, zdawało mi się, że słyszę Miriam, szepczącą do mnie jakieś słowa, ale nie mogłem zrozumieć ich znaczenia. Nagle wydała z siebie stłumiony okrzyk. Obudziłem się natychmiast, zdjęty przerażeniem. Ktoś dobijał się do drzwi wejściowych, usiłując je wyważyć. Miriam zerwała się, omal nie spadając z łóżka. Złodziejowi, mordercy, czy kto to tam był, udało się wejść do środka. Nagle w korytarzu rozblęskło gór-

ne światło i ujrzałem przed sobą młodego mężczyznę, niskiego i krępego, z długimi włosami i czarną brodą. Miał na sobie różową koszulę i przybrudzone spodnie. W prawej ręce trzymał rewolwer, w lewej małą teczuszkę. Przypominało to scenę ze szmirowatego filmu, choć zdałem sobie sprawę, że może to moja ostatnia chwila. W sekundę później byłem już opanowany i spokojny. Miriam, całkiem naga, zamierzyła się, jakby chcąc uderzyć mężczyznę, ale nagle zastygła w bezruchu.

— Stanley! — wykrzyknęła.

— Tak, to ja — odezwał się młody człowiek. — Nie próbuj, proszę, krzy-
czeć ani robić żadnych głupstw.

Usiadłem na łóżku, też nagi, i przyglądałem się całej scenie z ciekawością i bez lęku, który powinna była we mnie wzbudzić. Wiedziałem, że Stanley jest prawowitym mężem Miriam. Opowiadała już o nim wcześniej — o jego seksualnej nieudolności i kliwym sentymentalizmie.

— Kto to? — spytał. — Twój najnowszy kochanek? — i wskazał rewolwerem w moją stronę.

Miriam zerknęła za siebie w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby się okryć. Ale koszula nocna leżała poza jej zasięgiem, a ja nie śmiałem jej podać.

— Czego chcesz? — spytała Miriam.

— Ciebie.

— Widzisz, że mam już kogoś.

— Z Maxem skończone? — spytał Stanley.

— Nie — odparła Miriam.

— Hej, ty — Stanley zwrócił się do mnie — jeśli chcesz jeszcze parę lat pożyć, lepiej się stąd wynoś, bo jak nie, to cię wyniosą.

Dopiero teraz zauważyłem, że Stanley mówi z akcentem. Tak, jakby tłumaczył z obcego języka. Z jakiego? Jidysz? Polskiego? Niemieckiego?

— Mogę się ubrać? — spytałem.

— Czego?! Zabieraj swoje szmaty i wynoś się do łazienki. Nie próbuj wzywać pomocy, bo cię...

— Chwileczkę.

— Bierz swoje rzeczy i znikaj! Już!

Opuściłem stopy na podłogę. Nogi ugięły się pode mną. Uderzyłem kolanami o kaloryfer. Marynarkę, spodnie i koszulę powiesiłem na krześle

stojącym między łóżkiem a łazienką. Ale gdzie zostawiłem buty, skarpetki, kapelusz? Czuję się, jakbym oślepl. Kiedy chwyciłem marynarkę, na podłogę wypadły mi okulary do czytania, klucze i plik banknotów. Skierowałem się w stronę łazienki.

— Nie wypadło ci coś przypadkiem? — spytała Miriam w jidysz. — Słyszałam brzęk kluczy. — Jej głos nie zdradzał nawet cienia strachu.

— Nic takiego — odparłem.

— Mówisz po żydowsku? — spytał Stanley.

— Tak, pochodzę z Polski.

— Z Polski, he? Poczekaj chwilę. Chyba wiem, ktoś zacz — powiedział Stanley. — Jesteś żydowskim pisarzem. Widziałem twoje zdjęcie. Jak się nazywasz?

Przedstawiłem się.

— Znam cię, znam. Czytałem twoją książkę. Nie w jidysz, tylko po angielsku. Jak się ona nazywała?

Podaliśmy mu tytuł książki.

— Tak, czytałem ją. Jestem poetą. Nie piszę po żydowsku, tylko po angielsku. Nie ruszaj się! — krzyknął do Miriam. — Stój tam, gdzie stoisz!

— Stoję, stoję, ty idioto!

— Panie Stanley — odezwałem się — znam pańską sytuację i jestem w stanie zrozumieć pańskie uczucia. Ale nie musi pan trzymać nas na muszce. Nie stawiamy przecież żadnego oporu. Nie jestem już młody, zbliżam się do pięćdziesiątki. Poza tym jesteśmy przecież Żydami — powiedziałem, wstydzając się swoich słów.

— Co takiego? Może ty jesteś Żydem, ale ona jest gorsza od nazisty — odparł Stanley. — Jaki z ciebie Żyd, że romansujesz z taką dziwką? — Stanley podniósł głos.

— Stanley, nie rób z siebie głupca. Schowaj rewolwer.

— Będę robił to, co mi się podoba, a nie to, co ty mi każesz. Stój i nie ruszaj się, bo cię zabiję. Co z Maxem? Skończyłaś z nim?

— Nie, nie skończyłam — odparła Miriam.

— Natomiast ja albo skończę z twoim plugawym życiem, albo ze swoim — oznajmił Stanley. — Jego nie zabiję — wskazał na mnie — ale ty, obmierzła dziwko, za chwilę będziesz martwa. Panie — jak brzmi pańskie nazwisko? — Greidinger, myślę, że powinien pan wiedzieć, że ma do czy-

nienia z dziwką. Była dziwką już w wieku piętnastu lat, sama mi to powiedziała. W 1939 roku, kiedy jej rodzice wyjeżdżali do Rosji, nie chciała z nimi jechać, bo była kochanką jakiegoś alfonsa. Przerzucił ją później na aryjską stronę i wsadził do burdelu. Mówię prawdę czy nie

Miriam nie odpowiedziała.

— Czy mogę skorzystać z łazienki? — spytałem.

— Poczekaj. Pozwól jej odpowiedzieć na moje pytanie. Sama mi o tym mówiła. Gadaj, bo cię zabiję!

— To nieprawda — powiedziała Miriam.

— Sama mi to mówiłaś, swoimi obmierzłymi ustami. Twoimi klientami byli faszyci, zabójcy Żydów. Przynosili ci prezenty, rzeczy, które odbierali mordowanym żydowskim dziewczętom. Kłamię? Odpowiadaj, bo zrobię z tobą koniec!

— Nie chciałam umierać, kiedy miałam szesnaście lat.

— Powinnaś była wyjechać wtedy razem z rodzicami, zamiast zadawać się z jakimś alfonsiem. W Niemczech, w obozie, byłaś kochanką Niemca. A tutaj, w college'u, robiłaś to samo ze swoimi profesorami. Mówię prawdę?

— Kiedy miałam szesnaście lat, chciałam żyć. Teraz już nie chcę. Możesz mnie zastrzelić, ty psychopato!

— Idź do łazienki — polecił mi Stanley — ale załatw to szybko.

Usiłowałem otworzyć drzwi do łazienki, ale były jak przyklejone. Pociągałem za gałkę, lecz moja ręka stała się bezwładna. Odwróciłem głowę i spojrzałem na Miriam, która wciąż była naga, i na Stanleya. Cała scena zdawała mi się nierealna. Była widomą karykaturą, jaką robi z nas życie.

— Przepraszam — powiedziałem i słowo to wydało mi się głupie i tchórzliwe. Ogarnęło mnie coś w rodzaju wstydu — za siebie samego, za Miriam, nawet za Stanleya — przysadzistego, z serdelkowatymi nogami, sterczącym brzuchem i twarzą na wpół ukrytą w długich włosach i czarnej brodzie. Rewolwer drżał mu w ręce, grożąc wypadnięciem. Coś wezbrało mi w gardle i zaczęło dławić — jakaś mieszanina ni to kaszlu, ni śmiechu.

Kiedy wszedłem do łazienki, zrobiło mi się niedobrze. Czułem ucisk w czaszce, przed oczami tańczyły mi kręgi, gorzka ciecz napełniła usta. Potknąłem się, ale udało mi się usiąść na desce sedesowej. Ściany, umywalka, kran, okno z matowym szkłem i sufit wirowały wokół, jakbym siedział na karuzeli. Chciało mi się wymiotować, ale bałem się, że zabrudzę podłogę. Ledwo wstałem, a strumień gorzkiej cieczy chlusnął mi z ust wprost do umy-

walki. Jedną ręką przytrzymałem się kaloryfera, drugą dotknąłem ściany. Nie chciałem, by tych dwoje dowiedziało się o mojej słabości, więc odkręciłem kurek i splukałem umywalkę wodą. Z trudem uchyliłem okno. Chłodne nocne powietrze ocuciło mnie. Udało mi się uniknąć omdlenia i niebezpieczeństwa pęknięcia czaszki podczas upadku. Ale cały byłem uwalany cuchnącą cieczą pochodzącą z mojego własnego ciała. Niech mnie zastrzeli, wszystko mi jedno, pomyślałem sobie.

Drzwi do łazienki otworzyły się nagle. Stała w nich Miriam; nie była już naga, miała na sobie płaszcz kąpielowy. Tuż za nią stał Stanley, bez rewolweru. Oboje coś do mnie mówili, ale moje uszy zdawały się całkiem ogłuchłe, jakby były wypełnione wodą. Ogarnął mnie wstyd z powodu własnej nagości i fetoru, który wydzielało moje ciało.

— Zamknij drzwi — odezwałem się. — Zaraz wychodzę.

— Wytrzymaj się — zawołała Miriam i wskazała na ręcznik.

— Nic mu nie będzie — doszedł mnie głos Stanleya. — Zamknij drzwi.

Próbowałem uruchomić prysznic, ale najwyraźniej nie działał. Na dworze budził się świt i purpurowe światło wschodzącego słońca padało na wyłożone kafelkami ściany łazienki. W lustrze mignęła mi moja własna twarz — blada, ściągnięta, nieogolona. Zacząłem się myć zimną wodą. W poszukiwaniu brzytwy otworzyłem apteczkę Miriam. Mój strach przed Stanleyem minął i nie chciałem ukazywać się jego oczom taki postarzały i wymięty, jak w lustrze. Marynarkę i spodnie miałem w łazience, ale brakowało mi koszuli i butów.

Tak więc wdałem się w romans z dziwką. Jej mąż wpadł w środku nocy z rewolwerem. O mały włos, a by nas zastrzelił. To nie była jedynie myśl, usłyszałem bez wątplenia głos, jak gdyby dusza mojej matki była zawsze przy mnie, postępując za mną krok w krok. „Mamo, gdzie jesteś? Wybacz mi” — skowytało coś we mnie. Odpowiedziała, jakby wciąż jeszcze żyła: „Nie możesz się już głębiej pograżyć. Obiecuj, że uciekniesz od tej nierządnicy, dopóki nie jest za późno...”. „Tak, mamo, obiecuję”. „Już jej dom ku śmierci się chyli, ku ceniom Szeolu jej droga” — ojciec zaintonował werset z Księgi Przypowieści. „Każdy, kto idzie do niej, nie wraca, nie odnajdzie ścieżek życia”.

Jakoś udało mi się umyć i włożyć na nagie ciało marynarkę. Uchyliłem drzwi i wyjrzałem ostrożnie. W sypialni nie było nikogo, ale miałem wrażenie, że z drugiego pokoju dochodzi mnie stłumiony śmiech. Rozglądałem

się za koszulą i butami, ale gdzieś zniknęły. Na łóżku leżała jedna z moich skarpet.

— Miriam! — zawołałem.

Pojawiła się od razu w przedpokoju, blada, rozczochrana, wciąż jeszcze w zapinanym na guziki płaszczu kąpielowym. Zaraz za nią pojawił się Stanley.

— Gdzie masz buty? — spytała Miriam, powiódłszy wzrokiem po podłodze. W sypialni panował jeszcze mrok, żaluzje zatrzymywały światło wschodzącego słońca. Nasze oczy przesuwaly się badawczo po podłodze, gdy nagle zdałem sobie sprawę, że Stanley wciąż trzyma przyłożony do pleców Miriam rewolwer. W tej samej chwili dostrzegłem na kaloryferze moje buty.

— Tam są! — wykrzyknąłem.

Stanley też je zauważył i jego twarz nabrała surowego i ostrego wyrazu. Odezwał się do mnie ponad ramieniem Miriam:

— Ubieraj się i znikaj. Miriam jest moją żoną, nie twoją.

— Tak, dzięki — odparłem posłusznie.

— Gdzie on się podzieje o tak wczesnej godzinie? — spytała Miriam. — Lepiej żeby windziarz nie widział, jak wychodzi z mojego mieszkania o tej porze.

— Niech zejdzie po schodach.

— Drzwi na klatkę schodową są zamknięte — powiedziała Miriam.

— Nie, muszą być przecież otwarte na wypadek pożaru — odparł Stanley.

W pośpiechu włożyłem jedną skarpetkę. Druga zniknęła, więc włożyłem but na gołą stopę. Usiłowałem zawiązać sznurowadła, ale w nikłym świetle nie mogłem dojrzeć dziurek, toteż porzuciłem swój zamiar. Usłyszałem głos Stanleya:

— Pośpiesz się i znikaj. Ale pamiętaj: jeśli powiesz coś policji czy choćby temu staremu idiocie, Maxowi, zapłacisz mi za to. Wiem, gdzie pracujesz.

— Nikomu nic nie powiem.

— W twoim własnym interesie. Dla mnie życie nic nie znaczy.

Chciałem spytać go, co będzie z Miriam, ale nic nie powiedziałem. Potem doszedł mnie mój własny głos:

— Jestem pewien, że się pogodzicie — i znów poczułem wstyd za swoje słowa. W gardle tak mi zaschło, że z trudem mówiłem.

— Pogodzimy, czyżby? Ja byłem wobec niej uczciwy. Nie zmuszałem jej, by za mnie wyszła. To ona się za mną uganiała, nie ja za nią. Nieprawdaż, Miriam?

— Za późno na takie dyskusje.

— Nigdy nie jest za późno. Skoro poszłaś z nim do łóżka i opowiedziałaś mu, jak przypuszczam, jaka ty jesteś dobra, a jaki ja zły, jak bardzo go kochasz i jaką byś była oddaną żoną, ma prawo znać prawdę.

— Nikt się za nikim nie uganiał.

— Ty się za mną uganiałaś. Nie spieszyło mi się do małżeństwa. No, i zdawałem sobie sprawę, że świątobliwą dziewicą to ty bynajmniej nie jesteś, he, he. Ale zażądałaś, żebyśmy poszli do urzędu i zawarli oficjalny związek. To prawda czy nie?

— Niech będzie, że prawda. Nic nie może mnie już zranić — powiedziała Miriam z wahaniem.

— To wszystko prawda. Ten człowiek to pisarz, żydowski pisarz. Na obwolucie książki napisali, że jest synem rabina. Powinien wiedzieć, kim jesteś, z kim się zadaje.

— On wszystko wie.

— Nie, nie wszystko. Nawet ja nie wiem wszystkiego. Ile razy spotykam kogoś, kto cię zna, dowiaduję się o twoich kolejnych kochankach, kolejnych romansach, kolejnych kłamstwach.

— Od początku mówiłam ci prawdę.

— Włóż krawat. — Stanley zwrócił się do mnie. — Zanim pójdziesz, chciałbym ci zadać pytanie. Czy to prawda, że wierzysz w Boga?

— Wierzę w Jego mądrość, ale nie w Jego miłosierdzie.

— Co przez to rozumiesz?

— Każdy widzi Jego mądrość — czy nazwie Go Bogiem, czy Naturą. Ale jak po Hitlerze można wierzyć w Jego miłosierdzie?

— Więc Bóg jest zły?

— Przynajmniej dla zwierząt i ludzi.

— Jak możesz żyć z taką wiarą?

— Nie mogę.

— Chciałbym pogadać z tobą któregoś dnia, ale nie dzisiaj.

— Mogę coś powiedzieć, Stanley? — spytała Miriam.

— Bądź cicho. Ostrzegam cię ponownie: jeśli powiesz jeszcze choć jedno słowo, napytasz sobie biedy.

— Przysięgam, że już się nie odezwę.

— Dobra, idź już — zwrócił się do mnie. — Jeśli przeczytasz w gazetach, że oboje jesteśmy martwi, będziesz wiedział dlaczego.

— Nie rób tego. Jeśli jest taka, jak mówisz, nie warto za nią umierać.

— A za co warto? Do zobaczenia.

Otworzyłem drzwi na korytarz. Miriam krzyknęła coś za mną, ale nie dośłyszałem co. W przyćmionym świetle nocnej lampy dostrzegłem, że drzwi na klatkę schodową nie są zamknięte. Ciepło i bezruch nocy napełniały hol; w powietrzu unosił się fetor, mieszanina odorów śmieci, wyziewów benzyny i śpiących ciał. Zacząłem schodzić po schodach po omacku, ostrożnie niczym ślepiec. Ocalałem swoje życie, ale zostawiłem Miriam w rękach mordercy. Znów usłyszałem chrapliwe ostrzeżenie ojca: „Będziesz tym pogardzał i będziesz się tym brzydził”. I coś w moim mózgu dodało: „Ten świat i świat przyszły są tym samym”.

Zszedłem na półpiętro, po czym przystanąłem. Co Miriam do mnie wołała? Czy to było pożegnanie? Może o coś prosiła? Prawie krzyczała, ale ja byłem tak przejęty, że nie zrozumiałem jej słów. No dobrze, ale cóż to za różnica? Między nami wszystko skończone. Poczulem gorycz w ustach — dziąsłach, gardle — we wnętrzościach i oczach. Światło gołych żarówek rzucało cienie na poczeriałym suficie. Usłyszałem kroki i wkrótce zobaczyłem wchodzącego po schodach sprzątacza z miotłą i ogromnym kubłem na śmieci. Przyglądał mi się przez chwilę, niepewny, czy spytać, co tu robię. Potem dalej zaczął wspinać się po schodach przy akompaniamencie stukotu cynowych puszek i pokrywek. Jeśli Stanley zabije Miriam i ucieknie, ten człowiek zaświadczy na policji, że widział mnie na schodach. Byłbym podejrzany o popełnienie morderstwa. Coś we mnie zachichotało. Stałem się śmieciem wciśniętym w noc, śmieciem, który trzeba uprzątnąć przed nastaniem dnia. Oparłem się o ścianę, by nie upaść.

Wedle moich rachub zszedłem już tyle kondygnacji, że powinienem był znaleźć się na parterze. Próbowałem otworzyć drzwi prowadzące do holu, ale były zamknięte. Nie miałem już sił w nogach i musiałem przysiąść. Co powiem policji, jeśli zostanę aresztowany? Dałem Stanleyowi słowo, że będę milczał. Powietrze śmierdziało węglem, zgnilizną i innymi gryzącymi

woniami podziemia. Dopiero teraz zauważyłem, że ściany są ceglastoczerwone i pokryte sadzą. Zszedłem zbyt nisko. Musiałem zebrać siły i wspiąć się wyżej. W uszach znów zaczęły mi brzęczeć słowa Stanleya... kochanica goja, alfonsa... wsadził ją do burdelu... jej klientami byli faszyci, zabójcy Żydów... przynosili jej prezenty, rzeczy, które odbierali mordowanym żydowskim dziewczętom...

Wspiąłem się piętro wyżej, zobaczyłem drzwi i pchnąłem je. Byłem w holu. Wskaźnik na tarczy powyżej windy spoczywał na trzynastce. Było to piętro, na którym znajdowało się mieszkanie Miriam. Dozorcy nigdzie nie było widać. Przystanąłem na ulicy i odetchnąłem głęboko, zaczerpnąwszy orzeźwiającego porannego powietrza, nasączonego wilgocią unoszącą się z drzew i trawy w parku. Dopiero co weszło słońce, odświeżone po kąpieli w oceanie, zawisło na czystym błękitnym niebie. Gromada skrzeczących ptaków przefrunęła przez park. Gołębie dreptały po chodniku i ławkach na skraju parku, podskakiwały na małych czerwonych łapkach i wydziobywały niewidoczne okruszyny pożywienia, gruchając i trzepocąc skrzydłami. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że moje osłabienie bierze się z głodu. Zwróciłem wszystko to, co zjadłem poprzedniego dnia; wnętrzości miałem zupełnie puste. Przy Central Park West nie było żadnej restauracji, a na ulicy nie zauważyłem żadnej taksówki ani autobusu. Włożyłem rękę do tylnej kieszeni spodni. Była pusta. Przypomniałem sobie, że w chwili gdy niosłem swoje ubranie do łazienki, wypadły mi klucze i pieniądze. Wsunąłem rękę do kieszeni na piersi i przekonałem się, że zniknęła również moja książeczka czekowa.

Szedłem wolno. Nie miałem ani siły, by przyspieszyć, ani miejsca, do którego byłoby mi spieszno. W pokoju przy Siedemdziesiątej Ulicy nie miałem ani pieniędzy, ani jedzenia. Czeki podróżne trzymałem w skrytce depozytowej w banku, ale klucz od depozytu wisiał na kółku, które zostało u Miriam. Mieliśmy tego wieczora pójść z Miriam na przyjęcie do Chaima Joela Treibitchera i pożegnać się z Maxem. Teraz jednak wszystko to należało już do odległej przeszłości.

Rozdział szósty

Wędrowałem bez celu, nieświadom, czy nogi niosą mnie w górę, czy w dół Manhattanu. W końcu, znużony, opadłem na ławkę wilgotną od rosy. Nie miałem pieniędzy, książeczki czekowej, kluczy. Wzburzony tym, co usłyszałem od Stanleya na temat Miriam, przysiągłem na Boga, dusze zmarłych rodziców i wszystko, co mi drogie i święte, że nigdy już nie spojrzę w jej nikczemną twarz. Przynależem też sobie, że nie spotkam się więcej z Maxem Aberdamem.

Czułem się zbyt zmęczony, by wędrować dalej na Siedemdziesiątą Ulicę, szukać żony dozorczy i prosić ją o klucz do mojego pokoju. Nie miałem nawet drobnych, choćby kilku monet potrzebnych na autobus lub telefon. Notes z adresami również został u Miriam, a nie byłem w stanie przypomnieć sobie żadnego z zapisanych tam adresów. Nie miałem nawet chusteczki, którą mógłbym obetrzeć sobie pot z czoła. Czułem pieczenie w żołądku i mdlącą gorycz w ustach. Choć poniosłem porażkę, nie mogłem oprzeć się zdumieniu, jak mądra była Opatrzność — czy jak nazwiemy tę siłę rządzącą przeznaczeniem człowieka — szykując mój upadek. Jak ongiś, w czasach Hioba, zdarzenia biegły z niezwykłą szybkością, cios padał za ciosem.

Musiałem znaleźć jakieś miejsce, w którym mógłbym odpocząć, umyć się i ogolić. Na szczęście przypomniałem sobie, że w pobliżu, najwyżej dziesięć przecznic dalej, mieszka Stefa Kreitler. W czasie wojny straciliśmy z sobą kontakt i byłem pewien, że Stefa zginęła. W 1947 roku zjawiała się niespodziewanie w Nowym Jorku ze swoim mężem, Leonem, i dorosłą córką, Franką; był to kolejny przypadek powstania z grobu. Miałem wtedy czterdzieści trzy lata, ona zaś zbliżała się do pięćdziesiątki. Leon był już sędziwym człowiekiem, miał siedemdziesiąt pięć lat. Udało im się zbiec do Anglii na kilka zaledwie dni przed wejściem Hitlera do Polski. Dwie córki Leona zginęły w obozach. Stracił też, rzecz jasna, cały swój majątek. Stefa pracowała w Londynie jako pokojówka, potem jako pielęgniarka. Przeszali-

śmy do siebie pisywać już przed wojną. Przeżywałem wówczas w Nowym Jorku kryzys i popadłem w depresję. Przestałem chodzić do redakcji i praktycznie zerwałem swoje związki z jidysz, jego literaturą i ruchem jidyszystów.

Między 1947 i początkiem lat pięćdziesiątych zarówno w moim, jak i Stefy życiu zaszły wielkie zmiany. Leon znalazł w Ameryce przyjaciół oraz współnika, z którym budował tanie domy na Long Island, i niemal z dnia na dzień stał się bogaty. Córka Stefy, Franka, wyszła za mąż za chrześcijanina. W latach dzieciństwa, które spędziła w Gdańsku, Franka zaraziła się nazistowską nienawiścią do Żydów i w Ameryce, wzorem męża, inżyniera z zawodu, została katoliczką. Zerwała wszelkie kontakty ze swoją matką i ojczymem.

Moje życie też uległo zmianie. Wróciłem do pisania. Wydałem powieść i zbiór opowiadań w jidysz i znalazłem angielskiego tłumacza oraz wydawcę. Zostałem stałym współpracownikiem żydowskiej gazety, pisałem eseje, przeprowadzałem wywiady i redagowałem rozmaite rubryki. Udzielałem też porad w żydowskim radio. Odnowiłem swój kontakt ze Stefą, ale zawsze, kiedy się z nią spotykałem, miałem niesamowite uczucie, jakbym obcował z duchem, jednym z tych, o których pisuję opowiadania. Lata przeżyte w oddaleniu sprawiły, że wyrosła między nami ściana. Stefa mówiła po angielsku z londyńskim akcentem, a jidysz, którego trochę nauczyła się w Warszawie, zupełnie zapomniała. Najwyraźniej miała w Londynie jakieś romanse, choć nigdy nic o nich nie mówiła. To nie była ta sama Stefa, która kłóciła się ze mną, nazywała mnie „literatnikiem” i poprawiała moją polszczyznę. Ta Stefa była już babcią, damą o nienagannych manierach. Jej chude kolana zaokrągliły się, piersi miała teraz pełne, a biodra okazałe. Nie zmienił się jedynie sposób, w jaki traktowała Leona. Sarkała, że nigdy się nie dowie, jaki jest naprawdę. Czasem dodawała: „Cały męski ród to dla mnie zagadka”.

Leon z kolei w ogóle się nie zmienił. Stracił tylko włosy. Twarz miał tak kościstą i skórę na niej tak napiętą, że właściwie pozbawiona była zmarszczek. Wciąż ważył najwyżej pięćdziesiąt kilo. W wieku osiemdziesięciu lat nadal prowadził interesy, budował domy, skupował parcele, spekulował akcjami i papierami wartościowymi. Kreitlerowie mieli mieszkanie w drapaczu chmur położonym przy Central Park West i Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy. Leon wciąż czynił mi wymówki, że zbyt rzadko ich odwiedzam. W Ameryce zaczął czytać żydowskie gazety, być może dlatego, że nigdy

zbyt dobrze nie nauczył się angielskiego. Niezwykle ciekawiły go moje utwory. Bez przerwy pytał: czy to, co opisuję, wydarzyło się naprawdę, czy też wzięłem to wszystko z głowy? Jak to możliwe, by wymyślić te wszystkie rzeczy, które wydają się tak prawdziwe? Kiedy to wymyślam — w nocy, za dnia, we śnie, na jawie? Zapewniał mnie, że znał w Warszawie dokładnie takie postacie i charaktery, jak te, które sportretowałem — zmieniłem tylko ich nazwiska — uśmiechał się i mrugał do mnie porozumiewawczo. Innym razem narzekał:

— Skąd bierzesz te wszystkie słowa i wyrażenia? Nie słyszałem ich, odkąd umarła moja babka, Chaja-Kejła. A w jaki sposób udało ci się tak dobrze zapamiętać nazwy warszawskich ulic, podczas gdy ja prawie wszystkie zapomniałem? Kim jest właściwie pisarz? Powiedz mi, chciałbym wiedzieć.

— Przeważnie jest łgarzem — odparła Stefa.

— Łgarzem? Pewnie tak. Ale kiedy budzę się rankiem, od razu idę na Broadway, żeby kupić żydowską gazetę. Chcę wiedzieć, co będzie dalej. Ale z drugiej strony, w tej twojej powieści, powiedz mi, jak taki Kalman — mądry, bogaty człowiek, obrotny kupiec — może dawać się tak oszukiwać tej Klarze? Czy nie widzi, że ona nie pragnie jego, tylko jego pieniędzy? Naprawdę znałeś kogoś takiego? *Nu*, ta Klara to szczywana osóbką. Ona jest — jak to mówią? — warta grzechu albo i dwóch, he, he. Człowiek nade wszystko pragnie szczęścia. Sam znałem podobną kobietę; miała same zalety: była ładna, mądra, w ogóle niezła sztuka. Ale jeśli sprawy szły nie po jej myśli, wszystko wywracała do góry nogami.

W przeddzień wizyty Maxa Aberdama w redakcji obiecałem zjeść kolację ze Stefą i Leonem i spędzić u nich noc. Minęło od tamtego czasu kilka tygodni, a ja zapomniałem nawet do nich zadzwonić. Leon przyszedł potem do redakcji, ale mnie nie zastał. Zostawił więc dla mnie wiadomość; składała się z jednego, napisanego zresztą z błędem, hebrajskiego słowa, które można przetłumaczyć: Jakże to tak?”. I podpisał się: „Twój oddany przyjaciel i gorący wielbiciel, Leon Kreitler”.

Tym razem miałem szczęście. Stróż, który miał akurat dyżur, znał mnie i wpuścił do środka. Dał nawet znak człowiekowi obsługującemu windę, by zawiózł mnie na siódme piętro. Przycisnąłem dzwonek. Leon, zerknąwszy przez wizjer, otworzył mi drzwi. Miał na sobie bogato zdobiony szlafrok i aksamitne pantofle. Spojrzał na mnie, zdumiony i rozbawiony, i odezwał się z wrodzoną sobie ironią:

— Nie do wiary! Gość o tak wczesnej porze! Czyżby Mesjasz już przyszedł? A może zwiąłeś z Sing-Singu?

— I jedno, i drugie.

— Wejdz, wejdz. Stefa jeszcze śpi, ale ja, jak zwykle, obudziłem się o piątej. Czemu nie zadzwoniłeś? Przygotowuję śniadanie i gorąco cię na nie zapraszam. Wybacz mi ten iście żydowski komplement, ale nie wyglądasz za dobrze. Coś się stało?

— Nie, ale...

— Chodź ze mną do kuchni. Kawa się właśnie parzy. Nie ma lepszego lekarstwa na wszelkie utrapienia i biedy niż filiżanka dobrej, mocnej kawy. Wyglądasz na śpiącego, pewnie całą noc odmawiałeś modły pokutne! No, dobrze, dobrze.

Wziął mnie pod rękę i zaprowadził do czegoś w rodzaju jadalni, wydzielonej z kuchni. Na stole leżał już pokrojony chleb i misa pełna owoców. Leon wskazał mi metalowe krzesło i powiedział:

— Jak widzisz, zachowałem swoje stare zwyczaje. Brak tylko wina, które piłem zawsze po jedzeniu. Ale to i tak nic nie pomogło — miałem już dwa ataki serca. Nie sposób przechytryć Boga. Chociaż kto wie? Może gdybym nie stosował diety, miałbym już trzy ataki albo dawno byłoby po mnie. Jak człowiek dożywa osiemdziesiątki, nie może mieć pretensji do Pana Boga, zwłaszcza jeśli On nie istnieje. Masz mnie pewnie za nieuka, ale w młodości trochę studiowałem. Mój ojciec był pobożnym, uczonym Żydem. Na co masz ochotę? Mogę ci zrobić jajka albo nawet omlet.

— Wszystko jedno, cokolwiek mi dasz, będzie dobrze. Jestem ci wdzięczny.

— Ach, zapomniałem o soku pomarańczowym. Chwileczkę!

Usiadłem, znów czując słabość w nogach. Leon podał mi szklanekę soku pomarańczowego.

— Napijmy się. *Lechaim!* Niegdyś byłeś częstym gościem w naszym domu. Ostatnio jakoś rzadko cię widzujemy. A oto i Stefa!

Stefa weszła do kuchni.

Wyglądała na rozespaną, jej siwe włosy rozrzucone były w nieładzie. Miała na sobie koronkową nocną koszulę i bambosze z pomponami. Jak na swój wiek wyglądała młodo, a wyglądałaby z pewnością jeszcze młodziej, gdyby obcięła włosy, jednak dla Stefy byłoby to oznaką trywialnej amerykanizacji. Spojrzała na mnie zdumiona i uśmiechnęła się z tym kpiącym

wyrzutem, jaki okazuje się jedynie bliskim przyjaciołom lub krewnym, kiedy nagle zjawiają się bez zapowiedzi.

— To ty czy ja śnię?

— Nie Stefele, nie śniesz — odparłem.

— Stefele, hmm... Nie nazywałeś mnie tak od wieków. Co się stało? Kazała ci się wynosić w środku nocy? A może nagle zjawił się jej mąż z rewolwerem?

Nie wierząc własnym uszom, odparłem:

— Tak, dokładnie.

— No, no, wcale mnie to nie dziwi. Jak zwykle, leżałam bezsennie przez pół nocy i dopiero o świcie udało mi się zasnąć. Aż tu naraz słyszę z kuchni jakieś głosy. Myślę sobie: czyżby Leon doszedł już do takiego stanu, że mówi sam do siebie, czy to ja tak się zestarzałam?

— Pozwól, niech zje i napije się kawy. O ile pamiętam, to po raz pierwszy podejmuję twojego kochanka śniadaniem. Jeśli czekasz cierpliwie, to w końcu zostajesz nagrodzony. Siadaj, Stefele, ciebie też obsłużę. A to dopiero okazja. Nie ma co!

— A niech tam. Marzę o filiżance kawy. Ale poproszę mocną.

Stefa rozmawiała ze swoim mężem zarówno po polsku, jak i po angielsku. Czasem wtrącała jakieś żydowskie słowo. Usiadła przy stole i zagadnęła:

— To dziwne, ale w nocy rozmawialiśmy o tobie. Leon czyta mi twoją powieść w odcinkach. Zawsze budzimy się za pięć druga, to znaczy Leon mnie budzi, bo zaczyna do siebie mrużyć, a ja mam lekki sen. Jak to się skończy z tą Klarą? Kiedy tylko próbuję zgadnąć, co się dalej wydarzy, wywracasz wszystko do góry nogami. To twoja metoda?

— To metoda życia.

— Tak właśnie jej mówiłem — przytaknął Leon. — Życie przynosi więcej niespodzianek niż jakakolwiek powieść. Gdyby ktoś trzydzieści lat temu powiedział mi, że na starość zostanę Amerykaninem i współwłaścicielem hotelu w Miami Beach, pomyślałbym, że to wariat. Twój kochanek napisał kiedyś artykuł, w którym stwierdził, że Bóg jest powieściopisarzem, a świat — pisaną przez Niego powieścią. To całkowita prawda. A jeśli nie Bóg, to jakaś inna siła, która kręci tym naszym maleńkim światkiem.

— Może przestaniesz nazywać Arona moim kochankiem? — powiedziała Stefa ze złością.

— A niby kim on jest, twoim ojcem, Lejbusem-Meirem? — spytał Leon.

— Wszystkim, tylko nie kochankiem. Kochanek kocha, a on nawet nie wie, czym jest miłość. Spójrz na niego. Jak mawiała moja matka: „I tak wygląda lepiej niż nieboszczyk”.

— Poczekajcie, muszę zadzwonić. Zaraz wracam! — Leon zerwał się z krzesła i wybiegł pędem z kuchni małymi, drobnymi kroczkami.

— Stale narzeka, że jest stary i chory, ale do tych swoich interesów ma tyle energii, co młodzieniec — zauważyła Stefa. — A tak naprawdę to co się stało? — jej głos się zmienił. — O ile pamiętam, nigdy przedtem nie jedliśmy razem śniadania.

— Jedliśmy. Raz.

— Kiedyż to było? Chyba za króla Sobieskiego?

— Kiedy mieszkałem w Otwocku z Leną. Zadzwoniłem do ciebie z Dworca Gdańskiego, a ty powiedziałaś mi, że masz dla mnie listy. Byłem już tamtego ranka po skromnym śniadaniu, ale zmusiłaś mnie, bym zjadł ponownie razem z tobą.

— Mój Boże, ależ ten człowiek ma niesamowitą pamięć! Tak, masz rację. Kiedyż to było, wieki temu!

— Ja mam wrażenie, jakby to było wczoraj.

— Tak, tak. Zaciągnąłeś mnie do mieszkania tego idioty, nauczyciela hebrajskiego, a ten bez żenady pokazał nam drzwi. Jakoś to śniadanie wyleciało mi z pamięci.

— Mnie to śniadanie uratowało życie.

— Nie byłeś wtedy zbyt dobry, a z wiekiem nie stajesz się lepszy, tylko coraz gorszy. Opisałeś mnie nawet w swoich opowiadaniach, posługując się różnymi dziwnymi imionami, ale ja potrafię siebie rozpoznać. Nawet Leon mnie rozpoznaje, siebie zresztą też. Czyta coś i nagle przerywa: „Tak ty wyglądasz, to t w o j e słowa”. Ale martwi mnie twój dzisiejszy wygląd, Arele. Jesteś chory, czy co?

— Nie jestem chory.

— Więc co? Oszalałeś?

— Chyba tak.

— No dobrze, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Wierz mi, nie żałuję ci tych twoich kobiet. Kiedy wróciłam z Anglii, a ty opowiedziałeś mi, jak

tutaj żyjesz, zaproponowałam: „Bądźmy przyjaciółmi, ale nic ponadto”. Nie możemy stać się sobie całkowicie obcy, bo tego, co się między nami wydarzyło, sam Bóg nie jest w stanie wymazać. Dość już przeszłam w Anglii i nie mam ochoty znowu się w coś wplątywać. Wtrącanie się do twoich spraw i tych twoich kobiet to jak wsadzanie ręki do ognia. Jednakże pytam cię, w imię naszej przyjaźni, dlaczego się zabijasz i niszczysz swój talent? Jaki to ma sens?

— Nie ma sensu.

— Co się z tobą dzieje?

— Nie mogę zostać w domu, to znaczy w swoim pokoju, i nie mogę iść do redakcji. Potrzebuje kilku dni odpoczynku.

— Wiesz, że możesz tu odpoczywać, jak długo zechcesz. Pokój Franki jest wolny — teraz należy do ciebie. Możesz tu jeść i spać. Nie bój się, nie zgwałcę cię.

— Nie boję się.

— Czy ktoś ci grozi?

— Nie, ale muszę się gdzieś ukryć na kilka dni.

— Mój dom jest twoim domem. Leon jest ci nawet bardziej oddany niż ja, nigdy nie zrozumie dlaczego. To może zabrzmieć dziwacznie i głupio, ale o ile ja mogłabym dać sobie z tobą spokój, to on nie. Dzisiaj nazwał cię moim kochankiem. Czasem mówi: „twój drugi mąż”. Jest przekonany, że gdy tylko umrze, natychmiast pognamy pod chupę.

— On mnie na pewno przeżyje.

— Też tak myślę. Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

— Nic. Potrzebuję tylko trochę odpoczynku.

— No, to idź do pokoju Franki i odpoczywaj. Nie będę cię już o nic pytać.

— Stefa, jesteś najwspanialszą istotą, jaką znam.

— Kłamca! Nicpoń!

— Muszę cię pocałować!

— Skoro musisz, to trudno.

Udałem się do pokoju Franki. Z zalanych słońcem okien roztaczał się widok na park. Stało tu łóżko, biurko i półka na książki. Franka porozwieszała zdjęcia gwiazd filmowych, a także portrety swoich dziadków i babek oraz pewnej ciotki, zmarłej za młodu z powodu zbytnej namiętności do

tańca. Na jednej ze ścian ujrzałem fotografię młodego polskiego oficera na koniu — to był Marek, ojciec Franki.

Tego dnia postanowiłem, że zamieszkać ze Stefą i Leonem. Nie bacząc na moje protesty, Stefa obwieściła, że zamierza wstawić do pokoju Franki sofę oraz sekretarzyk na moje książki, rękopisy i wycinki mojej powieści. Leon chciał sprezentować mi nową maszynę do pisania z żydowską czcionką. Przy każdej okazji powtarzał to samo: skoro to postanowione, że po jego śmierci zostanę mężem Stefy, na cóż czekać?

— Nie będziesz musiał modlić się o moją śmierć — dodał, na co Stefa odparowała:

— Jeśli te idiotyczne rojenia sprawiają ci przyjemność, gadaj zdrów.

Swoje radiowe pogadanki nagrałem na kilka tygodni naprzód, ale zdałem sobie sprawę, że w redakcji muszę się pojawić w poniedziałek. Zadzwoiłem do młodego człowieka, który pełnił tam funkcję recepcjonisty. Ten poinformował mnie, że pod moją nieobecność do redakcji przyszło mnóstwo osób poszukujących rady. Przydzielił im numerki, niczym w kolejce do piekarni. W poniedziałek po śniadaniu zamierzałem też udać się do swego pokoju przy Siedemdziesiątej Ulicy i zabrać pozostawione tam rękopisy. Obiecałem Stefie, że zrezygnuje z tego pokoju i przeprowadzę się do nich. Powiedziałem, że chciałbym przynajmniej płacić za jedzenie, ale oboje, i mąż, i żona, uznali, iż taka propozycja jest dla nich obraźliwa. Właśnie wtedy, kiedy zacząłem nieźle zarabiać i mogłem nawet odłożyć w banku trochę pieniędzy, miałem uczucie, że staję się pasożytem. Leon zaczął napomykać o zmianie swej ostatniej woli; Stefa i ja mieliśmy zostać jej wykonawcami. Zaprotestowałem, ale on odparł przebiegle:

— To moja wola, nie twoja.

— W wieku osiemdziesięciu lat zaczyna zachowywać się jak dziecko — wymruczała Stefa.

Dzień zapowiadał się upalnie. W dalszym ciągu byłem bez kluczy i książeczki czekowej. Ale wiedziałem przynajmniej, że Miriam żyje. Zadzwoiłem do niej w niedzielę i usłyszawszy jej głos, odwiesiłem słuchawkę. Możliwe, że wciąż jeszcze był tam Stanley i nadal więził ją w jej własnym mieszkaniu. Może nakłonił ją do zgody. Znów obiecałem sobie, że nie będę się więcej zadawał z Miriam — ani z nią, ani z Maxem Aberdamem, który najprawdopodobniej wyjechał już do Polski. Bez trudu otrzymam nową

książeczkę czekową i nowy klucz do mojego depozytu bankowego. Los mi sprzyjał — nim upadł jeden filar podtrzymujący moją egzystencję, pojawiał się inny. To prawda, działo się tak tylko dlatego, że nigdy nie potrafiłem położyć kresu żadnemu z moich związków. Czegokolwiek bym się tknął, zdawało się wlec za mną w nieskończoność, zarówno w literaturze, jak i w życiu.

Kiedy pojawiłem się w budynku przy Siedemdziesiątej Ulicy, drzwi wejściowe stały otworem, najwyraźniej po to, by wpuścić nieco świeżego powietrza. Zacząłem wspinać się po schodach do swojego pokoju, gdy usłyszałem dzwonek telefonu w holu. Podbiegiem szybko, chwyciłem słuchawkę i zawołałem: „Halo”. Z drugiej strony dobiegł mnie jakiś szelest, pomrukiwanie kogoś, kto nie może się zdecydować, czy się odezwać. W końcu usłyszałem głos Miriam, słaby i drżący:

— To ja, nierządnicą.

Zrobiłem ruch, jak gdyby chcąc odłożyć słuchawkę, ale miałem wrażenie, że przywarła mi do dłoni. Nie chciałem czy też nie byłem w stanie mówić, toteż Miriam ciągnęła dalej:

— Zostawiłeś u mnie w mieszkaniu swoje klucze, książeczkę czekową i trochę pieniędzy. Tak jak nierządnicą, do której przyszedł Juda, chcę zwrócić „twoją pieczęć, twój sznur i twoją laskę”.

Miriam wypowiedziała te słowa po angielsku, a ja zdałem sobie sprawę, że zaczerpnęła je z Pięcioksięgu. Upłynęło jakieś czterdzieści lat od czasu, gdy uczyłem się tych fraz w chederze mełameda Jechiela przy Krochmalnej. Miriam najwidoczniej czytała tę biblijną opowieść po angielsku. Odparłem:

— Tamar tylko udawała, że jest prostytutką, ale ty nią jesteś naprawdę.

— Dlaczego zatem taki świątobliwy mąż jak Juda poszedł do niej? — spytała Miriam.

— Miriam, to nie jest odpowiednia chwila do snucia rozważań na temat opowieści z Pięcioksięgu.

— A kiedy jest odpowiedni czas? Chcę oddać ci twoje rzeczy. Może jestem dziwką, ale na pewno nie złodziejką.

Ponownie chciałem odwiesić słuchawkę i znów jakaś fizyczna siła mnie powstrzymała.

— Gdzie jesteś? — spytałem.

— Niedaleko kafeterii Broadway, tam gdzie się kiedyś spotkaliśmy — odparła Miriam. — Mam z sobą twoje rzeczy. Jeśli wstydzisz się pokazywać z dziwką, mogę ci je przynieść.

— Miriam, między nami wszystko skończone.

— Wiem, ale chcę zwrócić ci twoją własność. — W jej głosie zabrzmiało błaganie.

— Spotkajmy się w kafeterii — wydusiłem w końcu.

— Dobrze. Będę tam za pięć minut.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, zacząłem półgłosem powtarzać swoje przyrzeczenie, by nigdy, przenigdy, nie mieć już nic wspólnego z tą ladaczną.

Wyszedłem na ulicę i przez chwilę wędrowałem w przeciwną stronę, w kierunku rzeki. Potem zawróciłem i zacząłem iść z powrotem. Miriam zadzwoniła w chwili, gdy wchodziłem do domu — znaczyło to, że już wcześniej musiała wielokrotnie dzwonić. Przemknęło mi przez myśl, że za nią może iść Stanley, żeby nas oboje zastrzelić. Cieszyłem się, że odzyskam klucze i książeczkę czekową, bez całej tej biurokracji towarzyszącej uzyskiwaniu duplikatów. Miałem świadomość, że zaniedbuję pracę. Pisarz, którego powieści są drukowane w odcinkach, nigdy nie jest człowiekiem wolnym. Jeśli traktuje swoją pracę poważnie, jego własne życie zaczyna przebiegać w odcinkach. Nieustannie musi poszukiwać jakichś niespodzianek, nowych splotów akcji, zaskakujących zwrotów wydarzeń, które byłyby zgodne z tym, co Spinoza nazywał porządkiem rzeczy i porządkiem idei. Postanowiłem się nie spieszyć. Niech Miriam poczeka. Ale nogi same mnie niosły, jak gdyby było im bardzo spieszno. Może miały ochotę się dowiedzieć, jak skończyła się tamta poranna wizyta Stanleya. Jacyś przechodnie podążali wprost na mnie, więc usiłowałem ich ominąć, skręcając w prawo, ale wówczas oni kierowali się w lewo i omal się nie zderzyliśmy. Działo się tak kilkakrotnie. Albo wykonywaliśmy przed sobą jakiś rodzaj tańca, albo też stawaliśmy sobie na drodze. Kiedy doszedłem do Osiemdziesiątej Ulicy, zauważyłem na przeciwległym rogu Miriam. Czekala, aż światło z czerwonego zmieni się na zielone.

Tak, to była Miriam, lecz wyglądała jakoś inaczej. Miała na sobie krótką czerwoną sukienkę i czerwone botki. Pończochy też miała czerwone. Jej policzki pokryte były grubą warstwą różu, a rzęsy niebieskoczarne od tuszu. Z purpurowych ust zwisał papieros w długiej cygarniczce. Natychmiast pojąłem jej zamysł. Wystroiła się tak, jak warszawskie prostytutki. Nawet papieros w długiej cygarniczce był typowy dla Warszawy. Wszystko

sobie zaplanowała — cytat z Pięcioksięgu i ubiór, który miała teraz na sobie. Zauważyłem, że przechodnie przyglądają się jej, wzruszając ramionami i podśmiewając się. Przez głowę przemknęła mi myśl, że jeśli będę z nią spacerował, mogą mnie zaarrestować. Światła zmieniły się i mogłem przejść przez ulicę. Właśnie wtedy od strony Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy nadjechała ogromna ciężarówka, która zasłoniła mi Miriam. Musiałem obejść tego potwora, potężnego niczym dom. Usłyszałem odgłos klaksonu i nagle z sąsiedniej ulicy wypadł samochód, który omal mnie nie przejechał. Dosłownie poczułem ciepło silnika pędzącego pojazdu i smród benzyny, jaki za sobą zostawił. Mogłem zostać zabity z powodu nadmiernej gorliwości, z jaką pędziłem na spotkanie z tą dziewczyną, która nie mówiła słowa prawdy, zrobiła głupca z Maxa, ze mnie, ze Stanleya i diabeł wie, z kogo jeszcze. „Co za ohyda! Ta dziewczyna to wyuzdana oszustka” — powiedziałem sobie. I raz jeszcze poprzysiągłem, że po raz ostatni oglądam jej nikkczemną twarz.

Siedzieliśmy w kafeterii, choć tym razem nie przy stoliku koło okna, lecz ukrytym w kącie. Kilkoro gości zerkało na nas ze zdziwieniem, nikt jednak do nas nie podszedł ani nic nie powiedział. Po pewnym czasie Miriam starła makijaż z twarzy. Popijaliśmy kawę.

— Tak, taka właśnie byłem i zostanę na zawsze — odezwała się. — Nie czułam się winna, nawet przez chwilę. To była głupota, zakochać się w wieku szesnastu lat w takiej kanalii jak Janek i znosić to, co znosiłam. Ale niby czemu miałabym odczuwać wyrzuty sumienia — to tylko pojęcie religijne. Jeśli nie wierzy się w osobowego Boga ani w moralność w sprawach seksu, skąd miałyby się brać skrucha? Przetrwałam całe to plugastwo i muszę przyznać, że miałam też dobre chwile. W tamtym czasie byłam prawie stale pijana. I tak lepiej było przebywać tam, gdzie ja, niż włóczyć się pośród ruin getta. Byłam przygotowana na śmierć i fakt, że przeżyłam i ocalałam, przynajmniej fizycznie, jest czymś, czego nie potrafię zrozumieć. Jeśli czegoś żałuję, to tylko tego, że ukrywałam prawdę przed tobą i Maxem, Ale, jak to się mówi, prawda jak oliwa, zawsze na wierzch wypływa.

— Ktoś taki jak ty nie powinien nawet wymawiać słowa „prawda”.

— Napisałeś kiedyś, że za każdym kłamstwem kryje się prawda. Nie w sensie freudowskim, lecz w sposób bezsporny i obiektywny.

— Prawda jest taka, że jesteś największą łajdaczką, jaką kiedykolwiek miałem nieszczęście spotkać.

— Może i tak. Ale jest też faktem, że żyłam, cierpiałam, miałam nadzieję. Zacytowałeś kiedyś Spinozę, który powiadał, że nie ma kłamstw, a tylko wykoślawione prawdy. Nawet robak ma swoją maleńką prawdę. Rodzi się, żyje krótko, po czym ginie, stratowany czyjaś stopą. To twoje słowa, nie moje. — I w oczach Miriam pojawiło się coś w rodzaju triumfu.

— Co stało się tamtego poranka, po moim wyjściu? — usłyszałem swój głos i natychmiast pożałowałem własnych słów.

— Chciałbyś wiedzieć, co?

— Nie musisz odpowiadać.

Przez chwilę Miriam nie odzywała się.

— Stało się, co się stało. Stanley został u mnie cały dzień i następną noc. Nie wierzyłam, że przeżyję tę noc, i byłam gotowa umrzeć. Nie musisz mi wierzyć, ale latami żyłam za pan brat ze śmiercią. Znam ją tak dobrze, jak własne ciało. Stanley nie był pierwszym, który groził mi rewolwerem. Tamten Janek, dla którego poświęciłam życie, zabawiał się, strzelając do szklanki, którą stawiał na mojej głowie. Przyprawiał swoich kolegów — Polaków, nie Niemców — i oni też się w ten sposób bawili. Ale to tylko jedna ze stu prawdziwych historii, czy w nie wierzysz, czy nie. Nie sądzę, że przyszedłam do ciebie, żeby płakać albo prosić o wybaczenie. Nic nikomu nie jestem winna — ani tobie, ani Maxowi.

— Gdzie jest Max? — spytałem.

— W Polsce.

— Widziałaś się z nim przed jego wyjazdem?

— Nie. W jaki sposób? Telefon dzwonił, ale Stanley zabronił mi odbierać. Dowiedziałam się, że następnego ranka po przyjęciu Max wyjechał z Matyldą Treibitcher do Polski.

— Jak się pozbyłaś swojego męża?

W oczach Miriam pojawił się cień uśmiechu.

— Mojego męża, hę? Skoro mnie nie zabił, prędzej czy później musiał pójść w swoją stronę. Zanim wyszedł, powiedział, że jest gotów dać mi rozwód. To zabawne, naprawdę.

— Czemu zabawne?

— Nie mógł się zdecydować, czy mnie zabić, czy nie. Wciąż o tym gadał, a w końcu poprosił mnie o radę. Słyszałeś kiedyś o czymś podobnym? Morderca prosi ofiarę o radę. W samym środku tej tak zwanej tragedii po prostu zachciało mi się śmiać.

— I jaką dałaś mu radę?

— Moja rada brzmiała: zrób, co chcesz.

— To jeden z twoich wymysłów?

— Nie, to prawda.

— I co się potem stało?

— Powiedział mi „do widzenia” i wyszedł. W jednej chwili gadał, że mnie zabije, w następnej plótł coś o pojednaniu. Zaproponował nawet, żebyśmy mieli dziecko. Nie wierzyłam, że to w ogóle możliwe, ale po tym, co w życiu widziałam, przestałam się czemukolwiek dziwić. Nic już nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Gdyby w tej chwili otwały się niebiosa i do kafeterii wszedł sam Bóg otoczony zastępem aniołów albo demonów, nawet nie mrugnęłabym okiem. Możesz być pisarzem, jesteś nim, ale wiem lepiej od ciebie, do czego jest zdolny rodzaj ludzki.

— A co z tą twoją nauczycielką i ciemną alkową, w której rzekomo spędziłaś lata wojny — to też było kłamstwo?

— To nie było kłamstwo. Nie walczyłam za bardzo, żeby pozostać przy życiu — po co? Ale opanowała mnie taka ambicja, żeby nie dać się temu wszystkiemu, żeby przejść przez ten obrzydliwy czas i przetrwać. Mogę powiedzieć, że stało się to dla mnie czymś w rodzaju hazardu lub sportu: uda mi się tego dokonać czy nie? Często piszesz, że życie jest grą, zakładem czy czymś w tym rodzaju. Postanowiłam wymknąć się z rąk Anioła Śmierci za wszelką cenę. Kiedy stało się dla mnie jasne, że każdego dnia mogę zostać złapana i wysłana jednym z transportów, uciekłam, a wtedy moja była nauczycielka wzięła mnie do siebie.

— Kiedy to było?

— Pod koniec 1942. Nie, to był już 1943.

— Czy twoja nauczycielka wiedziała, co robiłaś?

— Tak. Nie. Kto to wie.

— I to właśnie u niej w domu przeczytałaś te wszystkie książki?

— Tak, u niej w domu.

— Co się potem stało?

— W 1945 wylazłam jak mysz ze swojej dziury i rozpoczął się kolejny rozdział — tułaczka, przekradanie się przez granicę, spanie w stodołach, stajniach i cała reszta.

— A co się stało z twoim alfonsem?

— Janek nie żyje.

— Zginął w powstaniu?

— Ktoś oddał mu sprawiedliwość.

— Tacy właśnie są mężczyźni, zabijają się nawzajem, aby pokazać, że Malthus miał rację — powiedziałem.

Na ustach Miriam zaigrał uśmiech.

— Czy to twoja teoria?

— Równie dobra jak każda inna.

Przez długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Miriam podniosła filiżankę, upiła mały łyk i zauważyła:

— Kawa jest zimna.

Wyszliśmy na dwór i zaczęliśmy iść w kierunku Central Park West. Przechodnie przyglądali się nam. Mężczyźni podśmiewali się z dziwaczne-
go wyglądu Miriam, kobiety potrząsały głowami z dezaprobatą.

— No popatrz — odezwała się Miriam — zapomniałam oddać ci twoje rzeczy. Mam je w torebce — pieniądze, klucze i książeczkę czekową.

Wykonała ruch, jak gdyby chcąc otworzyć torebkę, ale uprzedziłem ją:

— Nie tutaj, na ulicy.

— Gdzie Tamar oddała Judzie jego rzeczy?

— Przekazała mu przez posłańca. Wcześniej on chciał przesłać jej koź-
lątko, ale posłaniec nie mógł jej odnaleźć. A kiedy ją wyprowadzono, żeby
spalić na stosie, odesłała mu jego zastaw.

— Ach, ty wszystko pamiętasz. Czytałam tę historię zaledwie kilka dni
temu, a już ją zapomniałam.

— Ty ją czytałaś, a ja się jej uczyłem w chederze.

— Dzieci w chederze uczy się takich rzeczy?

— Prędzej czy później dzieci się wszystkiego dowiadują.

— Koźlątko za jedną wizytę u prostytutki to niezła zapłata — zauważyła
Miriam i roześmiała się.

— Widocznie Tamar była piękną kobietą.

— Jak to się stało, że ktoś tak ważny, człowiek, od którego imienia nazwano potem wszystkich Żydów, musiał iść do prostytutki? I po co Biblia o tym opowiada? I dlaczego Juda wysłał jej koźlątko? Mógłbyś spytać kogoś w redakcji, czy zaniósłby koźlątko do prostytutki?

Pomysł był tak dziwaczny, że się roześmiałem. Miriam też wybuchnęła śmiechem. Po chwili odezwałem się:

— To były czasy bałwochwalstwa. prostytutka była związana ze świątynią. Reprezentowała instytucję, trochę tak, jak gejsza w Japonii.

— Dlaczego nie ma dziś takiej instytucji? Możemy udawać, że ty jesteś Juda, a ja Tamar. Ty zostawiłeś u mnie, jako zastaw, swoją książeczkę czekową, pieniądze i klucze. Jeśli nie masz nikogo, przez kogo mógłbyś przesłać koźlątko, sam mi zapłać.

— Jaka jest twoja cena?

— Taka sama — koźlątko.

Nagle Miriam zaczęła śpiewać:

Tajgełe, migełe, kozinka,
Granaty czerwone,
Gdy Mamę Tata bić zaczyna,
Dzieci tańczą jak szalone.

Podeszliśmy do ławki usytuowanej poza terenem Central Parku i usiedliśmy. Miriam znów spoważniała.

— A co tak naprawdę zmieniło się od starożytności? — spytała. — Nadal są tacy, którzy czczą bożki, bożki zresztą też są. Kim był Hitler, jeśli nie bożyszczem? A Stalin? A kimże są ci wszyscy aktorzy i aktorki Hollywoodu, którzy otrzymują worki miłosnych listów, a ich zdjęcia krążą po całym świecie? To ta sama Jentl, tylko w nowym przebraniu. prostytutki na pewno też są takie same, nawet jeśli mają dyplom college'u albo piszą rozprawy na twój temat. Co mogłoby powstrzymać kogoś takiego jak ja? Kiedy byliśmy w Warszawie, moja matka uganiała się za każdym facetem, jaki się nawinął. Była rzekomo komunistką, aktorką. Taka z niej aktorka, jak ze mnie rabinowa. Wszystko to preteksty do kolejnych podbojów. Mój ojciec nie był lepszy. Bóg jeden wie, ile miał kochanek. Wysłał mnie do gimnazjum, w którym uczono hebrajskiego i Biblii, ale żadnej z tych rzeczy nie traktował poważnie. Utrzymywał, że żydowska dziewczyna, taka jak ja, powinna przestrzegać szabatu, ale sam łamał wszystkie szabasowe prawa.

Wszyscy oświeceni Żydzi są tacy. W Niemczech mój ojciec był przemysłowcem. Matka wdała się w romans z jakimś dziennikarzem, pół-Żydem. A w żydowskim państwie, co się dzieje, jak myślisz? Poza tymi religijnymi w Mea Szearim dalecy są od świętości. A ty? A Max? A ten idiota Stanley? Żaden z was nie ma prawa wytykać mnie palcem. W czym jestem gorsza od dziewcząt z mojego college'u? Bóg jeden wie, ilu mężczyzn miały moje koleżanki z klasy. A co z kobietami obsypywanymi przez mężów futrami, biżuterią i cadillacami, które zabijają czas, przelewając z pustego w próżne? Ja przynajmniej usiłowałam ocalić swoje obmierzłe życie. Większość żydowskich dziewcząt, które wpadły w ręce Niemców, robiłaby to samo, gdyby tylko miała taką szansę.

— Nie prawię kazań na temat moralności i nie musisz mi się tłumaczyć — powiedziałam.

— Prawisz. Nazwałeś mnie dziwką. Czy ja jestem większą dziwką niż ty rozpustnikiem? Kim wy wszyscy jesteście, pisarze, artyści? Jeśli nie ma Boga, a człowiek pochodzi od małpy, dlaczego nie mogę robić tego, co sprawia mi przyjemność?

— Gdyby wszystkie kobiety prowadziły się tak jak ty, żaden mężczyzna nie miałby pewności, czy jest ojcem swego dziecka. Sama wiesz, co się działo w Rosji po rewolucji, kiedy prostytutka stała się proletariacką cnotą. Na ulicach pojawiły się setki tysięcy złodziei, zbrodniarzy i morderców. Omal nie zmiotli Rosji z powierzchni ziemi. Co by się stało z tymi ocalałymi resztkami żydostwa, gdyby żydowskie dziewczyny były takie rozwiązłe jak ty?

— Są rozwiązłe. Wszystkie żydowskie dziewczęta z mojego college'u romansowały z gojami. Nawet te, które wyszły za mąż lub chodziły do synagogi, były całkowicie zasymilowane. W Ameryce być Żydem czy Żydówką to znaczy wysyłać czek do Izraela albo należeć do Hadassy. I o ile wiem, nie inaczej jest w państwie żydowskim.

Siedzieliśmy, długo nie mówiąc ani słowa, patrząc prosto przed siebie. Dotarliśmy najwidoczniej do przedmieść, ponieważ ławka, na której siedzieliśmy, znajdowała się niedaleko domu Treibitcherów. Nagle Miriam poruszyła się.

— Tu jest twój „zastaw”. — Otworzyła torebkę i wręczyła mi klucze, książeczkę czekową i dolary, które włożyła do koperty. — Możesz opowiedzieć Maxowi o wszystkim, co się wydarzyło — zapewniła. — Pamiętaj

też, że dają sobie radę bez mężczyzn. Jeśli chcesz, to może być nasze ostatnie spotkanie.

Podnieśliśmy się z ławki i weszliśmy do parku. Milcząc, dotarliśmy do stawu. Ranek był słoneczny, ale teraz chmury przykryły niebo. W powietrzu wisiał deszcz i czuć było nadchodzącą jesień. Stada ptaków skrzecząc przelatywały nad wodą. Nie mogłem nadal spotykać się z Miriam, ale nie miałem też siły, by się z nią rozstać.

I co dalej? Często miałem uczucie, że niezależnie od tego, co się powie lub zrobi, przyszłość to tylko powtórzenie przeszłości. Stefa ofiarowała mi swój dom i przyjąłem jej propozycję. Była otyłą, zgorzkniałą kobietą w średnim wieku. Żywiła urazę do swojej zamężnej córki i nieustannie o niej rozmyślała. „Franka nie znosi Żydów” — mówiła. „Jest na mnie obrażona. Jaką ja jej wyrządziłam krzywdę?”. Nie, nie mogę mieszkać ze Stefą i Leonem. Nie zniósłbym dłużej tej całej osobliwej gadaniny Leona, jego ciągłych wzmianek o zmianie testamentu, nieustannych dyskusji o tym, co piszę. Chwaląc mnie, potrafił zarazem, na swój prostacki sposób, sprawiać mi przykrość. Udało mu się poznać moje namiętności oraz złudzenia, którym się oddawałem, i szydził z nich szyderstwem starego człowieka, który dostrzega całą marność życia.

Zapadł zmierzch, a my wciąż spacerowaliśmy. Park stopniowo się wyludniał i w końcu zostaliśmy sami. Ten dzień był nadzwyczaj długi. Czerwone słońce wisiało na nieboskłonie niczym ogromna kula ognia. Nie świeciło, lecz żarzyło się. Miałem wrażenie, jakby z powodu jakiegoś błędu astronomii słońce zapomniało zejść i wisiało na niebie, zbłąkane i niepewne. Często roіłem o kosmicznych przemianach rozgrywających się na moich oczach. Ziemia odrywa się od słońca — a wówczas? Czy Bóg mógłby spowodować jakiś rodzaj odnowy w świecie? Ale co to za różnica, skoro ludzie byłiby ludźmi takimi jak przedtem?

Miriam złapała mnie za rękę, ale dotknięcie jej palców mnie zirytowało, więc oderwałem je, jeden po drugim. Mówiła o zniszczeniu Warszawy, o polskim powstaniu, okrucieństwie Niemców. Nie miałem już ochoty tego wysłuchiwać. Przyczepiła się do mnie z jakiegoś powodu. Czy taka kobieta w ogóle potrafiłaby kochać? Zauważyłem, że stale zmienia temat rozmowy, prawdopodobnie z obawy, by mnie nie znudzić. Przepelniała mnie egoistyczna ciekawość, czy zyskałem już nad Miriam przewagę, ową biologiczną władzę, która istnieje we wszystkich gatunkach i rodzajach, między mężczyznami i kobietami, pośród zwierząt i ptaków — coś w rodzaju powszech-

nego prawa silniejszego. Nie musiałem już starać się jej przypodobać, mogłem sobie pozwolić na wszelki możliwy nonsens i bzdurę.

— Jak sądzisz, co będzie z jidysz? — usłyszałem głos Miriam.

Wyskoczyła z tym pytaniem z głupia frant czy też było ono powiązane z czymś, o czym mówiła wcześniej, a czego w ogóle nie usłyszałem? Postanowiłem odpowiedzieć poważnie.

— Język wraz z upływem czasu wzbogaci się, ale ci, którzy nim mówią, zbiednieją. Jidyszyści staną się zgrają żebraków, będą pisać wiersze, których nikt nie będzie czytał. Pisarze będą dźwigać paki rękopisów, tak ciężkich, że będą się uginać pod ich ciężarem. Uknują spisek, żeby rewolucja miała miejsce nie na ziemi, ale w...

Miriam przerwała mi nagle:

— Spójrz!

Doszliśmy do południowej granicy Central Parku. Okna wszystkich drapaczy chmur jarzyły się niesamowitym blaskiem, jakby potężna ściana szkła stała w ogniu. Widok był piękny, choć światło to sprawiało jednocześnie, że budynki robiły wrażenie opuszczonych i nieludzkich. Przypomniła mi się opowieść rabina Nachmana z Braclawia o pałacu, w którym ustawiono długi stół na królewską ucztę, mimo że od wielu lat pałac pozostawał pusty.

— Nie śmieję się, ale jestem głodna — odezwała się Miriam.

— To nie jest powód do śmiechu.

— Motylku! Mogę dalej cię tak nazywać?

— Możesz nazywać mnie nawet Nachbi ben Wafsi.

— Cóż to za imię?

— To z Pięcioksięgu. Był też pisarz, który posługiwał się tym imieniem — zapomniałem, czy pisał w jidysz, czy po hebrajsku.

— Motylku, nie potrafię już bez ciebie żyć. Taka jest gorzka prawda.

Przystanąłem, Miriam też.

— Tak szybko? — spytałem. W tym momencie poczułem, że to nie ja wypowiedziałem te słowa. Moje usta uzyskały swego rodzaju autonomię i działały wedle swej własnej woli.

— Ze mną wszystko dzieje się szybko. Albo szybko, albo wcale — odrzekła Miriam.

— A co z Maxem?

— Też mi go brakuje.

— A Stanley?

Miriam zadygotała.

— Nie wspominaj nawet jego imienia, niech będzie przeklęty!

— Gdzie chciałabyś pójść coś zjeść?

Miriam nie odpowiedziała. Złapała moją rękę i ścisnęła tak mocno, że sprawiła mi ból.

— Mam pomysł, Motylku — odezwała się. — Ale obiecaj, że nie będziesz się z tego śmiał.

— Nie będę się śmiał.

— Skoro znasz już całą prawdę o mnie, niech wszystko pozostanie tak, jak jest.

— Co ma pozostać tak, jak jest?

— Ja będę prostytutką, a ty moim klientem. Moje mieszkanie będzie burdelem. Możesz mi płacić — ale nie będę droga. Dolar tygodniowo albo dziesięć centów za noc. Były takie tanie prostytutki w Warszawie, właśnie na tej twojej ulicy, na Krochmalnej. Czy jestem mniej pociągająca niż one? Zrobisz dobry interes. Będę ci nawet gotować. Ludzie chwytają się wszelkich możliwych interesów. Możesz nazywać mnie dziwką; od dzisiaj to będzie moje imię.

— A co z Maxem?

— Też będzie tak do mnie mówił. Nie chcę już dłużej prowadzić oszukańczej gry. Chcę być uczciwą prostytutką.

Coś tam we mnie w środku miało ochotę się rozeźmiać, ale jednocześnie poczułem, że pieką mnie oczy.

— A co z innymi? — spytałem.

— Jakimi innymi? Nie będzie żadnych innych.

— prostytutka, która ma tylko dwóch klientów?

— Tak, ty i Max. Jeśli Max nie będzie mnie chciał, będę tylko twoja. Pamiętam z Biblii opowieść o proroku, który ożenił się z nierządnicą... Ale ja nie chcę, żeby się ze mną żenił, chcę tylko być nierządnicą.

— Co teraz zrobimy? — spytałem.

— Daj mi dziesięć centów.

— Z góry?

— W Warszawie zawsze płacili z góry.

— Poczekaj.

Grzebałem w kieszeni spodni, aż znalazłem dziesiątaka. Miriam wyciągnęła rękę.

— Masz! — Wsadziłem monetę w jej nadstawioną dłoń.

Trzymała przez chwilę monetę, przyglądając się jej. Potem przełożyła ją do drugiej ręki i dotknęła ustami.

— To najszczęśliwsza noc w moim życiu – powiedziała.

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział siódmy

Minęły dwa tygodnie, a od Maxa nie było żadnej wiadomości. Może został aresztowany w komunistycznej Polsce? Zatelefonowałem do Chaima Joela Treibitchera, ale nikt nie odpowiadał. Spędziłem noc z Miriam, ale nie u niej, lecz przy Park Avenue, w mieszkaniu owej lesbijki, której dzieckiem Miriam się opiekowała. Miriam przedstawiła mnie pani domu, Lynn Stallner. Była to rośła kobieta o zielonych oczach i ognistorudych, ściętych po męsku, włosach. Twarz i dłonie miała usiane piegami, nos krótki, a usta pełne. Jej towarzyszka, Sylvia, była niska i ciemna. Obie były rozwódkami. Wybierały się na letnie wakacje do Martha's Vineyard. Miriam miała się w tym czasie zająć dzieckiem. W luksusowym mieszkaniu przy Park Avenue Miriam przygotowywała dla siebie i dla mnie posiłki. Piliśmy wino z barku Lynn Stallner. W ciągu dnia, kiedy Miriam zabierała małego Didi do parku i na plac zabaw, przesiadywałem w bibliotece Lynn Stallner i czytałem jej książki. Notowałem też nowe tematy i pomysły. Czasem przeglądałem żydowską gazetę, którą rankiem przynosiła Miriam.

Telefon był tutaj w każdym pokoju, często więc dzwoniłem do Stefy. Nasze rozmowy prawie zawsze wyglądały tak samo. Gdzież to ukrywam się w te upalne letnie dni? Chciała wiedzieć, dlaczego do niej nie przycho-
dę. Przygotowywali się z Leonem do całomiesięcznego pobytu w hotelu w Atlantic City. Chętnie zabraliby mnie z sobą, Stefa utyskiwała:

— Zawiodłam się na tobie, Arele. Zamiast skupić się na pracy literackiej, zadajesz się z wszelką możliwą hołotą. Wierzyłam w ciebie i twój talent, ale ty robisz wszystko, żeby doprowadzić się do zguby. Leon jest entuzjastą tych twoich rzeczy pisanych w jidysz, ale kto w Ameryce czyta w jidysz? Wpadłeś w bagno i już nigdy się z niego nie wydobędziesz. Młodszy od ciebie o dwadzieścia lat dorobili się już sławy i bogactwa, ale ty trzymasz się kurczowo tego, co chore, zepsute, bliższe śmierci niż życia. Leon proponował, że zapłaci komuś, kto by przetłumaczył twoje utwory na angielski. Inni od razu skorzystaliby z takiej szansy, ale ty nie robisz nic, żeby wydobyć się z tarapatów.

— Stefele, literatura nie jest dla mnie aż tak ważna, żebym miał się stać dla niej żebrakiem.

— A co jest dla ciebie ważne? Mogłabym zrozumieć, gdybyś był pobożnym Żydem, tak jak twój ojciec, albo syjonistą, który marzy o odbudowaniu żydowskiego państwa. To, co robisz, całe twoje postępowanie, to po prostu samobójstwo. Skąd dzwonisz?

— Z redakcji.

— Kłamca, nie jesteś w redakcji.

— Skąd wiesz?

— Dzwoniłam do redakcji i powiedzieli mi, że cię nie ma.

— Dlaczego dzwoniłaś?

— Ponieważ Leon zawarł tę swoją transakcję wcześniej, niż się spodziewał, i jutro wyjeżdżamy do Atlantic City. Dzwoniłam, żeby się pożegnać.

— Zegnaj, Stefele. Miłych wakacji.

— Gdzie jesteś?

Odczekałam chwilę, po czym powiedziałam:

— Niańczy dziecko pewnej lesbijki.

— Kpisz sobie ze mnie?

— Nie kpię.

— Zaczekaj chwilę. Ktoś dzwoni do drzwi. Zaraz wracam.

Stefa poszła otworzyć, a ja siedziałem ze słuchawką przy uchu. Wcześniej położyłem sobie na kolanach poranną gazetę i teraz mogłem ją przejrzeć. Nagle zauważyłem ciągnący się przez kilka szpalt nagłówek: SAMOBÓJSTWO HARRY'EGO TREIBITCHERA. Zadrżałem. Harry Treibitcher, czyli Herszele, był maklerem, któremu Max powierzał pieniądze uchodźców,

swoich klientów. Gazeta donosiła, że Treibitcher powiesił się w areszcie, zatrzymany pod zarzutem sprzeniewierzenia akcji i obligacji. Poinformowano, że był bratankiem Chaima Joela Treibitchera, znanego filantropa, oddanego sprawom wspólnoty. Usłyszałem głos Stefy:

— Arele...

— Tak, Stefele.

— To był listonosz z listem poleconym dla Leona. Co ty plotłeś o jakiejś niańce i lesbijce? Jesteś pijany, czy co?

— Nie jestem pijany, ale właśnie przeczytałem w dzisiejszej gazecie, że ktoś, kto obracał pieniędzmi uchodźców z Polski, ludzi z moich stron, odebrał sobie życie. To po prostu katastrofa.

— Powierzyłeś mu swoje pieniądze?

— Ja nie, ale mój dobry przyjaciel. Może słyszałaś o Maksie Aberdamie?

— Nie, a kto to jest? Skąd dzwoniś? Co to za lesbijka?

— Max Aberdam to mój przyjaciel z Warszawy. Ma tu w Nowym Jorku kochankę, studentkę. To ona opiekuje się dzieckiem tej lesbijki.

— Co to ma wspólnego z tobą?

— Ta studentka pisze pracę na temat mojej twórczości. Zaprosiła mnie, żebym zobaczył, co napisała. Zrobiła mnóstwo poważnych błędów, więc usiłuję je poprawić.

— Doprawdy, zaczynam wierzyć, że straciłeś rozum — powiedziała Stefa. — Żaden uniwersytet nie przyjmie dysertacji poświęconej utworom jakiegoś nieznanego żydowskiego pisarza. Nieustannie wiążesz się z ludźmi, którzy nic, tylko zabierają ci czas. Nowy Jork jest latem nie do zniesienia, więc jutro wyjeżdżamy do Atlantic City. Ale wiesz, że trudno wytrzymać z Leonem cały miesiąc, dzień w dzień. Tu, w Nowym Jorku, ma swoje interesy i zostawia mnie w spokoju. Ale kiedy wyjeżdżamy gdzieś, gdzie jest tylko ze mną, trudno się go pozbyć. Cieszylibyśmy się, gdybyś z nami pojechał. Chciałabym, żebyś wziął nasz adres i jeśli znudzą cię ci twoi wariaci, te wszystkie pijawki, które wysysają z ciebie całą energię, możesz zadzwonić i przyjechać do nas. Weź ołówek i zapisz...

Stefa podyktowała mi nazwę hotelu, adres i numer telefonu, po czym spytała:

— Jak się nazywał ten twój przyjaciel, o którym wspominałeś?

- Max Aberdam.
- To ten, który odebrał sobie życie?
- Nie, tamten to jego pełnomocnik, makler.
- Nigdy o nim nie słyszałam, ale Leon będzie wiedział, kto zacz. Co to wszystko ma wspólnego z tobą i tą lesbijką?
- To wszystko jest ze sobą powiązane.
- Dobrze, niech i tak będzie. Do zobaczenia! Chyba tylko sam Bóg mógłby ci pomóc!

Ledwo odłożyłem słuchawkę, telefon znów się rozdzwonił. To była Miriam.

— Dlaczego tak długo rozmawiałeś? — spytała ze zdenerwowaniem w głosie.

— Dzwonił ktoś z redakcji.

— Arele, Max się rozchorował! — wykrzyknęła.

— W Polsce? Skąd wiesz?

— Wsadziłam małego do spacerówki i pojechałam z nim do siebie. Dozorca miał dla mnie depeszę z Warszawy. Serce mi podpowiadało, że coś się wydarzyło. Max jest w szpitalu. Miał operację!

— Boże w niebiosach, co się stało?

— W depeszy jest tylko mowa o operacji. Wiem, że miał kłopoty z nerkami. Bałam się tej jego podróży. Jak tylko usłyszałam, że wybiera się do Polski, wiedziałam, że zdarzy się nieszczęście. Tu, w Nowym Jorku, ma swojego lekarza, który zna wszystkie jego dolegliwości i opiekuje się nim. A lekarze w Warszawie, zwłaszcza teraz, po wojnie, to pewnie wszystko młodzi, jeszcze studenci.

— Co dokładnie było w tym telegramie?

— Że miał operację i że zadepeszuje do mnie ze Szwajcarii. I pozdrowienia dla ciebie.

— Ze Szwajcarii? A dokładnie?

— Nie podał adresu. Pewnie zamierza tam odpocząć. Wiem, że Matylda Treibitcher ma gdzieś w Szwajcarii willę. Wiesz oczywiście, że ona z nim pojechała.

Przez chwilę milczeliśmy. Potem powiedziałem:

— Miriam, zdaje mi się, że jedno nieszczęście pociąga za sobą następne. Harry Treibitcher, Herszele, jak go nazywasz, popełnił samobójstwo.

— Co? Nie wierzę!

Przeczytałem jej artykuł z gazety. Miriam uderzyła w śpiewny, warszawski lament:

— To Maxa zabije! To dla Maxa koniec — dla mnie też. Nie chcę bez niego żyć. Arele, przyszła na mnie kara. Max powierzył Harry'emu wszystkie pieniądze — nie tylko własne, ale też swoich klientów. W sprawach finansowych Max jest wyjątkowo honorowy. Kiedy to do niego dojdzie, serce mu pęknie. Ach, nie chce mi się już żyć. Motylku, wbiłeś mi nóż w piersi.

— Miriam, najdroższa, nie mogłem trzymać tych wiadomości w tajemnicy przed tobą.

— Nie, nie mogłeś. To nieszczęście, katastrofa. Prywa nie ma nic, nic. Ostrzegałam Maxa. Mówiłam mu. Od razu, kiedy cię poznałam, powiedziałam ci, że Harry to oszust i kanciarz. Grał na wyścigach i jeździł rolls-royce'em. Uganiał się za dziwkami, nie takimi jak ja, ale takimi, które za swoje usługi żądają wysokiej ceny — aktorkami, modelkami, śpiewaczkami operowymi, diabeł wie kim jeszcze. Max wiedział wszystko o wybrykach Harry'ego, ale uważał, że to finansowy geniusz, tak jak jego wuj, Chaim Joel. Ale ten wuj, pomimo wszystkich wad, jest Żydem starej daty, natomiast Harry to szarlatan, libertyn, złodziej. Ktoś mi mówił, że ma własny samolot. Na co mu samolot? Co za łajdak! To nie były zwyczajne pieniądze — Miriam podniosła głos — to był krwawy grosz, pieniądze z odszkodowań, które matki dostały za swoje dzieci. Ach, poczekaj chwilkę.

Usłyszałem w telefonie kaszel i posapywanie. Doszedł mnie też płacz dziecka.

— Co się dzieje, Miriam?

— Nic, nic, poczekaj. Sza, Didile! Sza, skarbie, słodkie maleństwo. Masz, napij się. Arele, jak tylko uspokoję dziecko, przyprowadzę go z powrotem. Muszę ci powiedzieć jeszcze jedną rzecz.

— Co takiego?

— Uciekaj, Motylku, bierz nogi za pas! Jeśli nie jesteś całkiem ślepy, to widzisz, w jakie bagno cię wciągają: złodziejstwo, rozbój, prostytutka, morze ohydy. O mały włos, a zostałbyś zastrzelony przez Stanleya. Po co ci to? Jesteś istotą twórczą, potrzebujesz ciszy i spokoju. Czemu miałbyś się smażyć w moim piekle?

— Powiesz mi to później, Miriam, nie przez telefon.

— Wkrótce się zobaczymy. — I Miriam odwiesiła słuchawkę.

Byłem zbyt niespokojny, żeby usiedzieć na krześle. Wstałem i przeniosłem się na sofę, stojącą po przeciwnej stronie pokoju. Tak naprawdę, co mnie obchodzi zdrowie Maxa Aberdama? Dlaczego mam się przejmować tym oszustem, bratankiem Chaima Joela Treibitchera? Albo Prywą, Cłuwą, Irką Szmelkes czy jej synem, który ma nie po kolei w głowie? Muszę skończyć z tą ludzką płataniną i wrócić do swojej pracy. Ale w jaki sposób się uwolnić, co właściwie powinienem zrobić? Nie mogłem pracować w swoim pokoju przy Siedemdziesiątej Ulicy. Słońce świeciło tam przez cały dzień tak, że nie mogłem wytrzymać z gorąca. Może warto wybrać się ze Stefą i Leonem do Atlantic City? Nie mogłem sobie, rzecz jasna, pozwolić na hotel pierwszej klasy, a kilka tygodni w takim miejscu całkowicie pochłonięłoby moje oszczędności. Nie byłem nawet pewien, czy znalazłbym tam spokój do pracy. Poza tym tak naprawdę lubiłem góry, a nie morze. Moja blada skóra źle znosiła ostre słońce. Nigdy też nie nauczyłem się pływać. Prócz tego nieśmiałość, która pozostała mi jeszcze z chłopięcych czasów, nie pozwalała mi leżeć na pół nago na piasku czy pluskać się wraz z kobietami i dziewczętami w oceanie.

Zdrzemnąłem się, a kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem Miriam. Wróciła i zdążyła już nawet położyć malca spać. Zaszła w niej zdumiewająca przemiana. Wyglądała teraz na dojrzałą kobietę, włosy miała rozczochrane, a oczy zaczerwienione. W jej spojrzeniu i ściągniętych ustach ujrzałem rozpacz osoby cierpiącej na długotrwałą melancholię.

Miriam usiłowała dodzwonić się do Chaima Joela Treibitchera w nadziei, że dowie się jakichś nowych szczegółów o stanie zdrowia Maxa, ale usłyszała, że starszy pan również wyjechał do Europy.

— Pojechałabym do Polski — powiedziała mi — ale nie mam adresu Maxa ani pieniędzy.

— Dam ci wszystko, co mam — zaproponowałem.

— Dlaczego miałbyś to robić? Mogłabym je jakoś zdobyć — ojciec by mi dał. Ale nie chcę znów oglądać na oczy tego kraju teraz, kiedy zgładzono tam Żydów. Przeczuwałam, że ta podróż Maxa zakończy się fiaskiem. Jak niby mogłabym do niego pojechać? Może być już w drodze do Szwajcarii, do domu Matyldy, gdzie miał zamieszkać. Jestem pewna, że Chaim Joel Treibitcher też jest w drodze do Szwajcarii. Byłabym tam piątym kołem u wozu. Tak czy inaczej, nie mogłabym być blisko Maxa. Pragnę, żeby żył, ale ta sprawa z Herszele go zabije. Co mam robić, Motylku?

— Nie rób nic.

— Dzwoniła Irka Szelkes. Oni wszyscy wiedzą o moim związku z Maxem. Irka mówiła do mnie takim tonem, jakbym to ja zabrała jej pieniądze. Była rozhisteryzowana i właściwie dała mi do zrozumienia, że Max roztrwonił jej oszczędności na moje kaprysy. Kto wie, do czego takie stare jędze są zdolne? Kiedy w grę wchodzi pieniądze, ludzie tracą rozum.

— To rozumiały, skoro te pieniądze chronią ich przed nieszczęściem.

— Oni wszyscy przyjdą i zapukają do moich drzwi. Irka powiedziała, że Max zostawił swoją żonę, Prywę, bez grosza. To kłamstwo. Ona ma swoje własne pieniądze. Ale Prywa mnie nienawidzi i nastawia innych przeciwko mnie. Ta Cłwa to też kutwa. Oni wszyscy tworzą jedną siwę i całą ich złość skupi się na mnie. Pozostało mi tylko jedno wyjście, Motylku — umrzeć. Mam do ciebie prośbę, ale nie śmieję się, mówię całkiem poważnie.

— O co chodzi?

— Wiele razy, w najgorszych, mrocznych chwilach życia, chciałam skończyć z tym wszystkim. Ale jestem tchórzliwa, brak mi odwagi. Próbowalam kiedyś łyknąć pigułki, ale je zwymiotowałam. Musisz pomóc mi umrzeć.

— Miriam, dość!

— Nie krzycz na mnie. Nie mam po co żyć. Czegokolwiek bym próbowała, nic mi się nie udawało. Okryłam hańbą moich rodziców. Nawet ciebie udało mi się ściągnąć w dół. Jesteś błydy i wyglądasz na chorego. Wszystkie te problemy nie wpływają dobrze na twoje zdrowie, a już na pewno nie na pisanie.

— Czego ty właściwie ode mnie chcesz? Żebyś odrąbał ci głowę? — spytałem.

Oczy Miriam rozjaśniły się. Przez moment znów wyglądała młodo.

— Tak, mój drogi, zrób to. Brak mi odwagi, by uczynić to samej. Ale jeżeli ty to zrobisz, będę całować twoje ręce. Podłożę ci swoją szyję jak gołębica.

— Gołębica?

— Moja babka mawiała, że kiedy ktoś zamierza zabić gołębicę, ona sama podkłada szyję pod nóż.

— Wiesz, że odgrywasz komedię.

— Nie, mój drogi, traktuję to poważnie. Mam w domu tasak. Dam ci go. Zostawię list z informacją, że zrobiłam to własnoręcznie.

— Miriam, nawet Al Capone nie byłby w stanie odrąbać sobie głowy.

— A więc mnie uduś. Masz dwie silne ręce. W twoich dłoniach umrę szczęśliwa.

— Pocałunek śmierci, co?

— A co to takiego?

— Wedle legendy Mojżesz umarł pocałowany przez Boga.

— Ty będziesz moim Bogiem.

— Chciałaś powiedzieć: Aniołem Śmierci?

— To jedno i to samo.

Miriam zarzuciła mi ręce na szyję. Zaczęła całować i gryźć moje usta. Od dawna wiedziałem, że rozmowy o przemocy, morderstwie i śmierci wzmagają pożądanie. Zdarzało mi się w chwilach wybuchów namiętności słyszeć okrzyki: „Zabij mnie! Rozszarp, zadźgaj mnie!”. Z gardeł wyrwały się atawistyczne żądze, wołania rodem z dziewiczych lasów i jaskiń. Rzuciliśmy się na sofę Lynn Stallner i zaczęliśmy zmagać się z sobą w pożądaniu, obejmując się, całując, gryząc. Miriam zaczęła wyć jak zwierzę:

— Chcę mieć z tobą dziecko! Chcę ci dać dziecko!

Wszystko to było częścią miłosnej gry. Zapadła noc. Didi obudził się i zaczął kwilić w swoim łóżeczku. Miriam oderwała się ode mnie i pobiegła do jego pokoju, żeby zmienić pieluszkę i dać mu butelkę. Jego matka gdzieś w Nowej Anglii leżała w łóżku ze swoją lesbijską kochanką. Kiedy Miriam wróciła, zapaliła światło. Trzymała na rękach chłopczyka — rudowłosego brzdąca o niebieskich oczach i małej bladej twarzyczce, w nocnej koszulce i pieluszcze. Położył swoją małą rączkę na piersi Miriam, a ona wskazała na mnie palcem i powiedziała:

— Didi, to twój tatuś.

Malec spojrzał na mnie poważnym, spokojnym wzrokiem. W jego oczach odbijała się jakaś ukryta mądrość. Pomyślałem sobie, że gdzieś tam, we wszystkim, co żyje, obecna jest taka moc, która zna i rozumie wszelkie komplikacje ciała i ducha. Nigdy nie miałem dziecka, nigdy nie chciałem powoływać na ten przeklęty świat nowej istoty, ale tego wieczora poczułem ojcowską miłość do tego małego stworzenia, które było całkowicie bezradne i w pełni zależne od ludzkiej odpowiedzialności i dobroci. Zwierzątko w jego wieku ma już zęby, szpony, czasem nawet rogi, i samo potrafi zdobywać dla siebie pożywienie. Ale *homo sapiens* rodzi się bezradny niczym kaleka i musi taki pozostać przez wiele lat, dopóki nie nauczy się radzić

sobie i nie nabierze doświadczenia. Okres dzieciństwa zdaje się wydłużać w kolejnych pokoleniach. Miriam pochyliła ku mnie chłopczyka.

— Podaj rączkę tatusiowi.

Wzięłem maleńkie rączki dziecka w swoje ręce i pocałowałem je. Przez chwilę bawiłem się jego paluszkami u nóg. Głos Miriam stał się ochryply i nabrzmiały wzruszeniem.

— Uroczy, nieprawdaż?

— Na razie.

— Co przez to rozumiesz?

— Może wyrosnąć na złodzieja, oszusta, mordercę.

— Bardziej prawdopodobne, że będzie uczciwym człowiekiem, artystą, uczonek — odparła Miriam. Zerknęła na mnie z przyjacielskim wyrzutem i powiedziała: — Gdyby wszystko nie szło wciąż na opak, moglibyśmy mieć takiego brzdąca jak Didi.

Kiedy Lynn Stallner zadzwoniła i powiedziała, że wraca nazajutrz do Nowego Jorku, Miriam zaproponowała, żebym przeniósł się do niej. Ale mieszkanie Miriam przerażało mnie. Stanley wciąż jeszcze miał klucz do drzwi wejściowych i w każdej chwili mógł się tam zjawić. Rozstaliśmy się więc. Wróciłem do mojego pokoju przy Siedemdziesiątej Ulicy. Wychodząc, zapomniałem zaciągnąć rolety i przez cały dzień słońce nagrzewało pokój. Było gorąco jak w piecu. Książki, czasopisma i gazety leżały porozrzucane w nieładzie na podłodze i na łóżku. Dziwne, że panujący żar nie wzniecił ognia. Byłem zbyt zmęczony, by się rozebrać. Rzuciłem się na łóżko w marynarce, spodniach i butach. Kupiłem poranną gazetę, ale nie miałem siły na czytanie. Choć pora była późna, od Broadwayu niósł się łoskot, terkotanie i stukot kolejki podziemnej. W miesiącach letnich Nowy Jork stawał się piekłem. Przespałem całą noc w ubraniu.

Rano wziąłem prysznic w łazience znajdującej się w holu, po czym pojechałem metrem do redakcji. Opuściłem się w pracy. Na swoim biurku znalazłem listę ludzi, którzy przychodzili otworzyć przede mną serce i zasięgnąć rady. Niektóre nazwiska już znałem — pewnego komunisty, któremu otworzyły się oczy na to, co się dzieje w Rosji i który poszukiwał nowej interpretacji marksizmu; kobiety, która trzy razy usiłowała targnąć się na życie; zdradzonego męża, który szukał pocieszenia w alkoholu i narkotykach; młodzieńca doprowadzanego do szaleństwa za sprawą promieni, które

wysyłali jego wrogowie; dziewczyny, która szukała drogi do Boga i sposobu odnowienia swej tożsamości. Przekonywałem ich wszystkich, że nie potrafię im pomóc. Sam jestem zagubioną duszą. Jednak oni wbili sobie do głowy, że ja jeden mogę ich uratować, i uczepili się mnie i moich rzucanych na pocieszenie słów. Wycinali fragmenty moich artykułów i podkreślali pewne słowa. Czasem zasypywali mnie lawiną niezasłużonych pochwał; innym razem ciskali na moją głowę gromy. Wszyscy, bez wyjątku, wysyłali do mnie długie listy.

Napisałem cykl artykułów o telepatii, jasnowidzeniu, przeczuciach, snach na jawie i innych fenomenach okultystycznych, a po ich opublikowaniu nadeszło mnóstwo listów, które mnie zdumiały. Od czasu do czasu otrzymywałem jakiś miłosny liścik od czytelniczki, z załączonym zdjęciem.

Miałem ochotę dać sobie spokój z tą robotą, ale moi szefowie, zarówno w radio, jak i w gazecie, nie zgadzali się na to, bym zarzucił dział porad. Przez lata pozostawałem nieznanym człowiekiem, a tu nagle wszyscy czytelnicy mnie znają, i to nawet rozszyfrowują moje pseudonimy. W niczym mi to bynajmniej nie pomogło. Nie było końca składanym na mnie skargom: że jestem nadmiernym pesymistą, że jestem zbyt przesądny, sceptyczny, jeśli idzie o postęp ludzkości, nie dość oddany socjalizmowi, syjonizmowi, amerykańizmowi, walce z antysemityzmem, działalności jidyszystów, problemom praw kobiet. Niektórzy krytycy utyskiwali, że podczas gdy na moich oczach rodzi się państwo żydowskie, ja nurzam się w pajęczynie folkloru. Oskarżali mnie o wciąganie czytelników na powrót w mroki średniowiecza. *Nu*, i dlaczego takie zainteresowanie sprawami seksu? Seks nie leży w tradycji żydowskiej literatury.

Ktoś zapukał do moich drzwi, po czym otworzył je — powoli, ostrożnie, z szelmowskim uśmieszkiem kogoś znajomego, kto podejrzewa, że nie zostanie rozpoznany. Był drobnej budowy, szczupły, o wydatnym nosie i spiczastej brodzie. Miał na sobie garnitur w szkocką kratę oraz czapeczkę, nazywaną w Warszawie cyklistówką. Zmierzył mnie od stóp do głów i odezwał się:

— Tak, to pan. Czy nazwisko Moryc Zalkind coś panu mówi?

— Zalkind? Tak, oczywiście.

— Jestem ojcem Miriam.

Zerwałem się z krzesła.

— *Szołem alejchem.*

Zamiast całej dłoni wyciągnął do mnie dwa palce. Miał żółty krawat w czarne kropki i perłę wpiętą w węzeł. Jego paznokcie były wypielegnowane. Przypominał mi dandysów ze Związku Pisarzy.

— Ojciec Miriam? — wymamrotałem. — Nie wygląda pan na to.

— Jestem już po pięćdziesiątce. To znaczy biorąc pod uwagę, ile przeżyłem. Bo biorąc pod uwagę to, co przeżyłem, mam ponad sto pięćdziesiąt. Miriam pewnie opowiadała panu o mnie. Mam nadzieję, że nie wypierała się tego, że ma ojca. — Mrugnął do mnie i uśmiechnął się, ukazując sztuczne zęby. Zauważyłem, że ma na jednym palcu sygnet z klejnotem. Z kieszeni marynarki na piersi wystawała chusteczka i złote pióro.

— Proszę siadać, proszę siadać. To prawdziwa przyjemność. Pańska córka bardzo często o panu opowiada.

— Czy nie będzie panu przeszkadzało, jeśli zapalę?

— Nie, bynajmniej. Proszę się czuć jak u siebie w domu.

Wyjął srebrną papierośnicę i zapalniczkę i przypalił sobie papierosa. Jego ruchy były szybkie i precyzyjne. Wypuścił nozdrzami dym i odezwał się:

— Mieszkam na Long Island, ale biuro mam w Astor Building. Zacząłem czytać pańskie rzeczy w Warszawie. Czytałem też wszystkie gazety — „Hajnt”, „Moment”, „Express”, a nawet „Folks-Cajtung”. Chodziłem na spotkania do Związku Pisarzy i zwrócono mi tam na pana uwagę. „Widzisz tego rudowłosego młodzieńca?” — powiedział ktoś. — „Rośnie nam talent”. W Rosji nie wolno było nawet wymieniać pańskiego nazwiska. Żydowski krytycy — *smegeges* — uważali pana za imperialistę. Wiem coś o tym. Moja żona, Fania — jest teraz w Ziemi Świętej ze swoim kochaniem — była jedną z nich. W Warszawie dawała im pieniądze na więźniów politycznych i diabeł wie co jeszcze. Chowali to wszystko do własnych kieszeni. Napisano wiele książek o tych czasach, ale nie ma w nich nawet tysięcznej części tego, co się naprawdę działo. Stalin już wtedy skazał ich wszystkich na śmierć. Trzeba było być ślepym, żeby o tym nie wiedzieć. Wyjdźmy gdzieś. Mam z panem do omówienia pewną sprawę, a tego nie można robić w pośpiechu. Chodźmy na kawę. Nie zabiorę panu dużo czasu. Najwyżej piętnaście minut.

Tych piętnaście minut zamieniło się w godzinę i więcej, a Moryc Zalkind wciąż mówił i mówił. Zjedliśmy lunch w kafeterii. Moryc Zalkind wielokrotnie powtarzał, że chce za mnie zapłacić, ale wsadziłem swój rachunek

do tylnej kieszeni spodni i postanowiłem nie ustępować. Opowiedział mi szczegółowo historię całej rodziny:

— Wie pan, jak przypuszczam, że mój syn, Manes, został zabity w powstaniu w 1944 roku. Żyd ma swój własny rodzaj mikroba, który, niestety, żyje wiecznie. Ale przejdźmy do Miriam. Niech pan poczeka, przyniosę jeszcze kawę i ciastka. Proszę mi dać swój rachunek.

— Nie, dziękuję.

— Co za uparciuch. Zaraz wracam.

Moryc Zalkind wrócił z dwiema filiżankami kawy i dwoma biszkoptami. Usiadł i od razu zaczął:

— No właśnie, Miriam. To ze względu na nią przyszedłem się z panem zobaczyć. Wiem wszystko i zakładam, że pan też wszystko wie. Ona pisze dysertację o pańskiej twórczości. Darzy pana wielkim uznaniem. Max Aberdam, ten pański przyjaciel, to wielki bufon. Ona ma dwadzieścia siedem lat, a on sześćdziesiąt siedem albo i siedemdziesiąt. Ma słabe serce, a na dodatek — żonę. Trzyma też w domu swoją dawną kochankę. Jak jej na imię? No właśnie, Cłuwa. Dla dziewczyny w wieku Miriam, z jej zdolnościami, wiązać się z takim nicponiem to samobójstwo. Mam tylko jedno usprawiedliwienie: jej matka jest dokładnie taka sama, kompletna wariatka. Sprawa jest następująca. Nie potrafię już z nią rozmawiać, to znaczy z Miriam. Dlaczego tak się wścieka? Matce wolno, a mi nie? Skoro moja żona może żyć z innym mężczyzną w państwie żydowskim, otwarcie, na oczach całego świata, to dlaczego ja nie mogę? Miriam zachowuje się tak, jakby na mnie, swoim ojcu, postawiła już krzyżyk. Chciałbym przede wszystkim, żeby pan z nią porozmawiał. Wie pan pewnie, że Harry Treibitcher po tym, jak ukradł pieniądze ofiar prześladowań hitlerowskich, zbankrutował i popełnił samobójstwo. Max Aberdam był pośrednikiem; ludzie wierzyli jemu, nie Harry'emu. Max Aberdam wyjechał do Polski ze swoją dawną kochanką, Matyldą Treibitcher, i poważnie zachorował. Słyszałem, że Matylda też jest chora, a ten idiota, Chaim Joel, już do niej pognał. Dla mojego dziecka, mojej jedynej córki, wplątanie w taki skandal to wstyd i hańba. Ona — niestety — odgrywa w tej awanturze pewną rolę i to błoto spada też na moją głowę. Ktoś mi doniósł, że Miriam ma zamiar spotkać się z Maxem Aberdamem za granicą. Jest pan, rzecz jasna, zajęty swoim pisaniem, ale skoro, jak się zdaje, doradza pan wszystkim — i muszę przyznać, że są to niegłupie rady — to czemu nie doradzi pan również mojej córce, która jest pana żarliwą wielbiicielką, dosłownie pana ubóstwia? Pewnie pan wie, że moja córka popełniła

straszliwe szaleństwo i wyszła za mąż za pewnego durnia, prostaka, kompletnego imbecyla. Miriam sama jest swoim najgorszym wrogiem. Robi rzeczy, które można określić tylko w jeden sposób — jako masochizm. Doszło do tego, że chcieliśmy wysłać ją do psychiatry, doktora Biechowskiego, który był jednym z największych polskich specjalistów w tej dziedzinie. Ale Miriam nie chciała nawet o tym słyszeć. Uznała, w swoim chorym umyśle, że chcemy ją zamknąć w domu wariatów. *Nu*, można by dużo opowiadać.

Moryc Zalkind zaparkował na East Broadway i namawiał mnie, żebym wybrał się z nim na przejażdżkę jego nowym samochodem. Chciał zabrać mnie do Café Royal, do Lindy'ego albo do restauracji rybnej w Sheepshead Bay.

— Dlaczego siedzi pan w tym upiornym Nowym Jorku? Tam, gdzie teraz mieszkam, na Long Island, powietrze jest rześkie. Wieje chłodny wiatr od morza. Skoro nie wierzy pan w świat przyszły, dlaczegóż by nie cieszyć się odrobinę tym światem? Chodźmy, spędzimy razem parę godzin. Gdzie pan mieszka?

— Wynajmuję umeblowany pokój przy Siedemdziesiątej Ulicy.

— Jest tam przynajmniej łazienka?

— W holu.

— I jaki to ma sens? Nie zamierza pan chyba tracić całej swojej energii na to, żeby zdobyć nieśmiertelność jako pisarz?

— Nie, bynajmniej.

— Spytałem Miriam, co jej może dać dysertacja o Aronie Greidingerze, jeśli bohater jej pracy sam żyje jak biedak. Odparowała, że dla mojej duszy nie liczą się ideały, tylko pieniądze. A co dobrego, pytam pana, może przynieść idealizm? Ale moja córka jest uparta jak osioł. Dużo mnie kosztowała i wciąż kosztuje, choć nawet o tym nie wie. Dziewczyna w jej wieku powinna wyjść za mąż, a nie uganiać się za kimś, kto jest śmiertelnie chory, żonaty, a na dodatek zbankrutował. Jaki to wszystko ma sens, co?

— Miłość nie pyta o sens — odrzekłem.

— Ale co ona w nim widzi? Dla mnie on jest odrażający.

— Ona patrzy na niego swoimi własnymi oczyma, nie pańskimi.

— Łatwo panu mówić. Nie ma pan żony ani córki.

Uświadamiałem sobie niejasno, że przejechaliśmy przez Brooklyn Bridge i samochód Moryca Zalkinda zmierza w kierunku Coney Island. Nie widziałem Coney Island od lat. Minęliśmy Sheepshead Bay, Brighton i wyjechaliśmy na Surf Avenue. Byliśmy na Coney Island. Zmiany można tu było zauważyć gołym okiem — wybudowano wiele nowych domów. Tylko hałas, ruch i słoneczne plaże pełne kąpiących się były takie, jak kiedyś. Obliczyłem, że chłopcy i dziewczęta, którzy dokazywali nad brzegiem oceanu w czasach, kiedy mieszkałem w tej okolicy, musieli już być dojrzałymi ludźmi, a bawiąca się tam teraz młodzież, na pół naga i pociemniała od słońca, to prawdopodobnie ich dzieci. Twarze jednak były takie same — płonące dziko oczy, zdradzające żądzę używania i gotowość zaspokojenia jej za wszelką cenę. Jakiś młodzieniec niósł na ramionach dziewczynę. Ona trzymała się jego kędziorów, liżąc lodowego rożka i śmiejąc się triumfującym śmiechem młodości. Nisko nad wodą przelatowały samoloty, reklamując jedzenie, ale z rzadka tylko mogłem dostrzec słowo „koszer”. Na ławkach wzdłuż szerokiego deptaka, wsparci na laskach, siedzieli starzy ludzie, spierając się i dyskutując.

— Chciałbym o coś spytać — odezwał się Moryc Zalkind — tylko proszę się nie obrażać. Nie musi mi pan odpowiadać. To z mojej strony zwykła ciekawość.

— O co chodzi?

— Jaki rodzaj stosunków łączy pana z moją córką? Wiem, że jest oczarowana pańską twórczością. Ale pan jest od niej jakieś dwadzieścia lat starszy. Po drugie, skoro już zadaje się z tym starym idiotą, Maxem, jaka jest w tym wszystkim pańska rola?

Moryc Zalkind zatrzymał samochód. Byliśmy przed jakąś restauracją. Przez chwilę siedziałem w milczeniu, oszołomiony tym nagłym obrotem rozmowy. Potem usłyszałem swoją odpowiedź:

— Pańska córka jest urocza, mądra, czytana i ma wyjątkowe zamiłowanie do literatury; w ogóle to wspaniała dziewczyna.

— To miłe dla ojca słyszeć takie pochwały na temat własnej córki. Ale mówiłem już panu, że nowojorscy imigranci to taki mały sztetł, w którym głównym zajęciem są plotki. Gadają, że Miriam ma dwóch kochanków, Maxa Aberdama i pana. Nie mogę w to uwierzyć. Po co jej dwóch staruchów? Proszę wybaczyć, że tak mówię, sam jestem po pięćdziesiątce. Ale dziewczynie w wieku Miriam nie może się pan wydawać młody. Jeśli te plotki są prawdą, to jest to czyste szaleństwo.

— To nieprawda.

— A w dodatku ona ma męża. Co prawda nie żyje z nim, ale on nie chce dać jej rozwodu. Najwidoczniej jest w niej zakochany bez pamięci. Facet obnosi się z rewolwerem i zwierzył się komuś, że zabije nas wszystkich — ją, mnie, Maxa i kto wie kogo jeszcze? Zawiadomiłem policję o tych jego pogróżkach. Po co człowiek z pana inteligencją miałby wplątywać się w takie intrygi i skandale?

— Miriam czyta mi fragmenty swojej dysertacji. Tak się poznaliśmy — wykrztusiłem. Z trudem wypowiadałem słowa. Gardło i podniebienie miałem całkiem suche.

— To jestem w stanie zrozumieć, ale spędzanie z nią nocy jest czymś zupełnie innym. Wiem na pewno, że spędził pan noc w jej mieszkaniu. Jeden z mieszkańców tego domu, mój klient, doniósł mi, że wychodził pan z budynku o piątej nad ranem. Kiedy mi to powiedział, poczułem się, jakbym dostał w twarz. Chcę być z panem całkowicie szczerzy. Jeśli pana związek z Miriam to coś poważnego i jeśli oboje nie macie co do tego wątpliwości, to będę najszczęśliwszy na świecie. Prawda, że u Żydów pisanie nie czyni z człowieka bogacza, ale wiem, że wydają już pana po angielsku. Pochodzi pan z dobrej rodziny i byłby to dla nas wszystkich zaszczyt. Moje własne życie nie daje mi prawa do prawienia panu morałów, ale ojciec to ojciec. Chodźmy napić się kawy. Cokolwiek mi pan odpowie, pozostaniemy przyjaciółmi. O, tu jest restauracja!

Usiedliśmy przy stoliku. Kelner przyniósł nam lemoniadę i bułeczki. Zdumiało mnie, ale gdy niechcący nazwałem go Maxem, Moryc Zalkind uśmiechnął się tylko pobłaźliwie.

— Jestem Moryc, nie Max. Wiem, że on umie oszukiwać kobiety, nawet moją własną córkę. Ale że potrafił nabrać również pana, to mi się nie mieści w głowie.

— Ma dużo uroku.

— Co składa się na ten urok — umiejętność przypoehlebiana się?

— Może pan tak uważać, ale trzeba mieć talent, żeby powiedzieć każdemu człowiekowi coś miłego.

— I wyłudzić od niego pieniądze.

— Nigdy nic ode mnie nie wyłudził; ani od pańskiej córki.

— I tu się pan myli. Dałem mojej córce pięć tysięcy dolarów, za które on kupił dla niej akcje u tego oszusta, swojego agenta, który już nie żyje. Nigdy nie zobaczy z tego ani centa.

— Nie wiedziałem o tym.

— O wielu rzeczach jeszcze pan nie wie.

Rozmawialiśmy bardzo długo.

— Nie ma już zwyczaju — powiedział Moryc Zalkind — dawania posagu, zwłaszcza w Ameryce. Ale ponieważ ona jest moją jedyną córką, jestem gotów dać panu spory posag, przynajmniej dwadzieścia tysięcy dolarów. Tak naprawdę wszystko, co posiadam, należy do niej. Jestem nawet gotów ofiarować panu dom, żeby mógł pan w spokoju pracować. Proszę dać mi odpowiedź, jasną i uczciwą.

Poczułem, że głowa i kark mi płonie. Moje usta odpowiedziały bez zastanowienia:

— Wszystko zależy od niej. Będzie, jak ona zechce.

— Mówi pan poważnie? — spytał Moryc Zalkind.

— Całkiem poważnie.

— Wspaniale, to dla mnie historyczna chwila. Ona się zgodzi, na pewno. Ubóstwia pana. Tak czy inaczej, wydobędziemy od tego Stanleya zgodę na rozwód.

— Słyszałem, że żyje pan teraz z artystką — powiedziałem.

— Tak, tak. Z Lindą. Podpisuje się Linda McBride — McBride to nazwisko jej męża — ale to żydowska dziewczyna, pochodzi z Galicji. Niedobrze być samemu. Jak to u nas mówią: „Jesteś sam, to jakby cię nie było”. Powiem panu prawdę. Nie rozumiem jej wierszy. Linda zajmuje się też malarstwem, ale nie rozumiem jej obrazów. Owszem, żyję z nią, ale nie mam najmniejszego zamiaru rozwieść się z moją żoną i ożenić z Lindą. Niech pan je, nie wolno zostawiać na talerzu.

— Dziękuję. Nie mogę tyle jeść.

— Może chce pan rzucić okiem na Sea Gate? Wiem, że kiedyś pan tam mieszkał.

— Skąd pan o tym wie?

— Od pana. Pisze pan o pewnych rzeczach, a potem zapomina, że o nich pisał. Ale my, czytelnicy, pamiętamy. Kelner!

Moryc Zalkind zapłacił. Miałem zamiar uregulować swoją część rachunku, ale Zalkind nie chciał o tym słyszeć. Wsiedliśmy na powrót do samochodu i wkrótce dotarliśmy do Sea Gate. Powiedziałem, że chciałbym odnaleźć dom, w którym niegdyś mieszkałem. Wiedziałem, że dom, w którym wynajmowano pokoje żydowskim dziennikarzom i pisarzom, uległ rozbiórce. Na jego miejscu stał teraz hotel. Ale chciałem zobaczyć, czy dom z dwiema drewnianymi kolumnkami od frontu, ten, w którym mieszkał kiedyś mój brat, jeszcze istnieje. Okazało się jednak, że i on zniknął.

Zaczęliśmy iść w stronę morza. Moryc Zalkind nagle chwycił mnie pod ramię. Z jego ramienia emanowało ojcowskie ciepło i ogarnęło mnie uczucie bliskie miłości do tego człowieka, który gotów był dać mi swoją córkę za żonę. Uderzyło mnie, że jest podobny do Maxa, nie w sensie fizycznym, ale duchowym.

Staliśmy przy balustradzie i Moryc Zalkind powiedział:

— Spójrz na ten piasek i te muszle — mają milion lat. Czytałem, że to miejsce, które my znamy jako Afrykę, było kiedyś biegunem północnym — a w każdym razie należało do zimnej strefy. W miejscach uchodzących obecnie za strefy zimne odnajduje się pozostałości drzew palmowych i tropikalnych roślin. Świat stanął kiedyś na głowie i może znów to nastąpi — kto wie? Póki człowiek żyje, musi myśleć o *tachles* swoich i swoich dzieci. Czego chce Bóg? Musi przecież czegoś chcieć...

Rozdział ósmy

Mały świątek, w którym żyłem, dygotał z podniecenia. Dotarła do mnie zaskakująca wiadomość, że Matylda Treibitcher nie żyje. Zmarła w samolocie lecącym do Szwajcarii. Zachorowała już w Polsce, ale nie zgodziła się pójść do szpitala. Chaim Joel Treibitcher, który przyleciał do Polski, żeby być u boku swej żony, znajdował się wraz z Maxem na pokładzie samolotu.

Max przysłał Miriam depezę ze Szwajcarii. Miriam odpowiedziała również depezą, bardzo długą, która kosztowała ją prawie sto dolarów. Zapewniła Maxa, że myślimy o nim, tęsknimy i że nic się nie zmieniło. Jesteśmy też oboje gotowi wsiąść w samolot, jak tylko otrzymamy od niego wiadomość. Poinformowałem wydawcę, że biorę urlop. W gazecie należał mi się właściwie nie jeden, ale kilka urlopów. Pracowałem przez cały rok na okrągło, słałem artykułów bez liku i nigdy nie odmawiałem napisania tekstu, nawet kiedy leżałem złożony grypą. Drukowałem powieść w odcinkach i nie mogłem ani też nie chciałem rezygnować z gazety w momencie, gdy powieść wciąż jeszcze była nieukończona.

Część dnia i noc spędzałem z Miriam. Po raz pierwszy w mojej literackiej karierze dyktowałem niektóre dziennikarskie, a nawet trochę literackich tekstów. Miriam stworzyła na swój użytek coś w rodzaju żydowskiej stenografii. Niebywale szybko umiała pisać na maszynie. Dyskutowałem z nią na temat różnych artykułów i razem projektowaliśmy kolejne rozdziały mojej powieści, a zwłaszcza trzeci, końcowy. Trafność jej rad zdumiewała mnie.

Wkrótce Miriam dowiedziała się, że Stanley znalazł sobie nową miłość, ponoć jakąś aktorkę, z którą wyjechał do Kolumbii Brytyjskiej. Ojciec Miriam wyjechał z Lindą McBride w podróż do Europy. Opowiedziałem Miriam o naszym spotkaniu, a ona rzekła:

— Nie ma na świecie siły, która oderwałaby mnie od Maxa — nie tylko dwadzieścia tysięcy, ale nawet dwadzieścia milionów — zwłaszcza teraz.

Zapewniłem Miriam, że póki żyję, będę uczciwy zarówno wobec niej, jak i wobec Maxa. Rozbawił nas pomysł napisania powieści pod tytułem

Ich troje, historii związku dwóch mężczyzn i kobiety, w którym uczucia biorą górę nad prawem oraz systemami — religijnymi, społecznymi, politycznymi. Zgadaliśmy się, że misją literatury jest właśnie szczere wyrażanie uczuć — nawet tych barbarzyńskich, antyspołecznych i tak sprzecznych, jak tylko sprzeczne mogą być uczucia.

Wieczorami zazwyczaj zapraszałem Miriam na kolację do restauracji. Nigdy nie dość nam było miłości i rozmów. Tematów do dyskusji nam nie brakowało — filozofia, psychologia, literatura, religia, okultyzm. Wszystkie nasze dysputy prędzej czy później nawracały do Maxa i mojej dziwnej z nim spółki. Ale od Maxa nie było ani słowa. Czyżby leżał w szpitalu w Szwajcarii?

Doszło do nas, że kilkoro spośród uchodźców, którzy stracili swoje pieniądze, wdarło się do mieszkania Prywy, porozbijało meble, wywlokło ubrania i pościel z szaf oraz biżuterię z szufladek sekretarzyka. Jakaś kobieta uderzyła Cłwę. Cłwa chciała wezwać policję, ale Prywa jej zabroniła. Irka Szelkes najwyraźniej próbowała targnąć się na życie, zażywając dużą ilość pigułek nasennych, ale Edek wezwał karetkę i odwieziono ją do szpitala, gdzie na czas zrobiono jej płukanie żołądka.

Milczenie Maxa sprawiło, że Miriam pogrążyła się w melancholii. Zaczęła napomykać o samobójstwie. Jeśli Max nie żyje, ona też umrze, powiedziała. Tej nocy miałem wrażenie, jakby między nami leżał duch, powstrzymując nas od zbliżenia. Kilkakrotnie nazywała mnie Maxem, po czym przeproszała i poprawiała się. Kiedy zasnąłem, obudził mnie dzwonek telefonu, dobiegający ze stołowego pokoju. Fosforyzująca tarcza mojego zegarka wskazywała kwadrans po pierwszej. Miriam zażyła pigułkę nasenną i szybko zapadła w sen. Kto mógł dzwonić w środku nocy? Czyżby to znów Stanley? W ciemnościach — bo wciąż jeszcze nie wiedziałem, gdzie zapala się światło — podniosłem słuchawkę i przyłożyłem ją do ucha. Nikt się nie odzywał i byłem już gotów odłożyć, kiedy usłyszałem jakieś pomrukiwanie i kaszel. W końcu odezwał się męski głos:

— To ty, Aronie?

Jakby coś we mnie pękło.

— Max?

— Tak, to ja. Powstałem z grobu, żeby cię udusić.

— Gdzie jesteś? Skąd dzwonisz?

— Jestem w Nowym Jorku. Właśnie przyleciałem z Europy. Samolot miał opóźnienie i przez godzinę nie mogliśmy wylądować. Arele, jestem tutaj incognito. Nawet Prywa nie wie, że przyjechałem. Gdyby moi klienci dowiedzieli się, że jestem, rozerwaliby mnie na strzępy i mieliby do tego pełne prawo.

— Dlaczego nie napisałeś? Wysłaliśmy ci depeszę.

— Do ostatniej chwili nie wiedziałem, czy polecę, czy nie. Matyllda nie żyje, a ja jestem na pół martwy. Podczas tej podróży spadły na moją głowę wszystkie klątwy Księgi Kapłańskiej i Powtórnego Prawa.

— Gdzie jesteś teraz?

— W hotelu Empire na Broadwayu. Jak Miriam?

— Wzięła tabletkę nasenną i zasnęła mocno.

— Nie budź jej. W Polsce poważnie zachorowałem i przez moment здаwało się, że mogę umrzeć. Matyllda dostała ataku serca i zmarła w samolocie. Chaimowi Joelowi udało się po wielu kłopotach przewieźć jej ciało do Erec Israel. Spocznie tam pomiędzy innymi prawymi mężczyznami i kobietami. Jeśli idzie o mnie, zdaje się, że będę musiał zadowolić się grobem w Nowym Jorku. W Warszawie operowali mnie jacyś szarlatani i spartaczyli całą robotę. Mam krew w moczu.

— Dlaczego w Szwajcarii nie położyłeś się do szpitala?

— Powiedziano mi, że najlepsi specjaliści są w Ameryce.

— Co zamierzasz robić?

— W Szwajcarii polecono mi pewnego amerykańskiego lekarza, który jest światowym autorytetem w tej dziedzinie. Zadepeszowałem do niego, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Nie chcę umierać wśród obcych.

— Może obudzę Miriam?

— Nie. Przyjdź tu jutro po cichu. Nikt nie może wiedzieć, że przyjechałem. Posługuje się innym nazwiskiem — Zygmunt Klein. Mam pokój na siódmym piętrze. Zapuściłem białą brodę i wyglądam jak cadyk.

Nagle w stołowym zapaliło się światło i zobaczyłem Miriam w nocnej koszuli, boso. Wyrwała mi słuchawkę z ręki i krzyknęła coś do niej, na pół śmiejąc się, na pół płacząc. Nigdy przedtem nie widziałem jej w tak histerycznym stanie. Wróciłem do sypialni. Minęło ponad pół godziny. Nigdy nie robiła z tego tajemnicy — Max był dla niej najważniejszy. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i Miriam zapaliła światło.

— Motylku, jadę do niego do hotelu.

Kiedy powiedziałem, że zostaję, spytała:

— Zły jesteś czy co?

— Nie jestem zły. Jestem starszy od ciebie o dwadzieścia lat i nie mam siły na takie awantury.

— Masz mnóstwo sił. Wolałabym umrzeć, niż zostawić go samego i chorego!

Leżałem na plecach i patrzyłem, jak Miriam się ubiera. Wkrótce skończyła i wyszła. Poprosiłem, żeby zadzwoniła do mnie, jak tylko dotrze do hotelu, ale wcale nie byłem pewny, czy rzeczywiście to zrobi.

Zacząłem drzemać i przyśniło mi się, że jestem w Warszawie. Był Pesach i trwał seder. Ojciec przewodził uczcie, a mój młodszy brat, Mosze, zadawał właśnie cztery pytania. Widziałem wszystko wyraźnie: wyścielone poduszkami krzesło, ojca ubranego w *kittel*, matkę w szabasowej sukni, tej samej, którą włożyła po raz pierwszy w dniu ślubu. Na nakrytym stole ujrzałem srebrne lichtarze, wino, kieliszki do wina, sederowe naczynia, a w nich *charoset*, gorzkie zioła, jajko, pieczoną kość jagnięcia. Maca leżała owinięta w jedwabną serwetkę, którą moja matka wyhaftowała złotem dla swego przyszłego męża, kiedy została jego narzeczoną. Usłyszałem, jak ojciec podnosi głos i intonuje: „Rzekł rabbi Eleazar, syn Azarii: «Spójrz, mam siedemdziesiąt lat i nigdy nie dostąpiłem zaszczytu opowiadania o Wyjściu z Egiptu, nim Ben Zoma tak tego nie objaśnił...»”.

„Ojciec żyje!” — pomyślałem. „Nie było Hitlera, holocaustu ani wojny. To tylko zły sen”. Zadygotałem i obudziłem się. Czyżby zadzwonił telefon? Nie, zdawało mi się. Nagle uświadomiłem sobie, że w najnowszym odcinku powieści, który miał się ukazać w piątkowym numerze gazety, popełniłem poważny błąd. Napisałem, że bohaterka ma pójść do synagogi drugiego dnia Rosz Haszana, aby odmówić modlitwę za zmarłych. Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że *Jizkor*, modlitwy za zmarłych, nie odmawia się w Rosz Haszana. Zdumiałem się swoją pomyłką i faktem, że sen o Pesach i sederze u mojego ojca uprzytomnił mi błąd związany z Rosz Haszana. Czyżby świadomość tego błędu od początku była obecna w moim umyśle? Pomyłkę tę trudno by uznać za zwykłe przeoczenie, drukarski błąd popełniony przez młodego zecera. Pojawiała się w długim ustępie pełnym opisów. Stałbym się pośmiewiskiem dla czytelników. Czy zdążę to poprawić? Metalowa blacha z tekstem leżała jeszcze u zecera. Zostanie oddana do druku prawdopodobnie od razu z samego rana. Był tylko jeden sposób, żeby oca-

lić moje pisarskie imię od wstydu — ubrać się, pojechać do redakcji i własnoręcznie usunąć cały ustęp — coś, czego w myśl zasad ustalonych ze związkiem drukarzy pisarzowi robić nie wolno.

Byłem zmęczony i osłabiony. Oczy mi się zamykały. Jak znaleźć taksówkę, żeby pojechać na East Broadway? Czy budynek jest otwarty i czy działa winda? Pamiętałem słowa rabina Nachmana z Braclawia: „Póki płonie ogień życia, wszystko da się naprawić”. Poderwałem się i zacząłem się ubierać. Jakoś udało mi się wcisnąć w garnitur i buty, ale krawat gdzieś zniknął. Szukałem go, ale przepadł jak kamień w wodę. Gdy szedłem już w stronę drzwi, zadzwonił telefon. W pośpiechu przyłożyłem mikrofon do ucha, słuchawkę do ust i wykrzyknąłem:

— Miriam!

— Motylku, mam dla ciebie pokój! — zawołała Miriam. — Tutaj, w hotelu, dwoje drzwi od pokoju Maxa. Przyjeżdżaj natychmiast. Max jest chory, śmiertelnie chory, i chce z tobą porozmawiać.

Miriam wybuchnęła płaczem. Nie była w stanie mówić.

— Co mu dolega? — spytałem i poczułem ucisk w gardle.

— Wszystko, wszystko! — zajęczała Miriam. — Przyjeżdżaj natychmiast. Ci warszawscy lekarze dobili go! Arele, jemu natychmiast potrzebny jest szpital, ale ja nie wiem, do kogo się zwrócić. Próbowałam wezwać karetkę, ale nie udało mi się jej sprowadzić.

Miriam usiłowała mi wytłumaczyć, dlaczego karetka nie przyjechała, ale jej słowa utonęły w nowym potoku łez. Usłyszałem, jak dławi się własnymi słowami, i wymamrotałem:

— Już jadę.

Zszedłem do windy. „W porządku, niech wydrukują tę pomyłkę. Trudno, zrobię z siebie pośmiewisko” — pomyślałem. Po raz drugi tego lata opuściłem mieszkanie Miriam w środku nocy. Od strony parku wiał chłodny wietrzyk, ale z ziemi, po wczorajszej fali upału, unosiły się opary. Niebo nad głową, czerwone od świateł miasta, pozbawione księżyca i gwiazd, wyglądało niczym kosmiczna rana. Latarnie rzucały światło na drzewa w parku.

Czekałem na rogu przez dziesięć minut, ale nie nadjechała żadna taksówka. Potem przejechały dwie, ale nie zatrzymały się, mimo że dawałem znaki. Ruszyłem piechotą w kierunku śródmieścia, w stronę hotelu Empire. W tym momencie nagle pojawiła się taksówka, lecz jej nie zatrzymałem.

Samochód podjechał jednak i przystanął koło mnie. Czyżby kierowca zamierzał mnie obrabować? Usłyszałem, że woła coś po żydowsku, wymieniając moje imię. To był Misza Budnik, mój krajan, znajomy z dzieciństwa, który mieszkał w Biłgoraju w czasie, kiedy miasteczko było zajęte przez Austriaków. Chodziłem jeszcze w tamtych latach do domu nauki i zacząłem już pisać. Misza był jakieś pięć lat ode mnie starszy. Uchodził za niezależnego ducha, zgolił brodę, nosił buty z cholewami i bryczesy. Austriacy rekwirowali bydło należące do okolicznych wieśniaków i Misza Budnik pędził je do Rawy Ruskiej, gdzie zwierzęta załadowywano na platformy pociągów towarowych i wysyłano na front włoski. W drodze powrotnej z Rawy Ruskiej Misza szmuglował tytoń z Galicji. Kiedy on i jego żona, Frejdl, która też zajmowała się przemytem, przyjechali do Nowego Jorku, odszukali mnie i na nowo nawiązała się między nami przyjaźń. Zarówno on, jak i Frejdl byli moimi wiernymi czytelnikami. Mieli dwie córki, obie już zamężne. Zaniedbałem tych swoich przyjaciół, którzy nieustannie zapraszali mnie, bym zamieszkał w ich domu, kiedy tylko będę miał na to ochotę. Frejdl gotowała dla mnie stare biłgorajskie potrawy, mówiła mi po imieniu i często mnie całowała. Zarówno Misza, jak i Frejdl stali się w Ameryce anarchistami.

— Misza! — wykrzyknąłem.

— Arele!

Misza wyskoczył z taksówki i chwycił mnie w ramiona. Poczułem na twarzy jego szorstką szczecinę. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i znany był z ogromnej siły.

— To cud! Prawdziwy cud! — wyrwało mi się.

— Cud? A dokąd to tak wędrujesz w środku nocy?

Zacząłem opowiadać Miszy o rozterkach, jakie przeżywałem — z jednej strony ciężko chory przyjaciel w hotelu Empire, z drugiej — gazeta z moim barbarzyńskim błędem, która ma się wkrótce ukazać. Stał, przyglądał mi się i potrząsał głową.

— Jesteśmy trzy przecznice od hotelu — wtrącił. — Wskakuj szybko.

W niespełną minutę stanęliśmy przed wejściem.

— Co się stało twojemu przyjacielowi? — spytał Misza. — Atak serca?

— Ma problemy z prostatą i poważnie się rozchorował.

— Chodź, zabierzemy go do szpitala. To pisarz?

— Nie.

— Jak się nazywa?

— Max Aberdam.

Czarne oczy Miszy zapłonęły gniewem.

— Max Aberdam jest w Nowym Jorku! Tutaj, w hotelu?

— Znasz go?

— Wziął od Frejdl pięć tysięcy dolarów i zwiął do Polski, do tych bolszewików.

— Nie wiedziałem, że go znasz — wyjąkałem.

— Wolałbym nie znać. Ukradł wszystkie oszczędności Frejdl.

— Misza, ten człowiek jest śmiertelnie chory!

Weszliśmy do holu. Za kontuarem, drzemiąc, siedział portier. Otworzył zasypane oczy.

— Słucham?

— W którym pokoju mieszka Max Aberdam? — spytał Misza Budnik.

— W którymkolwiek by mieszkał, nie można go odwiedzać w środku nocy. — Portier wypowiedział te słowa przez zaciśnięte zęby.

— Max Aberdam jest chory. Miał atak serca! — Misza Budnik prawie krzyczał.

— O ile wiem, nikt tu nie miał żadnego ataku. — Portier otworzył wielką księgę, zajrzał do niej i powiedział:

— Nie ma tu nikogo o takim nazwisku.

W tym momencie przypomniałem sobie, że Max Aberdam zameldował się w hotelu pod innym nazwiskiem. Mówił mi jakim, ale zapomniałem.

Misza Budnik stał i przyglądał mi się.

— Doprawdy, nic z tego wszystkiego nie rozumiem — powiedział. — Żartujesz sobie czy co?

— Może to wygląda na żart, ale niestety to prawda.

— Max Aberdam jest tutaj?

— Tak. Rozchorował się za granicą i przyleciał tutaj, żeby się leczyć.

— To niebezpieczne dla niego zjawiać się tutaj. Ludzie obedną go ze skóry. Przeklinają go tysiąc razy na dzień. Po raz pierwszy, odkąd znam Frejdl, widziałem, jak płacze. Dla nas pięć tysięcy dolarów to nie byle co.

— Max nie jest złodziejem.

— W porządku, to czemu zwał? Trzeba nie mieć serca, żeby wyłudzać pieniądze od ofiar hitlerowskich.

Portier coś krzyknął. Z emanującej od niego złości i gestu wskazującego drzwi domyśliłem się, że chce, byśmy wyszli. Dałem znak Miszy, żeby poczekał, i ponownie podszedłem do portiera.

— Przepraszam — odezwałem się — ale pewna młoda dama wynajęła tu dla mnie wieczorem pokój. Ten chory mężczyzna jest naszym przyjacielem i chcieliśmy z nim zostać.

Portier wzruszył ramionami.

— Jak się nazywa ta młoda dama? Jak pana nazwisko?

— Młoda dama, niewysoka. Nazywa się Miriam Zalkind.

— Zalkind? Nie ma u nas nikogo o tym nazwisku — powiedział portier.

Misza Budnik podszedł do portiera.

— Proszę pana — powiedział — ten pan jest pisarzem. Nie przyszedł tutaj, żeby opowiadać kłamstwa.

— Chodzi pewnie o inny hotel. Proszę wyjść, bo będę musiał wezwać policję.

Wyszliśmy na dwór i usiłowałem za wszelką cenę przypomnieć sobie nazwisko, które wymienił Max, ale nie miałem bladego pojęcia, jak ono brzmiało.

— Trudno, jutro wszystko się wyjaśni — powiedział Misza. — Ta młoda dama zadzwoni do ciebie do domu albo do redakcji. A co z tą pomyłką w twojej powieści? Nie do końca rozumiem, o co chodzi.

Jeszcze raz wyjaśniłem problem, najprościej, jak tylko umiałem, a Misza powiedział:

— Jeśli chcesz, zawiozę cię do gazety.

— Tylko wtedy, gdy pozwolisz mi zapłacić jak normalnemu pasażerowi.

— Zwariowałeś? Wsiadaj!

Taksówka ruszyła. Zatrzymaliśmy się na East Broadway. Weszliśmy do środka. Okazało się, że drzwi do redakcji „Forwerts” stoją otworem. Mężczyzna obsługujący windę pamiętał mnie jeszcze z lat trzydziestych, kiedy to ślęczałem nad swoimi artykułami do późna w nocy, unikając spotkań ze stałymi współpracownikami, tymi, którzy otrzymywali pensje i należeli do związku zawodowego Perce Union. Wjechaliśmy z Miszą na dziewiąte piętro. Skład był otwarty, oświetlony jedną żarówką. Blacha z ostatnim odcin-

kiem mojej powieści widniała na pulpicie zecera, a nad nią leżał zbyteczny już arkusz z korektą. Usunąłem fragment zawierający błąd — na szczęście była to końcówka — i wyrzuciłem do kosza na śmieci. Skreśliłem ten ustęp na arkuszu z korektą, zanotowałem na marginesie, że został usunięty, i poprosiłem drukarza, aby czymś to wypełnił. Chwała Bogu, w jednej chwili to, co niemożliwe, stało się faktem dokonanym.

W drodze powrotnej poprosiłem Miszę, by w imię naszej wieloletniej przyjaźni zachował w tajemnicy przyjazd Maxa do Nowego Jorku. Po narzekaniach i dyskusji w końcu się zgodził. Misza Budnik był właściwie moim najstarszym przyjacielem. Znał mnie z czasów, kiedy nosiłem rude pejsy, aksamitny kapelusz i chałat. Jego żona, Frejdl (to za jej sprawą Misza został anarchista), miała ze mną sekretny romans. Oboje, Frejdl i Misza, wierzyli w wolną miłość i uznawali instytucję małżeństwa za przestarzałą i pełną obłudy. Frejdl nie zgodziła się na ślub przed rabinem. Wzięli ślub cywilny w Krakowie, i to tylko dlatego, że bez niego nie wpuszczono by ich do Ameryki. W swoich listach do mnie Frejdl podpisywała się swoim panińskim nazwiskiem, Frejdl Silberstein. Pod tym względem poszła nawet dalej niż znana powszechnie Emma Goldman.

W tym właśnie momencie przypomniałem sobie nazwisko, pod którym Max zameldował się w hotelu — Zygmunt Klein.

O dziewiątej rano zatelefonowałem do Zygmunta Kleina. Odebrała Miriam. Kiedy usłyszała mój głos, wykrzyknęła:

— To ty? Żyjesz? Miałam zamiar zawiadomić policję o twoim zniknięciu w środku nocy. Co się z tobą działo? — mówiąc to, wybuchnęła płaczem.

Próbowałem wytłumaczyć, co się stało, ale była zbyt wytrącona z równowagi, żeby pojąć niesamowite zdarzenia tej nocy.

— Już jadę! — wykrzyknąłem, a Miriam odłożyła słuchawkę. Poszedłem do hotelu nieumyty i nieogolony. Wjechałem windą na siódme piętro. Miriam, tylko w szlafroku i pantoflach, była blada i rozczochrana. Jej oczy zdradzały trwogę. Maxa rozpoznałem z trudem. Leżał w łóżku z głową wspartą na dwóch poduszkach. Broda mu posiwiiała. Kiedy wyciągnął do mnie chudą i pożółkłą dłoń, zauważyłem, że nie ma już sygnetu na wskazującym palcu.

Schyliłem się i pocałowałem go. Chwycił mnie za ramiona i ucałował.

— Powiniennem chyba odmówić *Pochwalonyś Ty, Wiekuisty, Wskrzeszający zmarłych* — zagadnął. — Oboje zaczęliśmy już wierzyć, że miałeś wypadek. Co się z tobą działo? Usiądź.

Opowiedziałem Maxowi o swojej pomyłce związanej z *Jizkor* i Rosz Haszana oraz o niespodziewanym spotkaniu z Miszą Budnikiem. Oczy Maxa wypełniły się śmiechem.

— *Nu*, teraz będziesz miał o czym pisać. Ze mną, drogi przyjacielu, jest nie najlepiej. Ale, dzięki Bogu, nie zamierzam jeszcze wyzionąć ducha. Wszystko, od samego początku, szło na opak, jakby jakiś cadyk albo czarodziej rzucił na mnie klątwę. Teraz wiem, dlaczego nie pojawiliście się z Miriam na przyjęciu u Chaima Joela Treibitchera, ale wtedy nie miałem pojęcia, co się mogło stać. Matyllda twierdziła, że po prostu uciekłeś i zostawiłeś mnie, żebym się denerwował. Oboje przyjechaliśmy do Warszawy chorzy. W Warszawie zapomnieli już, że Żydzi w ogóle istnieją. To cud, że przeżyłem tę operację. Później przyszli i powiedzieli, że potrzebna jest następna. Niedługo potem zmarła Matyllda. Nie chciałem zostać sam za granicą. Tutaj przynajmniej mam Miriam i ciebie. Doszła do mnie wieść o samobójstwie Herszele. Kiedy się o tym dowiedziałem, pomyślałem, że to już koniec.

— Wyleczą cię tutaj, Max, będziesz jeszcze silny jak wół — powiedziałem.

— Motylku, nie pozwól mu się poddać — zawołała Miriam. — Miliony ludzi cierpią na tę chorobę co on i wychodzą z niej zdrowi i silni!

— Może wyzdrowieję, a może nie. Nic nie trwa wiecznie. Arele, nie mogę tu zostać ani dnia dłużej. Leżę i rozmyślam o tych ludziach, których ograbiłem z ostatniego dolara, i odehciewa mi się żyć. Mam nadzieję, że nie powiedziałaś nikomu, gdzie jestem. Jeśli się dowiedzą, zlecą się tutaj jak szarańcza i spalą mnie żywcem. Wiem, że Prywa poruszyła niebo i ziemię, żeby mnie odnaleźć. Jak długo to wszystko może trwać?

— Max, wszystko się dobrze skończy, zobaczysz — powiedziałem. — Zdaje się, że zostałeś bez pieniędzy. Mam trochę, niewiele, ale to lepsze niż nic.

— A ty skąd masz pieniądze? — spytał Max. — Obrabowałeś bank?

— Mam cztery tysiące dolarów.

— Jestem winien ćwierć miliona, nie cztery tysiące dolarów — odrzekł Max.

— Nie ofiarowuje ci tych pieniędzy na pokrycie długów, tylko na lekarza i szpital.

— I co ty na to, Miriam? — zapytał Max. — Przez noc zrobił się z niego filantrop, gotów oddać swój ostatni grosz.

— Miriam jest w łazience — powiedziałem.

— Dlaczego chcesz mi dać te grosze, które udało ci się uciuć? — spytał. — Czyżbyś spodziewał się, że przyślę ci czek z tamtego świata?

— Niczego się nie spodziewam. Chcę, żebyś wrócił do zdrowia, i tyle.

— *Nu*, warto było wrócić, żeby usłyszeć takie słowa — powiedział Max. — Jak brzmiało to powiedzenie? „Jeżeli musisz, sprzedaj swoje spodnie, ale przyjaciół zawsze traktuj godnie”. Nie wezmę twoich pieniędzy. Teraz muszę tylko znaleźć lekarza i szpital — nie tutaj, w Nowym Jorku, ale gdzieś daleko stąd, może w Kalifornii. W moim obecnym stanie nie zniósłbym nikogo poza tobą i Miriam.

Miriam wyszła z łazienki.

— Chciałam się uczesać, ale nie mogę znaleźć mojego grzebienia.

— Leży u mnie w łóżku. Coś uwierało mnie w bok i okazało się, że to twój grzebień. — Max wyjął go spod poduszki. Miriam wyrwała mu grzebień z ręki i wróciła do łazienki. Max powiódł za nią oczyma.

— Ona też jest ofiarą — powiedział. — Przez te wszystkie lata robiłem właściwie jedno — szukałem ofiar, żeby ściągnąć potem na ich głowy nieszczęście. Ale ty, Aronie, uciekaj, póki jest jeszcze czas! Musisz ciągnąć dalej swoją robotę, a nie wlec za sobą starca, który lada chwila wyzionie ducha. Mówię to jako twój przyjaciel, nie wróg.

— Niepotrzebna ci już moja przyjaźń, co?

— Potrzebna, potrzebna, jesteś drogi mojemu sercu, ale właśnie dlatego błagam cię na wszystko co święte, żebyś uciekał ode mnie jak od zarazy.

Rozdział dziewiąty

Ostatecznie Jakub Dinkin, lekarz Maxa z czasów warszawskiej młodości, oraz Irving Saphir, urolog, obaj mieszkający obecnie w Nowym Jorku, zdecydowali, że Max, nim zostanie poddany drugiej operacji, musi nabrać sił. Miał nie tylko chorą prostatę, ale również niewydolność nerek; pokazały się też pierwsze objawy uremii.

Przepisali mu więc antybiotyki oraz wyciąg z wątroby przeciwko anemii. Misza Budnik obiecał dotrzymać tajemnicy, a trudno mi było uwierzyć, by mógł złamać słowo. Pogłoski o powrocie Maxa rozpuścił więc prawdopodobnie sąsiad Miriam, ten sam, który doniósł Morycowi Zalkindowi, że spędziłem z jego córką noc.

Skandal, którego Max tak się obawiał, nie wybuchł. Kiedy uchodźcy dowiedzieli się, że Max Aberdam jest poważnie chory i ponownie musi poddać się operacji, przestali kołatać do drzwi Prywy, telefonować do niej i odgrażać się. Ponadto zaledwie dzień przed tym, nim rozeszła się wiadomość, że Max jest w Nowym Jorku, Prywa wsiadła na mały żydowski statek, który płynął do Izraela. Podróż miała trwać prawie miesiąc, z postojami w Marsylii i Neapolu. Max zdradził mi, że Prywa zgromadziła spore oszczędności — składały się na nie pieniądze, które dostała od niego, oraz jednorazowe odszkodowanie przyznane jej przez Niemców.

Prywa od trzech miesięcy zalegała z czynszem za mieszkanie przy Riverside Drive i właściciele wnieśli o eksmisję. Obaj lekarze, Dinkin i Saphir, byli zdania, że Maxowi dobrze by zrobiło spędzenie kilku tygodni na wsi, z dala od skwaru Nowego Jorku. Miriam zadepeszowała do swojego ojca do Rzymu, prosząc o pożyczkę, ale Moryc Zalkind odpowiedział, że tak długo, dopóki będzie związana z tym szarlatanem, Maxem Aberdamem, nie da jej ani centa. Max, choć bez grosza, uparcie nie chciał przyjąć ode mnie żadnych pieniędzy, ale udało mi się go namówić, by wziął trzy tysiące dolarów w formie pożyczki. Nie wystarczało to jednak na pokrycie kosztów operacji i pobytu w jakimś hoteliku na wsi. Wówczas jednak zdarzyło się

coś, co Miriam uznała za cud. Lynn Stallner postanowiła wybrać się ze swoją przyjaciółką Sylwią do Meksyku. Poprosiła Miriam, by pod jej nieobecność zajęła się małym Didi. Lynn miała w okolicach Lake George letniskowy domek, w szwajcarskim stylu, ze spadzistym dachem i balkonem. Zaproponowała, żeby Miriam pojechała tam z Didi. Lynn i Miriam zawsze sobie ufały i kiedy Miriam spytała, czy może z sobą zabrać Maxa i mnie, Lynn odparła: „Możesz zabrać, kogo chcesz”.

Wszystko potoczyło się szybko. Lynn Stallner знаła już Maxa. Okazało się, że czytała też moją powieść, która ukazała się niedawno po angielsku. Dom miał wszelkie możliwe wygody, a u brzegu jeziora była przycumowana niewielka motorówka. Łodzi i całego terenu pilnował stróż. Dwa dni później Lynn wręczyła Miriam czeki — jeden na pokrycie wydatków jej i dziecka oraz drugi, który stanowił jej wynagrodzenie. Lynn załadowała na swoją furgonetkę wszelkie rzeczy, które mogły być potrzebne chłopcu w najbliższych tygodniach, oraz jego zabawki i wózek spacerowy. Miriam opiekowała się synkiem Lynn od czasu, gdy skończył cztery tygodnie, i nawet lepiej znała jego rozmaite potrzeby niż matka. Didi, teraz już czternastomiesięczny, zaczynał mówić. Raczkował i potrafił stawać na nóżkach. Nazywał swoją matkę mamą, a Miriam, nie wiadomo dlaczego, Naną. Zaczął też rozpoznawać mnie i lubił, gdy brałem go na barana. Chłopcem opiekowało się dwóch pediatrów: jeden w Brooklynie, drugi w Lake George. Lynn zapowiedziała, że będzie dzwonić z Meksyku co drugi dzień. W domu w Lake George był garaż oraz samochód, którym Miriam mogła do woli rozporządzać.

Tego ranka Max, Miriam i ja spotkaliśmy się z Lynn i jej synkiem w holu hotelu Empire. Usiadłem wraz z Miriam i Didi na tylnym siedzeniu, Max natomiast zajął miejsce obok Lynn Stallner, która prowadziła. Właściwie nie mieliśmy dotąd okazji rozmawiać z Maxem i Miriam po angielsku. Teraz słuchałem, jak Max rozmawia z Lynn w tym języku z silnym polsko-żydowskim akcentem, ale operując jednocześnie bogatym słownictwem. Pomimo choroby wesoło z nią flirtował, żartując i prawiąc jej komplementy, a Lynn odwzajemniała mu się tym samym.

Podczas naszej sześciogodzinnej drogi do Lake George zdumiała mnie wszechstronność zainteresowań Lynn i precyzja jej języka. Polscy Żydzi powszechnie uważali, że rodowitym Amerykanom brak gruntownego wykształcenia i że opuszczają oni wyższe uczelnie niemal jako analfabeci. Ta młoda kobieta z grzywą rudych loków i twarzą nakrapianą piegami wie-

działała bardzo dużo o akcjach, papierach wartościowych, bankach, ubezpieczeniu, nieruchomościach, polityce. Wymieniała nazwiska gubernatorów, senatorów, kongresmenów, których znała osobiście. Wykazała się znajomością spraw żydowskich, wiedziała wszystko o nowo powstałym państwie żydowskim, jego konflikcie z narodami arabskimi, partiach politycznych i ich programach.

Zerkając przez ramię, rozmawiała ze mną o literaturze, wymieniając pisarzy i krytyków, których nazwisk nigdy nie słyszałem. Zdumiał mnie też wygłoszony przez nią sąd o mojej własnej książce. „Gdzie i kiedy ona się tego wszystkiego nauczyła?” — zapytywałem w duchu. Od czasu do czasu Max odwracał się i rzucał mi spojrzenie, które zdawało się pytać: „No i co ty na to?”.

— Pani Stallner, pani powinna być profesorem — doszedł mnie głos Maxa.

— Prawdę mówiąc, wykladałam już na uniwersytecie — odrzekła. — Nie jako profesor tytularny, ale kontraktowy, czyli, jak wy to w Europie nazywacie, docent.

— Czego pani uczyła?

— Ekonomii politycznej.

— Naprawdę?

— Tak, naprawdę. To jest Ameryka. Tutaj kobieta nie musi spędzać życia na obieraniu kartofli i zmywaniu garów, choć ja sama często obieram ziemniaki i zmywam gary i wiem, że dobrze zorganizowana osoba może znaleźć czas na wszystko.

Prowadziła samochód z niesamowitą prędkością, często tylko z jedną ręką na kierownicy i z papierosem w ustach. Kiedy papieros gasł, dawała znak Maxowi, by podał jej zapalniczkę. Dym wypuszczała nie ustami, ale przez nos. Zostałem wychowany na starodawnych poglądach Schopenhauera, Nietzschego i Otto Weininger, wedle których kobiety nie mają zmysłu czasu ani logiki i kierują się wyłącznie emocjami. Ale Lynn Stallner podejmowała decyzje w ułamku sekundy, a wszystkiemu, co robiła i mówiła, towarzyszyła niezachwiana pewność.

Przybyliśmy do Lake George o przewidzianym przez Lynn Stallner czasie. Nazywała swój dom domkiem letniskowym, ale na mnie zrobił on wrażenie pałacu. Na parterze było pięć czy sześć pokoi i tyleż samo sypialni na piętrze. Kuchnię wyposażono w nowoczesne urządzenia elektryczne. Lynn

objaśniła wszystkie szczegóły związane z prowadzeniem gospodarstwa i pokazała Miriam, jak działają poszczególne urządzenia.

Max zapalił cygaro, ale Lynn surowo zastrzegła, aby nigdy nie palił cygar w domu. Można to było robić w ogrodzie, gdzie wisiał hamak i stały leżaki. Okazało się również, że Lynn zna jidysz. Rozmawiała po żydowsku ze swoją babką, jeszcze nim nauczyła się angielskiego. Max zauważył:

— Jest pani naprawdę *Isza chajl*. Wie pani, co to znaczy?

— Owszem, dzielna niewiasta — odrzekła Lynn.

— Brak pani tylko mężczyzny, który siedziałby u bram i sławił panią przed starszyzną miasta.

— Miałam już takiego, to był ojciec Didi — odrzekła Lynn. — I nic z tego nie wynikło — zupełnie nic!

Kiedy Lynn zrobiła, co należy, zaczęła zbierać się do wyjazdu. Objęła i ucałowała Miriam, a potem Maxa. Obróciła się z tym samym zamiarem w moją stronę, ale z jakiegoś powodu zrobiłem unik.

— Wciąż jeszcze chłopiec z jesziwy! — powiedziała i podała mi drobną, mocną dłoń. Siadła za kółkiem i samochód natychmiast ruszył. Max wyjął z ust cygaro.

— Tylko w Ameryce — powiedział.

Tego wieczora Max rozmawiał z nami otwarcie. Czasowo — przynajmniej nim następną operacją tego nie odmieni — utracił swoją męskość. Lekarze w Polsce, ci łajdacy, omal go nie wykastrowali. On jednak nie ma ochoty odgrywać roli zazdrosnego eunucha. Przeciwnie, chce, byśmy cieszyli się sobą nawzajem. On, Max, będzie szczęśliwy, mogąc pozostać naszym bliskim przyjacielem. Powtarzał w kółko, że jest stary — tak stary, że mógłby być moim ojcem, a dziadkiem Miriam. Miriam odparła jednak:

— Maxełe, nie jesteś moim dziadkiem, jesteś moim mężem. Będę cię kochała i zostanę z tobą, póki żyję.

— Chciałaś powiedzieć, póki ja żyję — poprawił ją Max.

— Nie, póki ja żyję.

— Max, przyjechaliśmy tutaj, żeby się tobą opiekować, a nie oddawać się jakimś orgiom — powiedziałem, zdziwiony własnymi słowami. — Twoje zdrowie jest najważniejsze.

— Co *szmita* ma wspólnego z górą Synaj? — spytał Max, cytując ustęp z Gemary. — Co ma piernik do wiatraka? Przyjechaliśmy tutaj, żeby przyjemnie spędzić czas, a nie recytować psalmy. Jeśli wy z Miriam jesteście szczęśliwi, ja też jestem szczęśliwy. Nie jestem bożkiem, dla którego mieliście złożyć siebie w ofierze. Prawda jest taka, że przewidziałem to wszystko i dlatego właśnie przyjechałem tu z wami obojgiem. Leżałem w tym szpitalu w Warszawie, prawie w agonii, pośród pijaków, degeneratów i szaleńców, i tylko jedna myśl była mi pociechą: że wy dwoje jesteście w Ameryce i kochacie się. Moje własne córki zginęły, więc teraz wy jesteście moimi dziećmi.

— Maxełe, jestem twoją żoną, a nie córką. Skoro Prywa wyjechała do Izraela, a ty chorujesz, moje miejsce jest przy tobie. Czy wyrażam się jasno?

— Dobrze, dobrze, nagle zrobiłaś się święta, druga Sara, córka Tuwima — powiedział Max. — Naczytałaś się pewnie o niej w jakiejś polskiej powieści i teraz chcesz ją małpować i robić z siebie bohaterkę. To bzdura, zbliżam się do schyłku żywota, podczas gdy ty swój dopiero zaczynasz. Mam dla ciebie radę: rozwiedź się z tym Stanleyem i wyjdź za Arona. Stanowicie dobraną parę, nie ma co, kłamczucha i nieudacznik. — Max zachichotał z własnego dowcipu. Poczulem, że twarz mi czerwienieje. Miriam rzuciła mi przelotne spojrzenie.

— Zostałeś swatem, Max?

Miriam podeszła do mnie.

— Będziemy spać z Maxem w sypialni Lynn, tam gdzie wstawiłam łóżeczko małego.

— Dobrze, Miriam, dzięki. — Objąłem ją ramionami. Pocałowała mnie w usta i ociągała się przez chwilę. Twarz miała bladą.

— Kocham was obu, ale zdrowie Maxa jest teraz najważniejsze.

— Tak, masz rację.

W samochodzie czułem się tak zmęczony, że oczy same mi się zamykały. Ale teraz senność mnie opuściła, „Tak, jesteśmy aktorami — powiedziałem do siebie — trupą purimowych komediantów. Kto wie — przebiegła mi przez głowę myśl — sam Bóg, jeśli istnieje, też może jest aktorem”. Przy-

pomnił mi się wers Psalmu: „Śmieje się ten, który mieszka w niebie” i pomyślałem, że Bóg siedzi w niebie i śmieje się ze swojej własnej komedii.

Przespałem kilka godzin, a gdy się obudziłem, mój zegarek wskazywał za dwadzieścia drugą. Jak to często ze mną bywało, nie od razu byłem w stanie przypomnieć sobie, gdzie jestem. Usiadłem na łóżku, po czym natychmiast znów przyłożyłem głowę do poduszki. Max początkowo odmówił przyjęcia ode mnie pożyczki, ale ja z jakiegoś powodu upierałem się i nie chciałem ustąpić, więc w końcu się zgodził. Tych cztery tysiące dolarów było dla mnie zawsze źródłem pociechy. Wiedziałem, że niezależnie od tego, co stanie się z gazetą, przynajmniej przez rok będę miał zapewniony byt. Popadałem w konflikty z naczelnym. W swoich artykułach często pokpiwałem z jego nawoływań o zjednoczenie proletariatu w walce o lepszy świat. Jeden z redaktorów witał mnie co rano wiadomością, że poprzedniego wieczora musiał stawać w mojej obronie — co znaczyło, że inni mnie atakowali. Świadomość, że przynajmniej przez rok będę miał z czego pokrywać swoje wydatki, napawała mnie otuchą. Czegóż jeszcze mógłbyś chcieć? Książki, dzięki Bogu, w bibliotekach można było dostać za darmo. Moje przyjaciółki nie żądały ode mnie żadnych luksusów. Nie domagały się chodzenia do teatrów ani do kin. Miałem też świadomość, że Stefa i Leon pragnęli, abym zamieszkał w ich domu, gdzie czekał na mnie pokój.

I nagle trzy czwarte wszystkiego, co posiadałem, oddałem bez zastanowienia rozrzutnikowi, rozpustnikowi, człowiekowi, który był na dodatek bankrutem. Związałem się z kobietą, która w wieku dwudziestu siedmiu lat miała już za sobą wszelkie możliwe przygody. Pomimo całego oddania, z jakim traktowała Maxa, byłem świadomy, że to ze mną, a nie z nim wiązała swoje plany. Przyznała się, że marzy, by mieć ze mną dziecko, a przy tym nawet jej ojciec pragnął mnie za zięcia. Ale w głębi ducha wątpiłem, czy byłbym w stanie dać Miriam swoje nazwisko. Tkwiła wciąż we mnie staromodna męska pycha, która nakazywała odróżniać kochankę od żony, a przelotny romans od małżeństwa.

Tej nocy, leżąc w domu Lynn Stallner, usiłowałem dokonać osobistego rozrachunku, a jednocześnie sporządzić coś w rodzaju bilansu literackiego. W jaki, na przykład, sposób mógłbym opisać tę obecną historię? Co bym powiedział, gdyby przyszedł do mnie po poradę czytelnik — człowiek w moim wieku, znajdujący się w mniej więcej takiej samej sytuacji? Z reguły wydawałem sądy niczym wyrocznia, nawet nie wysłuchawszy zwierzeń do końca. Byłem przy tym przekonany, że potrafię odczytać cudze myśli ze

spojrzenia, barwy głosu, brzmienia słów. Przeczytawszy *Śmierć Iwana Iljicza*, na nowo zachwyciłem się tym opowiadaniem Tolstoja i spytałem samego siebie, co by było, gdyby pojawił się u mnie Iwan Iljicz z krwi i kości. Czy miałbym dość cierpliwości, żeby go wysłuchać? Nie. Dzieła literackie sprawiają nam przyjemność, ponieważ nie wymagają od nas odpowiedzialności. Możemy otworzyć lub zamknąć książkę, kiedy tylko chcemy. Nie żąda się od nas, byśmy przynieśli pociechę cierpiącemu lub podali mu rękę. Jak wiele ofiar hitlerowskich przychodziło do naszej redakcji, ofiar, których historii nie chcieliśmy nawet wysłuchać? W ostatnich latach naczelny niemal zaprzestał druku wspomnień tych, którzy przeżyli Treblinkę, Majdanek, Stutthof i inne obozy. Słyszałem, jak tłumaczył ich autorom: „Nie drukujemy już takich rzeczy. Nasi czytelnicy nie chcą ich czytać...”. Czytelnik woli cierpienie anonimowe, skrojone w taki sposób, by dostarczyło mu zarazem pewnej dozy rozrywki. Zapadłem w sen, po czym znów się obudziłem. Nie mogłem już dłużej spać i powoli moje myśli wracały do rzeczywistości. Co teraz robi Miriam? Czy śpi? A Max — czy naprawdę jest impotentem? Czyżby chirurgia mogła zniweczyć odwieczny związek między kobietą i mężczyzną? Nie, ponieważ istniał on również w tak zwanych przedmiotach martwych. Wierzyłem, że Bóg jest powieściopisarzem, który pisze to, co Mu się podoba, cały świat zaś musi Go czytać, usiłując pojąć, o co Mu chodzi.

Następny dzień, choć słoneczny, nie był upalny. Jedliśmy z Maxem i Miriam śniadanie, podczas gdy Didi szybko nabierał biegłości w sztuce chodzenia. Wędrował od krzesła do krzesła, rzucając nam co pewien czas spojrzenie, które mówiło: „Patrzcie, co potrafię! Patrzcie, jaki jestem mądry!”. Od czasu do czasu wybuchał płaczem, a wówczas Miriam brała go na ręce, całowała i pocieszała:

— Sza, Didi, sza, najdroższy. Niedługo będziesz już wszystko umiał. Któregoś dnia staniesz się dużym chłopcem, będziesz grał w piłkę i w minutę przebiegał milę.

Max posadził sobie chłopca na kolana i huśtał go, podnosząc w górę i w dół. Przemawiał do malca po żydowsku, angielsku i po polsku.

— Ciesz się — tłumaczył mu — że urodziłeś się w kraju Wuja Sama, a nie w Rosji. Nazywaliby cię tam kosmopolitą, sabotażystą, szowinistą, a do twojego paszportu wpisałiby słowo *jewriej*.

Didi złapał Maxa za brodę i próbował włożyć ją sobie do ust, by sprawdzić, jak smakuje.

Miriam, usłyszawszy, co mówi Max, zaśmiała się.

— Czas na spacer — zaordynowała.

Wsadziła chłopca do wózka i wyszliśmy. Wybraliśmy się na długi spacer wokół jeziora. Inni spacerowicze, przeważnie starsze małżeństwa, uchodźcy z Niemiec, podążali za nami wzrokiem. Mężczyźni przyglądali się nam z dezaprobatą. Rozmawialiśmy w jidysz, a ten język wschodnioeuropejskich Żydów nie należał tutaj, w Górach Adirondack, do dobrego tonu. To był język hoteli w Catskill. Z niesmakiem spoglądano na egzemplarz „Forwerts”, który Miriam włożyła do wózka. Ci niemieccy Żydzi wierzyli w asymilację — ich zdaniem, żydowska mniejszość powinna mieszać się z większością, a nie obarczać się problemami wschodnioeuropejskiej diaspory. Z kieszeni ich marynarek wystawały egzemplarze „Aufbau”.

— Czego oni się tak gapią, ci *Jekesi*? — zagadał Max. — Na co im się zdała w Niemczech ta ich asymilacja?

Dla Niemców pozostali tym, kim byli, Żydami, choć te resztki żydostwa, które w nich pozostały, ograniczały się do wizyty w synagodze w Rosz Haszana i Jom Kipur, i wysłuchania rabinackich nauk. A czym, skoro już o tym mowa, była tak naprawdę żydowska tożsamość Maxa, Miriam czy moja? Wszyscy oderwaliśmy się od swoich korzeni. Byliśmy ludźmi, których Kabała nazywa „nagimi duszami”, pozostałościami po duchowej zagładzie. Współcześni ekschrześcijanie nie różnili się zbytnio od współczesnych Żydów.

Po spacerze razem z Maxem pomagaliśmy Miriam przygotować lunch. Pomiedzy lunchem i kolacją Max ucinał sobie drzemkę, Miriam pracowała nad swoją dysertacją, ja zaś pisałem dla „Forwerts” i poprawiałem rozdziały mojej powieści. W pewnej chwili dobiegł mnie głos Miriam:

— Chciałabym, żeby to lato nie skończyło się nigdy, i żebyśmy mogli zostać tutaj na zawsze.

Co drugi dzień, pomiędzy ósmą i dziewiątą wieczorem, dzwoniła z Meksyku Lynn. Rozmowa zawsze przebiegała w ten sam sposób: Miriam donosiła, że Didi ma się dobrze, a pogoda jest ładna. Lynn z kolei wygłaszała peany na temat Meksyku, cudownego morza, gór, azteckich relikwów i surowej natury Meksykanów. Kupiła haftowany szal dla Miriam i cygarniczkę dla Maxa. Spytała, czy może porozmawiać ze mną, i opowiedziała mi o nowo

poznanym profesorze, który przemierzał Amerykę Środkową w poszukiwaniu śladów maranów, Żydów, którzy dawno temu uciekli przed hiszpańską inkwizycją. W stolicy Meksyku natknęła się na Żydów z Polski, którzy wydawali tam żydowskie pismo.

Max codziennie nas zapewniał, że czuje się dobrze, coraz lepiej. Ale Miriam powiedziała mi, że Max źle sypia nocami i ma krew w moczu. Tego wieczora Lynn nie zadzwoniła i wszyscy zastanawialiśmy się, co też mogło się jej przydarzyć. Około jedenastej, kiedy życzyłem już Miriam i Maxowi dobrej nocy, zadzwieczył telefon. Miriam podniosła słuchawkę.

— Kto mówi? — zapytała. — Z Maxem Aberdamem? A kto przy telefonie?

Ktokolwiek dzwonił, nie miałem ochoty być natrętem i wolno udałem się schodami do swojej sypialni. Słyszałem, jak Max rozmawia przez telefon. Czyżby tajemnica wyszła na jaw? Kto do niego dzwonił? Wkrótce usłyszałem odgłos ciężkich kroków na schodach. Drzwi otworzyły się i w progu stanął Max. Oddychał z wysiłkiem, patrząc na mnie swoimi dużymi, czarnymi oczyma.

— Aronie, zdarzył się cud, po prostu cud!

— Co się stało? — spytałem. W gardle tak mi zaschło, że z trudem mogłem mówić.

— Lecę do Izraela. Chaim Joel Treibitcher znalazł dla mnie lekarza. — Max zachwiał się. Wskoczyłem z łóżka i pomogłem mu usiąść na krześle. Wsparł się na mnie tak mocno, że omal nie upadłem.

— Kto to dzwonił? Skąd wiedzieli, że tutaj jesteś?

— To była Cłuwa, służąca Prywy. Przedstawiłem ci ją tamtego dnia, kiedy złożyłeś nam wizytę, pamiętasz?

— Tak, pamiętam.

— Z Tel Awiwu nadeszła długa depesza od Chaima Joela Treibitchera. Spotkał lekarza, z którym znałem się w Warszawie. Jest teraz znanym urologiem w Izraelu. Chaim Joel zaoferował, że pokryje wszystkie wydatki związane z moją podróżą do Izraela. Będę ci mógł zwrócić pieniądze. Zaczynam wierzyć, że gdzieś tam jest Bóg, który nie chce jeszcze, żebym odszedł z tego świata. Prywa, jak wiesz, płynie teraz do Ziemi Świętej. Zdaje się, że ja zjawię się tam, jeszcze zanim przybije jej statek.

— Skąd Cłuwa wiedziała, że jesteś tutaj? — zapytałem i mój własny głos wydał mi się obcy.

— To długa historia. Kiedy Cłuwa otrzymała depezę, zdała sobie sprawę, że muszę być w Ameryce, a nie w Szwajcarii. Miriam zostawiła numer telefonu do Lake George u swojego dozorca i kiedy Cłuwa poszukiwała mnie u Miriam, ten podał jej numer.

Max, mówiąc, dygotał.

— Może jest mi przeznaczone, że zostanę pogrzebany w Ziemi Świętej — wyrwało mu się.

— Nikt nie ma cię jeszcze zamiaru grzebać, Max. Przeżyjesz i będziesz zdrow — odrzekłem.

— Miriam jest strasznie podniecona. Chce lecieć ze mną do Izraela, ale niby jak? Jest uwiązana przy dziecku. Chcę lecieć jak najszybciej, kiedy tylko będzie to możliwe. Pogorszyło mi się tutaj, zamiast polepszyć. Gdybyś miał ochotę mi towarzyszyć, zabiorę cię z sobą, na koszt naszego dobroczyńcy.

— Nie mam paszportu. Trzeba też mieć wizę — zauważyłem.

— Nie martw się o to. Ja w tej chwili mam tylko dokument tymczasowy.

— Z tymczasowym dokumentem można wyjechać z kraju i potem wrócić. Musisz tylko uzyskać zgodę Biura Emigracyjnego. A co się stało z twoim polskim paszportem?

— Mam przedłużony.

Drzwi otworzyły się z nagłą i Miriam zawołała:

— To cud, Motylku, prawdziwy cud! Wahałam się, czy zostawić dozorca numer telefonu. Zdecydowałam się w ostatniej chwili. Nigdy nie zrozumieć, jak Cłuwa wpadła na pomysł, by szukać u mnie Maxa, i dlaczego John dał jej numer telefonu. Chcę pojechać z Maxem, nie mogę zostawić go w tym stanie. Ale co zrobić z małym Didi? Lynn, jak na złość, dziś wieczór nie zadzwoniła, a mam wrażenie, że Didi nie jest całkiem zdrow. Ma gorące czoło. Lynn zostawiła termometr, ale gdzieś go wsadziłam i nie mogę znaleźć. Chyba oszaleję!

Miriam wybuchnęła płaczem. Podniosłem się z krawędzi łóżka, na którym siedziałem. Miriam rzuciła się w moje objęcia, twarz miała gorącą, mokrą od łez.

— Miriam, nie histeryzuj — odezwał się Max. — Wszystko się ułoży. A gdyby nawet, świat się nie zawali. Czy Lynn zostawiła ci swój numer telefonu do Meksyku?

Miriam wyrwała się z moich objęć.

— Straciłeś rozum czy co? Jestem zmęczona. Już nie mogę. Jedź sobie do tej Palestyny. Takie jak ja są nawet w Jerozolimie. Mężczyźni nie są mi już do niczego potrzebni. Jestem nimi wszystkimi zmęczona. Budzą we mnie odrazę. Położę się gdzieś i będę czekać, aż przyjdzie Anioł Śmierci. Została mi jeszcze ta jedna jedyna przyjaciółka — Śmierć!

Miriam wybiegła, trzaskając drzwiami. W tej samej chwili zadzwieczał telefon.

— Odbierz, Aronie — poprosił Max. — Nie mogę się podnieść.

Chwyciłem słuchawkę.

— Pani Stallner?

Odezwał się młody głos z hiszpańskim akcentem:

— Tu Mexico City. Będzie mówić panna Sylvia. Czy przyjmie pan rozmowę na swój koszt?

— Tak, tak, oczywiście!

Usłyszałem nieznany kobiecy głos, ochrypliwy i zgrzytliwy.

— Pan Greidinger? Mówi Sylvia, przyjaciółka Lynn. Proszę wybaczyć, że dzwonię o tej porze. Mam złe wieści, niestety. Lynn miała wypadek. Jest w szpitalu.

— Wypadek? Co się stało?

— Prowadziła samochód i wjechała na nią jakiś pijany. Nie było mnie przy tym, Lynn jechała do fryzjera. Ma złamaną rękę i jest trochę poturbowana. Czy mogłabym rozmawiać z Miriam Zalkind?

— Chwileczkę.

Odłożyłem słuchawkę na nocny stolik. Nagle otworzyły się drzwi i wpadła Miriam.

— Kto to, Lynn?

— Miriam, nie denerwuj się, ale Lynn miała wypadek samochodowy.

Miriam stanęła na środku pokoju jak wryta.

— Wiedziałam. Cały czas wiedziałam — powiedziała cicho.

Wyszedłem do łazienki i przysiadłem na klapie od sedesu. Jakie to dziwne, pomyślałem, że pomyślna wieść o znalezieniu lekarza dla Maxa i o jego wyjeździe do Izraela tak wzburzyła Miriam, zła natomiast, o wypadku samochodowym Lynn, została przez nią odebrana ze spokojem. Jedno było pewne: Miriam nie będzie mogła polecić z Maxem do Izraela.

Wstałem i chcąc wyczyścić zęby otworzyłem apteczkę. Na środkowej półce leżał termometr. Zabrałem go. Miriam skończyła już rozmawiać przez telefon. Siedziała na krawędzi mojego łóżka i dyskutowała z Maxem.

— Zabierz tylko letnie garnitury i płaszcz przeciwdeszczowy.

— Miriam, znalazłem termometr w apteczce.

Miriam skinęła głową.

— Przyda mi się później. Teraz niech sobie śpi, słodkie maleństwo.

Rozdział dziesiąty

Wszystko było już za nami — pakowanie walizek Maxa, jazda autobusem z Lake George do Nowego Jorku, starania o szybkie uzyskanie zgody na wyjazd ze Stanów Zjednoczonych i powrót do kraju. Miriam została z dzieckiem, my obaj z Maxem pojechaliśmy zaś autobusem do Nowego Jorku. Zatrzymaliśmy się w mieszkaniu Maxa. Ci sami ludzie, którzy pobili Prywę i ukradli jej biżuterię, telefonowali teraz do Maxa i żegnali się z nim, życząc szybkiego powrotu do zdrowia. Chaim Joel Treibitcher w depeszy do Maxa obwieścił mu swój zamiar wyrównania strat poniesionych przez ofiary oszustw Harry'ego i wieść o tym szybko się rozniosła. Szlachetność i wspaniałomyślność tego prawego człowieka nie mogły nie robić wrażenia.

W czasie tych dni spędzonych wspólnie w Nowym Jorku zaprzyjaźniliśmy się z Cłwą na tyle, że przeszliśmy na ty. W Warszawie Cłwa kierowała sklepem z artykułami bieliznianymi, należącym do pewnego starszego, schorowanego i bezdzietnego małżeństwa. Ludzie ci całkowicie powierzyli jej prowadzenie swoich interesów, a po ich śmierci miała po nich dziedziczyć. Cłwa opowiedziała mi oczywiście historię swojego życia. Urodziła się w małym miasteczku w okolicach Lublina i wczesnie została osierocona. Nauczyła się szyć i haftować. Pracowała dla pewnej gorseciarki i stała się specjalistką w dopasowywaniu bielizny dla kobiet o szczególnie dużych bądź małych biustach oraz dla tych, które poddały się operacji piersi. „Alte”, jak Cłwa tytułowała swą chlebodawczynię, cierpiała na różne przypadłości zdrowotne i często wyjeżdżała do zagranicznych kurortów lub do swojej willi w Otwocku. Cłwa trzymała pieczę zarówno nad wszelkimi sprawami związanymi z dużym mieszkaniem swych pracodawców, jak i ich interesami. Przyjeżdżały do niej klientki ze wszystkich zakątków Polski, a ona opatrywała je we wszystko, czego sobie zażyczyły. W czasie wojny trafiła do obozu koncentracyjnego; później, już w obozie dla dipisów w Niemczech, uzyskała wizę wjazdową do Ameryki. Jej przyjaźń z Prywą zaczęła się jeszcze w czasach warszawskich. Prywa zaangażowała się w sprawy okultyzmu

i kilka razy była naocznym świadkiem seansów słynnego polskiego medium, Kluskiego. Kiedy Prywa zgasiła światło i Cłuwa położyła ręce na stoliczku, stoliczek uniósł się na dwóch nogach i udzielał prawidłowych odpowiedzi na wszystkie zadane pytania. Cłuwa stała się ekspertem w dziedzinie spirytyzmu. Przekonywała mnie, że na długo przedtem, nim przyszła depesza od Chaima Joela Treibitchera, powiadamiająca o znalezieniu nowego lekarza dla Maxa, wszystko to wyśniła. Twierdziła też, że widziała we śnie Maxa i Miriam w domu nad jeziorem. Kiedy poprosiła, bym pokazał jej prawą dłoń, żeby mogła odczytać z niej moją przyszłość, powiedziała:

- Płoną w tobie potężne ognie.
- Boskie czy piekielne? — spytał Max.
- I jedno, i drugie — odrzekła Cłuwa.

Max często wyśmiewał się z Cłuwy, pokpiwał z jej widzeń i snów i oskarżał ją o to, że sama podnosi stół za pomocą stóp, oszukując siebie i innych. „Jak to jest, że wszystkie te twoje duchy nie obroniły cię przed nazistami?” — drwił. A jednak trudno było nie zauważyć, jak bardzo są sobie bliscy. Cłuwa zawsze mówiła Maxowi, co może jeść, a czego nie powinien. Kiedy zapalał cygaro, dosłownie wyrывała mu je z ust. Wprawna ręką żony spakowała mu ubrania, bieliznę i lekarstwa. Sama paliła trzy paczki papierosów dziennie i podsłuchałem kiedyś, jak Max ją ostrzegał:

— To samobójstwo, Cłuwa. Możesz przenieść się na tamten świat dużo wcześniej niż ja.

— A więc przygotuję dla ciebie przyjęcie.

— Jakie przyjęcie? — spytał Max nie bez zdziwienia, a ona wyjaśniła:

— Posadzę cię na złotym krześle, a za podnózek dam ci tę kokotę, Miriam Zalkind.

Dzień przed wyjazdem Maxa, kiedy Cłuwa wyszła kupić rzeczy, które mogłyby mu być potrzebne w czasie podróży — piżamy, skarpety, gruszkę do lewatywy, nożyczki do paznokci, pigułki przeciw obstrukcji i inne niezbędne różności — Max wyjawiał mi swój sekret (który zresztą bez trudu odgadłem): że kiedyś żył z Cłuwa. Wiedział, że ta młoda kobieta o białych zębach Cyganichy i skośnych tatarskich oczach okłamywała swoich pracodawców w Warszawie i swą panią w Nowym Jorku.

— Nic na to nie poradzę — wyznał. — Jestem urodzonym świntuchem. Dostałeś po mnie w spadku Miriam, możesz dostać też Cłuwę. Należysz do

tego samego gatunku, co ja. Z tą różnicą, że ja, mój przyjacielu, nadaję się już tylko na złom.

— Wkrótce wyzdrowiejesz i będziesz mógł sobie jeszcze trochę poświn-tuszyć — odparłem.

— Oby cię Bóg wysłuchał. — I Max wypowiedział słowa, których czę-sto używałem wobec znajomych kobiet: — Czy to moja wina, że mogę kochać kilka kobiet naraz? Cała idea monogamii to wielkie oszustwo — stwierdził. — Została wymyślona przez kobiety i purytańskich chrześcijan. Wśród Żydów nigdy nie istniała. Nawet nasz wielki nauczyciel, Mojżesz, pożądał Murzynki, a kiedy jego siostra, Miriam, źle się o nim wyraziła, została dotknięta świerzbem. Gdzie jest napisane, że muszę być bardziej święty niż Mojżesz albo patriarcha Jakub? Póki nie stałem się impotentem, nie żałowałem sobie. Ja już odchodzę, teraz czas na ciebie. Moja pierwsza żona — ciągnął — niechaj spoczywa w raju, była przyzwoitą żydowską dziewczyną, ale brak jej było tej iskierki wyobraźni. Próbowałem rozbudzić ją na wszelkie możliwe sposoby. Dawałem jej do czytania Maupassanta, Paula de Kocka, a nawet naszą polską Gabrielę Zapolską. Ale ją intereso-wały tylko suknie, świecidełka i kosztowne futra. W jej żyłach płynęło mle-ko zamiast krwi. Próbowałem nawet zabrać ją na tańce do kabaretu. Ale ona to wszystko określała jednym słowem — sprośność. Kiedy mężczyzna jest impotentem, ciągnie się go do rabina i zmusza do rozwodu. Ale kiedy żona jest oziębła, chłodna jak lód, wychwala się ją, że jest cnotliwa. Moja żona miała jedną zaletę, która rekompensowała jej braki — była mi całkowicie wierna. Dla Matyldy, niech spoczywa w pokoju, wszystko było sprawą pre-stiżu. Skoro damy w Paryżu miały kochanków, to i ona musiała ich mieć. Chaim Joel, niech mi wybaczy te słowa, jest hermafrodytą nie tylko w sen-sie fizycznym, ale i duchowym. Jego namiętnością zawsze były i nadal są pieniądze i dzięki Bogu, ma ich aż nadto. Kiedy rodzi się kobieta, która ma gorącą krew, cały świat powstaje przeciw i potępia ją. Jest uważana za dziwkę. Zresztą dotyczy to też mężczyzn, mówi się przecież o nich „dziw-karze”. Wiesz, kogo mam na myśli.

Poczułem, że twarz mi bieleje.

— Miriam ci wszystko powiedziała? — spytałem.

— Wszystko.

— Znasz jej przeszłość?

— Tak.

- No więc, jak byś ją nazwał?
- Wziąłbym ją taką, jaka jest.
- Ożeniłbyś się z nią?
- Gdybym był w twoim wieku, to tak.
- Ona chce mieć dzieci. Skąd byś wiedział, czy są twoje?
- Nie miałbym nic przeciw temu, żeby były twoje.
- Mogłyby być listonosza.
- Nie — roześmiał się Max. — I po co to gadanie? Ale jest jedna rzecz
- nie chcę, żebyś ją oszukiwał.
- Nie oszukuję jej.
- Oszukujesz. Ona robi sobie nadzieje w związku z tobą. Choć może to zabrzmieć nieprawdopodobnie, kiedy w grę wchodzi prawdziwa miłość, ona jest cnotliwa niczym dziewica.

Następnego dnia wczesnym rankiem wraz z Cłuwą towarzyszyliśmy Maxowi w drodze na lotnisko. Kiedy wracaliśmy, w taksówce, Cłuwa przysunęła swoje kolana do moich.

- Wiem wszystko o tobie — powiedziałem.
 - Wiem, że wiesz — odrzekła Cłuwa. — Ja też wiem wszystko o tobie.
 - Co masz na myśli? — spytałem.
 - Przede wszystkim wiem, że Max nie potrafi dotrzymać słowa. On jest jak pijany: co pomyśli, to powie. Po drugie, widzę różne rzeczy, czasem na jawie, a czasem we śnie. Kiedy po raz pierwszy Max przyprowadził cię do Prywy, zobaczyłam poświatę wokół twojej głowy.
 - Jaką poświatę? Co masz na myśli?
 - To, że będziesz mój.
 - Nie. Tym razem się mylisz — powiedziałem z drżeniem w głosie.
- Cłuwa położyła mi rękę na kolanie.
- Nie dzisiaj. Dzisiaj mam okres. Kiedy wrócisz.

Powiedziałem Miriam, że nie chcę mieć dzieci, ani z nią, ani z nikim innym. Gazety i czasopisma pełne były doniesień o eksplozji demograficz-

nej. Malthus nie mylił się, jak twierdzili liberałowie — nie było po prostu dostatecznie dużo żywności dla miliardów ludzi. Katastrofy wywołane przez Hitlera i Stalina ujawniły, że człowiecze marzenia o pokoju i zjednoczeniu ludzkości są nierealne. Powstały dziesiątki nowych narodów i wszędzie wybuchały konflikty i wojny. Nienawiść do Żydów nie znikła nawet po hitlerowskiej zagładzie, a Izrael był otoczony przez wrogów. Jaki sens powoływać na ten świat dzieci? Po co powiększać sumę ludzkich cierpień? Miriam po części zgadzała się ze mną, ale przekonywała:

— Jeśli mnożyć się będą tylko głupcy, jaka nadzieja pozostanie ludzkości?

— Nie ma nadziei, żadnej.

— A więc w jaki sposób z mały powstał człowiek? Skąd wzięli się Spinoza, Tołstoj, Dostojewski, Gandhi, Einstein?

— Nie chcę brać udziału w tej loterii.

Pocałowaliśmy się i rozmawialiśmy dalej. Wszystko, co nam pozostało, to chwycić te rzadkie chwile przyjemności, dopóki nie wejdziemy sobie wzajem w drogę i nie pękniemy niczym mydlane bańki. Nie mogliśmy z Miriam ani być razem, ani osobno. Nie zaprzeczaliśmy istnieniu Boga ani nie byliśmy w stanie Mu służyć. Służyć komu? Specjaliście od przyciągania ziemskiego i magnetyzmu, eksplozji we wszechświecie i promieniowania kosmicznego, który nigdy nie przyjmował naszych modlitw ani ich nie odrzucał? Leżeliśmy w łóżku i nocą wyznawaliśmy nasze grzechy, zarówno te popełnione, jak i te, które tylko sobie wyobrażaliśmy, zarówno komiczne, jak i tragiczne. I tyle mieliśmy sobie do powiedzenia, że często noc wydawała nam się zbyt krótka.

Miriam powiedziała mi otwarcie: póki Max jest w Izraelu, ona nie może pozostać w Ameryce. On dopiero dochodzi do siebie; potrzebuje jej pomocy i miłości. zaproponowała mi, bym towarzyszył jej w podróży. Prawda była taka, że nie miała dość pieniędzy nawet na własne wydatki. Zaoferowałem jej tysiąc dolarów, które pozostały z moich oszczędności. Poza tym co miałbym robić w Izraelu? Nie mówiono tam w jidysz, ale po hebrajsku, dumnym językiem patriarchów, a nie żargonem wygnańców. Ci, którzy dalej toczyli odwieczną walkę z Filistynami, pragnęli wymazać ze swojej pamięci dwa tysiące lat wygnania i gett, inkwizycji i programów. Chcieli być po prostu narodem wśród innych narodów, takim samym jak pozostałe. Miałem zamiar odwiedzić kiedyś ten kraj, ale jeszcze nie teraz.

Coś stało się z moją powieścią — utknęła w martwym punkcie. Musiałem ponownie wziąć na warsztat wiele stron, odebrać część rękopisu wysłanego już do składania. Prawda była taka, że żyłem w stanie nieustającego kryzysu i istniało niebezpieczeństwo, iż przeoczę coś w intrydze, postacie okażą się blade, a napięcie ulegnie rozwodnieniu. Toczyłem walkę z demonami, które rzucały mi kłody pod nogi, paraliżując pamięć i zakłócając spokój ducha. Miałem swoje metody wypędzania złych duchów; znałem ich psoty i figle. Ale to nie wystarczało. Niczym śmiertcionośne mikroby, które uodporniły się na wszystkie leki i znajdują wciąż nowe środki ataku, literackie chochliki nigdy się nie poddawały. Nieustannie szukały chwil słabości i jakiegoś słabego punktu. Im więcej pracy zostało już wykonanej i im bardziej znużony stawał się twórca, tym bardziej bezczelnie robili się ci niszczyiele. Stale trzeba było mieć się na baczności. Nawet wielcy pisarze, klasycy, mistrzowie, doznawali niepowodzeń. Być może umysł ludzki został tak skonstruowany, że człowiek, jeśli chodzi o błędy innych, potrafi być nadzwyczaj wnikliwy, natomiast gdy idzie o jego własne potknięcia, staje się ślepy i naiwny.

Podróż do Izraela pochłonełaby masę energii i czasu. Musiałem być w bliskim kontakcie z redaktorami, by wyeliminować błędy i mieć możliwość poprawienia tekstu. Często wracały do mnie słowa kabalistów, że człowiek został wysłany na ten świat w celu przywrócenia w nim harmonii. Stale żądano od nas naprawiania błędów. Nawet w sferze *Acilut*, świecie emanacji, naczynia popękały, a boskie iskry rozprysły się w otchłani. Sztuka wiele się mogła nauczyć od dawnych mistyków i ich symboliki.

Po trzech tygodniach Lynn Stallner wróciła. Jedną rękę miała w gipsie, drugą zabandażowaną. Wraz z nią pojawiła się Sylvia i meksykańska służąca. Kiedy Lynn zabierała swego synka, Miriam płakała, a i ja poczułem, że oczy mi wilgotnieją. Didi pocałował mnie i nazwał tatusiem.

Wkrótce listonosz przyniósł list od Maxa, w którym donosił on, że wprawdzie czuje się lepiej, ale jest jeszcze bardzo osłabiony po tych wszystkich operacjach. Tęskni zarówno za Miriam, jak i za mną. Przesłał mi czek na trzy tysiące dolarów, które mu pożyczyłem, i drugi — dla Miriam, na jej wydatki. Oba były podpisane nazwiskiem Chaima Joela Treibitchera. Chaim Joel także przysłał mi list. Napisany po hebrajsku, upstrzony był kwiecistymi biblijnymi wyrażeniami i cytatami z Gemary. Kilka przyjaznych linijek

po żydowsku poświęcił też Miriam. Zaczął już spłacać wszystkie złodziejstwa swego bratanka. Herszele, czyli Harry, pozostawił w Ameryce oszukanych, bezradnych ludzi. Chaim Joel miał zamiar zwrócić Miriam pieniądze, owe pięć tysięcy dolarów, otrzymane od ojca, Moryca Zalkinda, którymi Max i Harry obracali.

Miriam, przeczytawszy list, zaczęła tańczyć i klaskać w dłonie. Rzuciła się na mnie, całując mnie i krzycząc z radości. Ale musiałem jej powiedzieć, że nie mam ochoty na wyjazd do Izraela. Kryzys związany z moją powieścią pogłębił się. Po raz pierwszy redaktor naczelny usiłował wyrzucić całe rozdziały, nie pytając mnie o zdanie. Zadzwoiłem do niego i powiedziałem, że jeśli nie przywróci brakujących fragmentów, zarzucę pisanie. Trwająca między nami wojna miała zostać poddana pod osąd na zebraniu zarządu gazety, które miało się odbyć dopiero za kilka tygodni, po Świącie Pracy, ponieważ szef i niektórzy członkowie kolegium wyjechali na wakacje lub za granicę i spodziewano się ich powrotu dopiero po tym terminie. Chodziło zresztą nie tylko o powieść, lecz również o całą moją pozycję dziennikarską. Dotąd trzymałem to w tajemnicy przed Miriam, chcąc oszczędzić jej zmartwień, jednak teraz musiałem wszystko wyjaśnić.

Tak się złożyło, że Miriam miała wylecieć na trzy dni przed Rosz Haszana, najpierw do Paryża, a stamtąd do Tel Awiwu. Chciałem kupić jej jakiś prezent. Kiedy spytałem, co chciałaby dostać, odparła:

— Biblię.

— W Izraelu jest mnóstwo wszelkiego rodzaju wspaniałych wydań Biblii — zaoponowałem i zaproponowałem w zamian wieczne pióro.

— Chciałabym właśnie Biblię. Jeśli mi jej nie dasz, będę musiała kupić sobie sama — odrzekła.

Nigdy wcześniej nie mówiła do mnie w taki sposób, więc spytałem:

— Co się stało? Czyżbyś przez noc stała się religijna?

— Tak, stałam się religijna — odparła.

Na wystawie sklepowej na Broadwayu rzuciła mi się w oczy mała Biblia, oprawna w drewno, z wyrytą na okładce Ścianą Płaczu. Kupiłem ją więc. Sprzedawca dorzucił jeszcze małą mezuzę w brązowym futerale i chanukowy drejdl. Dałem to wszystko Miriam. Ku mojemu zdumieniu Miriam wyjęła skądś dwa srebrne świeczniki, które, jak wyjaśniła, dostała od matki, kiedy wychodziła za mąż za Stanleya.

— Co masz zamiar zrobić? — spytałem zaskoczony.

— Bądź tak dobry — powiedziała Miriam — i otwórz mi Biblię na Księdze Powtórzonego Prawa.

— Skąd znasz tę Księgę? Co zamierzasz zrobić?

— Z twojego opowiadania.

— Do czego dążysz? Nie pamiętam żadnego takiego opowiadania.

— Ale ja pamiętam. Otwórz.

Otworzyłem Biblię na odpowiedniej stronie, a Miriam tymczasem zapaliła świece.

— Cóż to za kaprys?

— Bądź cicho i poczekaj.

Miriam nakryła włosy białą chustką. Spod bluzki wyjęła kartkę papieru i zaczęła czytać:

— Przysięgam na Boga w niebiosach i dusze tych, którzy są mi drodzy, męczenników, którzy zginęli z rąk Hitlera, oby imię jego i pamięć po nim zostały wymazane, że nie będę miała w życiu innych mężczyzn poza Maxem i tobą. Jeśli złamię ten święty ślub, niech spadną na moją głowę wszystkie przekleństwa Księgi Powtórzonego Prawa. Amen.

Miriam wypowiedziała te słowa ze śpiewną intonacją, przypominającą kadsiz, *El Male Rachamim* albo lamenty pobożnych niewiast w czasie pogrzebu. Uniosła obie dłonie i zwróciła oczy ku niebu. Chciałem jej przerwać, ale coś w jej spojrzeniu mnie powstrzymało. Gdy skończyła, ucałowała Biblię i zamknęła ją.

— Cóż za idiotyczny melodramat. Naprawdę, Miriam, przesadziłaś. To niesmaczne. Jak chcesz dochować takiej przysięgi? Ja jestem starszy od ciebie o dwadzieścia lat, a Max o czterdzieści.

— Wiem o tym, ale bez względu na to, co się między nami wydarzy, nie chcę, żebyś nie spał nocami myśląc, że cię zdradzam z innymi.

— Jaką wartość ma taka przysięga, złożona przez kogoś, kto nie wierzy w Boga?

— Wierzę w Boga.

— Mogę zgasić świece?

— Niech się palą.

— Też mam złożyć taką przysięgę? — spytałem, zdumiony własnymi słowami.

— Nie, nie. Nic mi nie jesteś winien. To ja ciebie zostawiam, a nie ty mnie. Ja będę z Maxem, a ty możesz być, z kim ci się podoba.

W głosie Miriam i całym jej zachowaniu było coś odwiecznego, wzbudzającego grozę. Poczulem ucisk w gardle. Natychmiast przypomnieli mi się moi rodzice, wujowie, ciotki, moja kuzynka Estera; wszyscy oni zginęli z rąk nazistów. Te dwie świece, płonące w środku dnia, przypomniały mi świece stawiane u wezgłowa umarłego. Usiłowałem wmówić sobie, że cała ta ceremonia to po prostu teatr, zwykła manifestacja kobiecej hysterii. A jednak stałem i wpatrywałem się w Miriam i w te dwa małe ogniki, które migotały w źrenicach jej oczu. Wciąż jeszcze miała na głowie białą chusteczkę. Zdawało mi się, że przez tych kilka chwil postarzała się o całe lata.

Raz jeszcze wróciły do mnie słowa Maxa: „Gdy w grę wchodzi prawdziwa miłość, ona jest cnotliwa niczym dziewica”.

— Jak długo mają się palić te świece? — spytałem.

— Póki się nie wypalą.

Tego wieczora Miriam nie pozwoliła mi włączyć światła. Wszystkie prace wykonywała przy nikłym światełku dwu świec; ugotowała dla nas obojga kolację, po czym zapakowała wszystkie swoje rzeczy do trzech ogromnych waliz, które zamierzała zabrać z sobą do Izraela. W białej chustce na głowie przypominała mi moją matkę z czasów, gdy byłem małym chłopcem i chodziłem w Radzyminie do reb Fiszla, tamtejszego mełameda, lub gdy uczęszczałem do chederu Mosze Icchoka w Warszawie przy Grzybowskiej 5. Na brydżowym stoliku Miriam rozłożyła talerze oraz srebra stołowe, wszystko w milczeniu, jak gdybym był jej młodym podopiecznym, a ona nowo poślubioną żoną chasyda. Nie mogłem oderwać oczu od dwu maleńkich ogników, które płonęły spokojnie, jak gdyby zadając kłam zgiełkliwej cywilizacji za oknami, całej tej kulturze niedowiarstwa i niezliczonych machin i wynalazków stworzonych przez ostatnich dwieście lat. „Jak dwie małe świece za parę centów mogą tak odmienić nastrój kobiety i mężczyzny?” — pytałem samego siebie. Spożywaliśmy kolację w jakiś inny sposób niż zazwyczaj, mniej się odzywaliśmy, ścisaliśmy głos. To dziwne, ale miałem wrażenie, że dłonie Miriam stały się bardziej subtelne, a palce dłuższe i delikatniejsze. Z jej oczu, ukrytych w cieniu, emanowała szlachetność, o której istnieniu już zapomniałem. Minęły lata od czasu, gdy po raz ostatni zaglądałem do świętej księgi lub stąpałem po świętym miejscu. Ale migotanie tych ogników przypominało mi domy nauki i chasydzkie bóżniczki, w których po raz pierwszy studiowałem stronice Gemary. Wrócił do mnie

początek Miszny z traktatu Berachot i zaintonowałem półgłosem: „Kiedy wieczorem recytuje się *Szma*? W chwili gdy wchodzi kapłani, aby spożywać swe dary, rzekł Rabbi Eliezer: «Mędrcy odmawiają do północy. A Rabbi Gamaliel odmawia do wschodu słońca...»”.

— Mówiłeś coś? — spytała Miriam.

— To z Gemary.

Miriam wyszła do łazienki umyć zęby. Położyłem się na łóżku, a ona przysłała do mnie w koronkowej koszuli nocnej, której nigdy przedtem nie widziałem.

— To po polsku nazywa się ślub, a ślub znaczy równocześnie przysięgę.

— Tak.

— Dzisiaj cię poślubiłam — oznajmiła.

Objęliśmy się i leżeliśmy w milczeniu. Miriam wtuliła się w moje ramiona; jej ciało było rozgrzane, a oddech szybki, jak w gorączce.

— Nie martw się — powiedziała. — Do niczego cię nie zmuszam. To ja poślubiłam ciebie, a nie ty mnie. Wiem, że grzeszę ciężko przeciw Bogu, przeciw tobie, przeciw Maxowi. W dawnych czasach zostałabym wygnana, a nawet ukamienowana. Ale cóż obchodzi Boga to, co my, mali ludzie, czynimy na tej planecie? On ma w kosmosie miliardy światów, inne stworzenia, inne dusze. Nawet tu, na ziemi, nie wszystkie stworzenia przestrzegają tych samych praw; mieliśmy psa, który parzył się z własną matką. Poczekaj sprawdzę, czy świece jeszcze się palą.

Miriam wstała z łóżka i wyszła do drugiego pokoju.

— Jedna się wypaliła, a druga jeszcze migocze — oznajmiła, wracając.

Zapadłem w sen. Obudziłem się dokładnie w trzy godziny później.

Przebudzenie sprawiło mi ulgę, ponieważ śniło mi się, że zostałem zaproszony przez jakiegoś pisarza do mieszkania na ostatnim piętrze jakiegoś wysokiego budynku.

Przyprowadziłem ze sobą kobietę, którą była i jednocześnie nie była Miriam. Zapomniałem zabrać dla gospodarzy butelkę wina i wyszedłem, zapowiadając, że zaraz wracam. Zacząłem wędrować po nieskończonej spirali schodów — nie było tam windy — a kiedy w końcu wyszedłem na ulicę, ujrzałem ze zdumieniem, że jestem nie w Nowym Jorku, ale w miasteczku z małymi drewnianymi domkami, niebrukowanymi chodnikami, kałużami i strumyczkami płynącej wody, jak po deszczu. Wokół wałęsały się kozy, a kurczaki dziobały ziarno. „Jak to być może?” — pytałem samego

siebie. Drzwi małej chatki stały otworem, wszedłem więc i spytałem, gdzie mógłbym znaleźć sklep z winem. Ku mojemu zdziwieniu było tam całe mnóstwo młodych mężczyzn i kobiet, znanych mi z Warszawy. Wszyscy przywitali się ze mną. Jakaś dziewczyna, ubrana w wytartą sukienkę i zniszczone buty, zaczęła mi wymyślać, że ją porzuciłem. Wstała i odczytała pewien znany mi wiersz. „Gdzie ja jestem?” — spytałem. „Czy to Nowy Jork? Zostałem zaproszony do pewnego pisarza i wyszedłem tylko po butelkę wina”. „Pod jakim adresem?” — zapytali wszyscy. „Jak nazywa się ten pisarz?”. Uświadomiłem sobie, że zapomniałem i jedno, i drugie. „Gdzieś na Broadwayu — odrzekłem — ale nie na Manhattanie, tylko w Queens”. Wszyscy przyglądali mi się, nie będąc w stanie zrozumieć moich słów. Znalazłem się znów w Polsce, ale jak to się stało? Poza tym w Polsce nie ma przecież Żydów. No i co powie mój gospodarz? W tym momencie usłyszałem głos Miriam:

— Śpisz, Motylku?

— Nie.

— Która godzina?

— Dwadzieścia po drugiej.

— Ach, muszę cię opuścić. Już za tobą tęsknię. Chciałabym zostać tu z tobą, ale Max na mnie czeka. On jest moim ojcem. Jest bardzo chory. Tak się boję!

— Czego się boisz?

Miriam nie odpowiedziała. Dotknęła wargami moich ust.

Przeprowadziłem się na jakiś czas do mieszkania Miriam, ale nie pozbyłem się bynajmniej pokoju przy Siedemdziesiątej Ulicy. Teraz, kiedy Max zwrócił mi trzy tysiące dolarów, poczułem się bogaty. Otrzymałem trzy zaproszenia na święta. Frejdl Budnik przypomniała mi, że pierwszy wieczór Rosh Haszana należy do niej. Chciała, żebym przyszedł również drugiego wieczora, ale obiecałem już, że spędzę go ze Stefą i Leonem. Zadzwoiła też Cłwa. Prywa znajdowała się na morzu, gdzieś w drodze do Izraela, i Cłwa została zupełnie sama. Nie nawiązała w Ameryce żadnych przyjaźni. Nie nauczyła się nawet dobrze mówić po angielsku.

— Od czasu twojej ostatniej wizyty z Maxem nie rozmawiałam z żywym człowiekiem — powiedziała.

Umówiliśmy się na lunch o drugiej, w przeddzień Rosz Haszana. Choć domy pomiędzy ulicami Siedemdziesiątą i Dziewięćdziesiątą, graniczącymi z Broadwayem z jednej strony, a z Central Parkiem z drugiej, roily się od Żydów, nie widać było żadnych oznak Wielkich Świąt. Broadway wyglądał zupełnie tak samo, jak w pozostałe dni roku. Winogrona, ananasy i granaty nie były w Nowym Jorku owocami przeznaczonymi specjalnie na Rosz Haszana. W miesiącu *elul* nie słyszało się w synagogach dźwięku *szofaru*. Nikt nie próbował zmylić Szatana, by przestał przypominać o przewinach ludu Izraela. Ciągłe odgłosy klaksonów i łoskot kolejki podziemnej byłyby w stanie zagłuszyć nawet dźwięk *szofaru* zapowiadający nadejście Mesjasza. Kupiłem dla Cłuy pudełko czekoladek ze złotym napisem: „Żebyście byli zapisani na dobry rok” i powędrowałem na Riverside Drive, gdzie Prywa i Max mieli swoje mieszkanie. Po drodze zatrzymałem się i kupiłem egzemplarz „Forverts”. Pośród pełnych namaszczenia artykułów poświęconych nadchodzącym świętom i noworocznym życzeń od różnych żydowskich organizacji, a także od prezydentów Izraela i Stanów Zjednoczonych ostatni odcinek mojej powieści wnosił do gazety odrobinę zwyczajnego życia — scena rozgrywała się w warszawskim więzieniu.

Zadzwoiłem do drzwi i natychmiast pojawiła się Cłua, w fartuszku i bamboszach. Prosiłem, by przygotowała lekki lunch, ponieważ nieco później, jeszcze tego samego wieczora, miałem zjeść obiad z Frejdl i Miszą Budnikami. Choć Frejdl uważała się za anarchistkę i ateistkę i wierzyła, że religia to opium dla mas, na święta przygotowywała potrawy zgodnie ze starym obyczajem — na Pesach była maca, cztery kieliszki wina, gorzkie zioła, *charoset*; na Rosz Haszana podawała rzodkiewki, jabłka z miodem, cymes z marchewką i głowę karpia. Zawsze stawiała na stole karafkę ze słodkim, żydowskim winem. Naleśniki, knedle, chanukowe placki ziemniaczane, babki na Szawuot i purimowe *hamantasze* przyrządzane przez Frejdl były doskonałe. Na Rosz Haszana piekła chałę, a marchewkę kroila w krążki. Purimowe chały splatała z obu stron i posypywała szafranem. Frejdl wywodziła się z rodu pobożnych Żydów, chasydów od pokoleń.

Kiedy Cłua otworzyła drzwi, z kuchni dobiegały zapachy naszego lunchu. Objęła mnie i pocałowała. Kiedy wręczyłem jej pudełko z czekoladkami, zawołała: „Rozrzutnik!”. Stół w jadalni był już nakryty. Cłua twierdziła, że uchodźcy potłukli porcelanę Prywy i jej piękne kryształy, ale stół był przygotowany jak do uczyty. Po chwili zasiedliśmy do jedzenia. Nauczyłem się, że ludzie, którzy żyją samotnie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety,

doświadczają niezwyklej potrzeby rozmowy. Ledwo usiedliśmy do wegetariańskiej siekanej wątróbki, zupy pomidorowej, kaszy z makaronem i grzybami, kompotu, herbaty z cytryną i konfitury, gdy Cłuwa zaczęła ponownie opowiadać historię swojego życia, w całości, dodając tylko nowe szczegóły. Jadła, paliła i trajkotała.

Siedziałem przy stole i przysięgałem sobie, że nie wdam się w żadną przygodę z Cłuwa. Miałem świeżo w pamięci przysięgę, jaką Miriam złożyła przed wyjazdem, i słowa, które padły w drodze na lotnisko. Zacząłem wypytywać Cłuwę o jej okultystyczne zdolności, a ona z entuzjazmem podjęła ten temat.

— Miałam te zdolności od dzieciństwa — wyznała. — Śniłam, jako dziecko, że ktoś umrze, a następnego dnia niesiono go obok naszych okien na marach. Kilka razy wyznałam rodzicom, co mi się śniło, ale matka nakrzyczała na mnie. Powiedziała: „Te twoje sny mnie przerażają. Oby spadły na głowy naszych wrogów, na ich dusze i ciała”. Mój ojciec był nauczycielem Gemary i zapowiedział mi, że jeśli jeszcze raz przyjdę do niego ze swoimi snami, sprawi mi lanie. Miał bat z sześciu rzemieni przytwierdzonych do zajęczej łapy. Używał go do chłostania chłopców, którzy psocili i nie uważali na lekcjach. Chwycił mnie za włosy i zawłókł do komórki, w której trzymaliśmy różne narzędzia — łopaty, miotły, koryta. Powiedział: „Te twoje sny pochodzą z diabelskiego źródła; to nic innego, jak czary”. Nie wiedziałam, co to znaczy „źródło” ani „czary”, ale oba te słowa wzbudziły we mnie takie przerażenie, że nawet dzisiaj drzę, kiedy je słyszę. Przynależałam rodzicom, że będę trzymała język za zębami, ale widzeń doświadczałam nadal, czasami na jawie, czasami we śnie. Miałam młodszego brata, o imionach Baruch Dawid Alter Chaim Ben-Zion. Komu, ostatecznie, daje się pięć imion? Nazywał się Baruch Dawid, ale na kilka lat przed jego urodzeniem moi rodzice stracili bliźnięta, chłopca i dziewczynkę, które zmarły na szkarlatynę, i kiedy urodził się Baruch Dawid, mój ojciec pojechał do rabina z Kazimierza i rabin kazał dodać chłopcu kolejne imiona — Chaim (oby żył), Alter (oby dożył sędziwego wieku) i Ben-Zion (oby był wolny od zła). Rabin powiedział ojcu, żeby ubrał chłopca w mały biały kaftanik, białe spodenki, białą czapkę, a wówczas Anioł Śmierci uwierzy, że dziecko leży spowite w całun i nie żyje. W domu nazywaliśmy brata jednym imieniem, Alterle. Moja matka i ojciec trzęśli się nad nim, jakby był jakimś skarbem. Inne dzieci bały się z nim bawić. Miał niezłe poukładane w głowie i jego mełamed przepowiadał, że wyrośnie z niego geniusz.

Mój ojciec nie był w stanie zarobić swoim nauczaniem na życie, więc matka pomagała mu, sprzedając mleko. Wypiekała też gryczane placki, które przychodzili kupować chłopcy z jesziwy. Kiedy byłam dziewięcioletnią dziewczynką, matka splatała mi włosy w dwa warkocze. Nie wiem czemu, ale ci chłopcy z jesziwy ciągle mi się przyglądali, dosłownie pożerali mnie wzrokiem. W tamtych czasach bałam się mężczyzn. Pewnej nocy, kiedy miałam jedenaście lat, przyśniło mi się, że Alterle leży na tapczanie, a nad jego głową faluje czarny ogień. Jak ogień może być czarny? Ale taki właśnie mi się ukazał. Obudziłam się z myślą, że Alterle umrze. Spał na łóżku obok, poszłam więc rzucić na niego okiem. Spał głęboko, ale jego mała twarzyczka była rozjaśniona, jak gdyby księżyc lub latarnia rzucały na nią światło. Nad jego głową ujrzałam czarny ogień, jakby z miechów, które nasz kowal, Icze-Lejb, miał w swoim warsztacie. Szybko się ubrałam i wyleciałam z domu. Chodziłam i chodziłam, aż zrobiło się jasno. Działo się to po Sukot i droga była jednym wielkim błotnym traktem. Izbickie błota były znane w całej Polsce. Powiem krótko. Tego dnia mój mały braciszek umarł. Wkrótce potem ojciec miał wylew. Upadł i już nie dało się go ocucić. Matka uschła z tęsknoty w rok później. Właściwie to w Izbicy zostałam szwaczką. O tym, co było w Warszawie, już ci opowiadałam. Wiesz, dlaczego mówię ci te wszystkie rzeczy? Dlatego, że mam te widzenia do dzisiejszego dnia.

— A co widzisz we mnie? — spytałem.

Cłuwa przyglądała mi się przez chwilę badawczo, po czym powiedziała:

— Jesteś nie ten sam.

— Co to znaczy: „nie ten sam”? — spytałem.

— Nie gniewaj się — odparła — nie miałam na myśli niczego złego.

— Powiedz mi, o co chodzi!

Cłuwa spojrzała na mnie badawczo i powiedziała:

— Zrobiłeś coś, czego teraz żałujesz.

— Co zrobiłem?

— Może się ożeniłeś?

— Nie ożeniłem się.

— Coś jednak zrobiłeś. Ta Miriam to czarownica. Poczekaj, przyniosę jeszcze trochę herbaty.

Zapadł wieczór, a my wciąż siedzieliśmy i rozmawialiśmy. Całowałem Cłuwę, całowałem jej twarz, ręce, usta, nawet piersi, ale nie posunąłem się dalej. Obiecałem sobie, że nie zdradzę Miriam. Mój zegarek wskazywał szóstą i powiedziałem Cłuwie, że muszę już iść, bo czekają na mnie Budnikowie.

— Odprowadzę cię do ich domu — powiedziała.

— Co ty wygadujesz? To godzina drogi metrem albo i dłużej.

— Mam dużo czasu. W Rosz Haszana nigdy nie byłam sama. Nawet w obozie.

— Zabrałbym cię z sobą, ale wiesz, jakie są kobiety.

— Wiem, wiem. One mnie nienawidzą, wszystkie co do jednej, bo jestem młodsza i dlatego, że kiedyś Max był mój. Przelały cały swój gniew na Prywę i na mnie. Ją zwymyślały, a mnie skłęły i opluły. Dlaczego niby ona miałaby być winna? Albo ja? Nic nie wiedziała o intrygach i machinacjach Maxa. Dlaczego więc uciekła do Izraela? Proszę, pozwól mi iść z sobą.

— Cłuwa, to nie ma sensu.

— To ma sens, naprawdę. Kiedy jestem sama, zaczynam za dużo myśleć.

— Tęsknisz do Maxa? — spytałem.

— Tak, a teraz będę też tęskniła za tobą.

Wyszliśmy z mieszkania; Cłuwa zamknęła drzwi na dwa zamki. W windzie zderzyliśmy się z mężczyznami i kobietami podążającymi do synagogi. Mieli na sobie odświętne ubrania, a w rękach trzymali modlitewniki. Pociąg był prawie pusty — znać było najwyraźniej początek Rosz Haszana. Pasażerowie, goje, siedzieli rozproszeni tu i ówdzie w pustawym pociągu, pogrążeni w lekturze anglojęzycznych popołudniówek, w których widniała fotografia Żyda z białą brodą, w tałasie, dmącego w *szofar*. Wszystko to zostało przygotowane wcześniej dla prasy. Usiedliśmy z Cłuwą w kącie ostatniego wagonu i przyglądaliśmy się umykającym szynom. Cłuwa ujęła mnie pod rękę.

— Max nie jest wart mojej tęsknoty. Miał przygody ze wszystkimi. Był niczym Turek. Powinien mieć — jak to się nazywa? — harem. Ale teraz jest chory, bardzo chory. Jednego dnia człowiek jest silny jak wół, następnego słaby jak mucha. Ale pomimo to wciąż wypytywał: Jakich miałam, ilu miałam?

— A ilu miałas? — spytałem.

— Teraz znów ty byś chciał wiedzieć? Nie liczyłam.

— Dwudziestu?

Cłuwa długo nie odpowiadała.

— Nawet nie dziesięciu.

— Gdzie? W Warszawie?

— Wszyscy byli w Warszawie. Tutaj nie miałam nikogo poza Maxem.

— A co się działo w obozie?

— Nie wolno im było nawet dotknąć żydowskiej dziewczyny. *Rassen-schade*, tak to nazywali. Łaziły po nas wszy. Ach, żeby ta kolejka mogła tak jechać i jechać, i nigdy nie dotrzeć do celu.

— A dokąd miałyby jechać?

— Do Izraela, Chin — tak długo, póki jestem z tobą. Co będę robić sama w domu?

Siedzieliśmy milcząc i Cłuwa oparła głowę na moim ramieniu. Musiała chyba przysnąć, bo nagle lekko parsknęła i wyprostowała się.

— Gdzie jesteśmy?

— Przy Simon Avenue.

— Gdzie to jest?

— We Wschodnim Bronksie.

— Nie wiem, jak wrócić do domu.

— Cłuwa, nie mogę zabrać cię z sobą do tych ludzi. Zaprośli tylko mnie.

— Nie, wcale nie chcę. Nie poszłabym tam nawet wówczas, gdyby mnie zaprosili.

— Pojedź tym pociągiem do końca i poczekaj, aż będzie wracał. Potem wysiądź przy Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy.

— On może stać na ostatnim przystanku przez całą noc.

— To pojedzie inny.

— Boję się.

— Więc co chcesz zrobić?

— Poczekam na ciebie.

— Oszalałaś? Spędzę u nich noc.

— Nie mówiłeś mi o tym. Spędzisz noc w łóżku ze swoją gospodynią?

— Przygotowali dla mnie oddzielny pokój.

- Jak ma na imię ta kobieta?
- Frejdl.
- Jest w tobie zakochana, co?
- Nie opowiadaj bzdur.

Wysiedliśmy z kolejki i pokazałam Cłuwie drogę do pociągu, którym będzie mogła wrócić na Manhattan.

— Poczekaj tutaj — poprosiła Cłuwa. — Nie odchodź, póki nie wejdziesz po schodach z drugiej strony i cię nie zobaczę. Chcę mieć pewność, że się nie zgubiłam.

— W porządku.

Stałem i czekałem, ale Cłuwa się nie pokazała. Z przeciwległego peronu zdążyły już odjechać dwa pociągi w kierunku śródmieścia. „Co się z nią mogło stać?” — zastanawiałem się. Nagle ogarnął mnie histeryczny śmiech. Ledwo się poznaliśmy, a ta uczepiła się mnie, jakby była moją żoną. „Co się z nią stało?”. W końcu zobaczyłem ją i krzyknąłem:

— Czemu tak długo?

— Nie miałam drobnych, a nie chcieli przyjąć ode mnie dziesięciodolarówki. Co robisz jutro wieczorem?

— Jutro wieczór też jestem gdzieś zaproszony.

— Kiedy się do mnie znów odezwiesz?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, nadjechał jej pociąg i Cłuwa wsiadła. Wołała coś i gestykulowała. Zbiegłem szybko po schodach i zacząłem iść w stronę mieszkania Budników. Tu, we Wschodnim Bronksie, od razu widać było, że to Rosz Haszana. Wszystkie sklepy były zamknięte, a światła na ulicach przyćmione. Niebo tonęło w ciemnościach. Przypomniało mi się zdanie z Gemary: „W jakie święto księżyc pozostaje w ukryciu? W Rosz Haszana”. No tak, a gdzie przebywali umarli? Co się stało z setkami i tysiącami pokoleń, które żyły niegdyś na ziemi? Gdzie podziały się ich miłość, cierpienie, ich nadzieje i złudzenia? Czy przepadły na wieki? A może gdzieś we wszechświecie istniało jakieś archiwum, w którym wszyscy oni byli zapisani i trwali, wbrew zapomnieniu?

Zdałem sobie sprawę nagle, że nie mogę przyjść do Budników z pustymi rękami. Wyruszyłem na poszukiwanie sklepu, który mógłby być jeszcze otwarty, i zacząłem gubić się pośród uliczek Wschodniego Bronksu. Zaczął padać delikatny, kłujący kapuśniaczek. Zatrzymywałem przechodniów, żeby dowiedzieć się, gdzie mógłbym znaleźć jakiś sklep z winem. Kilkoro

w ogóle mi nie odpowiedziało; inni przekonywali, że wszystkie sklepy są już zamknięte. Nagle znalazłem się na jasno oświetlonej ulicy, gdzie ukazał się moim oczom sklep z alkoholem. Kupiłem butelkę importowanego szampa, zauważyłem taksówkę i wsiadłem do niej. Kilka minut później zapukałem do drzwi Budników.

Frejdl była odświętnie ubrana i zapaliła świece. Była niewysoką kobietą o ufarbowanych na czarno włosach i czarnych oczach, a z jej drobnej twarzy promieniowała charakterystyczna, żydowsko-polska radość. Wprawdzie to ona zrobiła z Miszy anarchistę, ale w ostatnich latach zaczęła przyjmować do wiadomości, że życie nie jest dokładnie takie, jakie być powinno wedle Bakunina, Sternena czy Kropotkina — przykładem może być choćby państwo żydowskie. Zjadłem chałę z miodem i wyrecytowałem: „Oby nadchodzący rok był dobry i słodki”. Zjadłem marchewkę i wyrecytowałem: „Oby nasze zasługi i cnoty rosły i mnożyły się”. To ostanie życzenie było ściśle związane z jidysz. Sefardyjscy Żydzi z pewnością go nie wypowiadali. Głowy karpia, jako wegetarianin, nie tknąłem, ale kiedy Frejdl zasiadła do jej spożycia, wyrecytowałem za nią: „Obyśmy odtąd byli jako głowy, nie zaś ogony”. Wszystkie te zwyczaje pojawiły się wśród Żydów, gdy zaczęli mówić w jidysz, w Niemczech, a być może później — w Polsce. Misza odwrócił się plecami do modlitw i błogosławieństw, lecz nie do jedzenia. Pochłaniał wszystko ze smakiem, obrzucając jednocześnie stekiem obelg i inwektyw reakcjonistów żydowskich ze wszystkich możliwych obozów: syjonistów, poalesyjonistów, ortodoksów, reformowanych, konserwatystów, a także żydowskich socjalistów i komunistów. Twierdził, że wszystkim im chodzi tylko o jedno — zdobycie przywilejów dla siebie i możliwość wykorzystywania innych. Skrywali swoją chciwość pod kwiecistymi sloganami i pełnymi hipokryzji frazesami. W ostatnich dwudziestu latach anarchiści oficjalnie wyrzekli się terroru jako metody walki. Misza jednak wątpił, czy bez tego anarchiści będą w stanie osiągnąć swój cel.

— Jak miałyby dojść do rewolucji? — pytał. — Może militaryści, faszyci i staliniści nagle zdecydują się dać masom wolność? Bzdury, pobożne życzenia!

Frejdl uśmiechnęła się, potrząsnęła głową i przypomniała Miszy, że obiecał nie psuć mojej wizyty politycznymi dywagacjami. Ale Misza miał ogromną ochotę wciągnąć mnie w rozmowę.

— Czytałem twoje kawałki w gazecie — oświadczył. — Piszesz nieźle, ale byłoby to lepsze, gdybyś nie... no, bo czego może się nauczyć z twoich artykułów lud? Miłość, miłość i jeszcze raz miłość.

— A o czym miałbym pisać? O nienawiści?

— Idź do fabryki i zobacz, jak wykorzystuje się robotników. Idź do kopalni i zobacz, co się tam dzieje.

— Nikt nie chce czytać o fabrykach i kopalniach, nawet sami robotnicy.

— Misza, dasz mu zjeść? — spytała Frejdl. — On nie zmieni świata. Dawno to, jak nie miał nawet pięciu centów na metro? Pamiętasz, był biały jak kreda. Chodził całymi dniami bez jedzenia.

— Pamiętam, pamiętam. Ale on zapomniał.

— Ty, Misza, też zapomniałeś — odezwał się. — Przypomnij sobie historie, jakie opowiadałeś nam nocami w domu nauki. Jedna była o karlicy, która rzuciła w ciebie sosnową szyszka i sprawiła, że zemdląłeś.

— To były tylko historyjki, takie tam duby smalone.

— Misza, mnie też opowiadałeś tę historię. To było jeszcze przed tym, zanim zdecydowaliśmy się na wspólne życie — wtrąciła Frejdl.

— A pamiętasz Cygankę, którą spotkałeś w Rawie Ruskiej, tę, która wymieniła z imienia wszystkich członków twojej rodziny? Przepowiedziała ci, kiedy i gdzie mnie spotkasz, i różne inne rzeczy.

— Frejdl, co się z tobą dzieje? Czyżbyś dołączyła do tych pasożytów? Przecież właśnie ty uczyłaś mnie, że posiadanie to złodziejstwo. Teraz odeszłaś, zmieniłaś się.

— Misza, we wszechświecie jest więcej tajemnic, niż masz włosów na głowie, więcej niż ziarenek piasku nad morzem — powiedziałem.

— Jakich tajemnic? Nie ma Boga, nie ma aniołów ani diabłów. To wszystko bajki, wiele hałasu o nic. Wychodzę, Frejdl.

Frejdl zrobiła wielkie oczy.

— Dokąd wychodzisz?

— Tam, gdzie każdej nocy, do taksówki. Rosz Haszana nic dla mnie nie znaczy. Bóg nie zasiada na ognistym tronie, aby wpisać do swej księgi, kto będzie żył, a kto umrze. Dla mnie ta noc jest taka sama jak każda inna.

— Powinieneś się wstydzić, Misza. Taki gość, a ty wychodzisz? Nie trzeba nam tych kilku dolarów, które zarobisz, męcząc się przez całą noc. Na dworze pada..

— Ach, nie chodzi o pieniądze. Czym są pieniądze? W wolnym społeczeństwie w ogóle nie będzie pieniędzy. Ludzie będą się wymieniać tym, co wytworzą. Spałem w dzień i teraz nie zmrużę oka przez całą noc. Lubię jeździć w nocy. Jest spokojnie. Ciekawią mnie te wszystkie okazy, które wypełzają nocą na świat. Którejś nocy zatrzymała mnie jakaś zamożna para. Ledwo wsiedli, on zaczął ją bić. Spoliczkował, uderzył pięścią, obrzucił obelgami. Zatrzymałem taksówkę i powiedziałem: „Proszę pana, moja taksówka służy do jazdy, a nie do bijatyk”. A wtedy ona zaczęła wrzeszczeć: „Pilnuj swojego nosa. Jedź, gdzie ci kazano”. Mieszkali przy Piątej Alei. Może byli małżeństwem. On dał mi dziesięć dolarów i powiedział, żebym zatrzymał sobie resztę. Zauważyłem, że ona zostawiła w taksówce swoją torebkę. Pobiegłem i oddałem jej. „Uczciwy z ciebie łajdak” — powiedziała. Takie było jej podziękowanie.

— Misza, rozchoruję się od tych twoich opowieści — wykrzyknęła Frejdl. Misza pocałował ją i wyszedł.

— On jest szalony. Nigdy się nie dowiem, jaki on jest naprawdę i czego chce. Żyję z nim od trzydziestu lat i czasem myślę, że jest naiwny jak dziecko.

— Nie jest taki naiwny. Przez wiele lat zajmował się przemytem. A kiedy się z tobą ożenił, wiedział, że nie byłaś święta.

— Była wojna, co miałam robić? Byliśmy głodni, ja i cała moja rodzina. Stałam się ich żywicielką. Było dokładnie tak, jak w tym powiedzeniu: „Chleb albo śmierć”. Moja matka udawała, że o niczym nie wie. Ojciec całymi dniami przesiadywał w tej swojej chasydzkiej bóżniczce. Panowała cholera — przywlekli ją z sobą Austriacy — i do każdego domu zaglądała śmierć. Jednego dnia dostawałeś skurczy, a następnego lub dwa dni później było po tobie. Kto wówczas myślał o tym, co wolno, a czego nie należy robić? Znalazłam wtedy książkę Kropotkina — w żydowskiej bibliotece, naprawdę — i dosłownie ją pochłonałam. Kiedy Misza mnie poznał i zakochał się we mnie, nie miał pojęcia o niczym. Umiał może czytać modlitwy z modlitewnika, ale nie potrafił przeczytać gazety. Musiałam nauczyć go wszystkiego. Nasze córki poszły do college'u, ale mówią czasem tak, jakby były dziećmi. Są podobne do niego. No, ale nie ma o czym mówić. Słyszałam, że Max jest w Izraelu.

— Tak.

— A gdzie jest ta dziewczyna — jak ona się nazywa — Miriam?

— Pojechała za nim do Tel Awiwu.

- No, no. Musi być w nim zakochana po uszy.
 - Tak.
 - Widać lubi się włóczyć.
 - Wedle *Szulchan Aruch* Emmy Goldman, nie stanowi to wykroczenia
 - zauważyłem.
- Staliśmy w milczeniu, aż w końcu Frejdl rzuciła:
- Czasem wydaje mi się, że cały świat to jeden wielki dom wariatów.

Rozdział jedenasty

Skoro świat był szalony, ja wymyśliłem szalony plan — żeby wybrać się, wraz z moimi najbliższymi przyjaciółmi, Stefą, Leonem, Frejdl, Miszą i Cłwą do Izraela. Powiedziałem im o swoim pomysle i wszystkim się spodobał. Wiedziałem, że pracownicy biur podróży, nawet rabini, jeździli jako przewodnicy do nowo powstałego państwa żydowskiego. Wielu Żydów w Ameryce pragnęło odwiedzić Izrael, ale niechętnie wyjeżdżali sami oddzielnie, ponieważ tylko nieliczni znali nowoczesny hebrajski. Najpierw, jeszcze w przeddzień Rosz Haszana, przedstawiłem swój plan Frejdl.

— Wiem, z kim chcesz się tam zobaczyć — powiedziała.

— Ale wszystko mi jedno, pojedę z tobą. Max Aberdam stracił naszych pięć tysięcy dolarów, ale możemy sobie jeszcze pozwolić na tę podróż.

Wspólnymi siłami przekonaliśmy Miszę, że anarchiści są nawet w Izraelu. Wyjaśniłem również, że Chaim Joel Treibitcher ma zamiar pokryć długi i wyrównać straty spowodowane przez swojego bratanka. Irka Szelkes otrzymała już od niego swoje pieniądze — Chaim Joel nie miał zamiaru siedzieć z założonymi rękoma i przyglądać się, jak kalane jest nazwisko Treibitcherów. Kiedy powiedziałem o tym Miszy, odezwał się w nim anarchista:

— A skąd on ma tyle pieniędzy? Pewnie z jakichś oszustw i złodziejstw.

— Nawet gdyby tak było — odrzekłem — pewnie i tak chętnie byś je wziął. Chaim Joel jest uczciwym człowiekiem, zresztą żaden złodziej nie lubi oddawać ukradzionych pieniędzy. Dlaczego nie namówisz go, żeby wyłożył milion dolarów na „Głos Wolnego Robotnika”?

Frejdl zachichotała i mrugnęła do mnie. Po śniadaniu wyszedłem i zacząłem szukać sklepu, który nie należałby do Żydów. Zauważyłem jakiś otwarty, z kilkoma kabinami telefonicznymi w środku. Zadzwoiłem do Cłwy. Wiedziałem, że nie mógłbym spędzić całego dnia.

— Cłwa, obudziłem cię? Wybacz.

— To ty? Całą noc nie mogłam spać. Myślałam o tobie. Naprawdę boję się, że zanim Prywa wróci — jeśli w ogóle zechce wrócić — zamkną mnie w domu wariatów.

— Cłuwa, jedziemy do Izraela! — wykrzyknąłem.

— Kiedy? Co ty mówisz?

Powtórzyłem Cłuwie mój plan i przedstawiłem pozostałą czwórkę, którą chciałem ze sobą zabrać.

— Arele — mogę się tak do ciebie zwracać? — pojedę z tobą wszędzie, gdziekolwiek i z kimkolwiek byś jechał. Od tej chwili jestem twoją niewolnicą. Tak, niewolnicą!

— Nie gadaj bzdur, Cłuwa.

— Ocaliłeś mnie od śmierci. Szukałam już jakiegoś haka w belce na suficie, żeby się powiesić. Bóg mi świadkiem. Gdzie jesteś?

— Przy Tremont Avenue, niedaleko moich ziomek.

— Przyjeżdżaj zaraz!

Spędziłem ten dzień z Cłuwą. Przespacerowaliśmy się po Riverside Drive i zjedliśmy lunch w chińskiej restauracji. Przeszliśmy obok synagogi, skąd dobiegł nas śpiew kantora. Potem Cłuwa usiłowała zademonstrować swoje umiejętności w dziedzinie lewitacji, ale stoliczek odmówił posłuszeństwa i nie chciał się unieść.

— To dlatego, że ty nie wierzysz w takie rzeczy — powiedziała.

— Wierzę, wierzę.

— Co zrobimy z mieszkaniem Miriam i Prywy?

— Zamkniemy je solidnie na czas wyjazdu.

Cłuwa pokazała mi swoją książeczkę oszczędnościową. Prócz pieniędzy, które powierzyła Maxowi, by je zainwestował, miała jeszcze prawie trzy tysiące dolarów. Posiadała też trochę obligacji wojennych i masę biżuterii. Osiedli się w kibucu i rozpoczną nowe życie. Wyciągnęła wszystkie swoje świecidełka i błyskotki i pokazywała mi je w taki sposób, jak robiła to moja przyjaciółka z dzieciństwa, Szosza, w czasach kiedy byłem małym chłopcem.

Objęliśmy się i pocałowaliśmy. Nie czułem do niej miłości, a nawet pożądania, ale co można było zrobić z tak ładną kobietą jak Cłuwa? Położyliśmy się na łóżku Prywy i Cłuwa wyznała:

— Ona się o tym dowie, dowie się o wszystkim. Nie ma między nami tajemnic. Ona nie jest o mnie zazdrosna.

— Prywa wie o twoich stosunkach z Maxem?

— Wie wszystko.

— Max mówił ci o Miriam?

— Ze szczegółami.

— Jak głęboko ludzie mogą się pogрузić? — zdumiałem się, a Cłuwa odrzekła:

— Bardzo głęboko.

Niebawem podniosła się i usłyszałem jej krzątanie gdzieś w mieszkaniu — chyba w kuchni. Wróciła w haftowanej koszuli nocnej i pantoflach, niosąc z sobą tackę z ciasteczkami, dwa kieliszki i karafkę czerwonego wina. — Wypijmy za nowy rok — powiedziała. — No, to *Lechaim!*

Kiedy zasnąłem, przyśniła mi się Miriam. We śnie też było święto Rosz Haszana. Moi rodzice jeszcze żyli i wybieraliśmy się wszyscy na *taszlich*. Czyżby to był Biłgoraj? Ale rzeka była zbyt szeroka jak na Biłgoraj. Nie, to była Wisła. Mężczyźni ciągnęli drogą, ubrani w atlasowe kapoty i sztrajmle. Ja sam nie poszedłem na *taszlich*, lecz patrzyłem przez okno turzyskiej bóżniczki, która stała na wzgórzu. Ojciec pochylał się nad moim bratem Mosze i coś do niego mówił. W jednej chwili pojawiły się dziewczęta i kobiety, wszystkie świątecznie wystrojone. Stara Genendeł miała na sobie staromodny strój zwany rotundą. „Genendeł żyje?” — zdziwiłem się. „Musi mieć już ponad sto lat”. Potem ujrzałem moją matkę. Była ubrana w złocistą suknię, którą miała na sobie w dniu ślubu i którą wkładała zawsze w Sądne Dni. Na perukę zarzuciła biały jedwabny szal, w ręku trzymała modlitewnik z mosiężną klamrą. „*Momeszi*, ty żyjesz?” — zawołałem we śnie. Z jej bladej, wąskiej twarzy emanowało subtelne dostojeństwo. Czyżby przyszedł Mesjasz? Czyżby zaczęło się zmartwychwstanie? Moja matka zmarła w Dżambule, w Kazachstanie. Nagle ujrzałem stojącą obok niej Miriam. Trzymała moją matkę pod rękę. „To sen, sen!” — zawołałem. Otworzyłem

oczy. W sypialni panował mrok. Zapadł już zmierzch. Nade mną pochylała się Cłwa.

— Arele, jest za piętnaście szósta. Musisz iść — wiesz, gdzie.

Wyskoczyłem z łóżka. Kreitlerowie spodziewali się mnie o wpół do siódmej. Szybko się ubrałem z pomocą Cłwy. Przyniosła mi moje buty, koszulę i krawat, które, jak zwykle, porzuciłem w nieładzie.

Znalazłem sklep z alkoholem i znów kupiłem dla moich gospodarzy butelkę szampana. Tym razem nie musiałem brać taksówki. Zarówno sklep, jak i mieszkanie Kreitlerów były w pobliżu. Kreitlerowie mieszkali w drapaczu chmur z dwiema iglicami, mieszczącym się przy Central Park West i Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy. Byłem gotów przedstawić Leonowi i Stefie swój plan wyprawy do Izraela. Kiedy stałem w przestronnym westybulu, czekając na windę, uświadomiłem sobie, że oto znów wpadłem w tarapaty, że zaplątałem się w sieć, którą sam utkałem. Ale dlaczego to robiłem? Czyżby to była forma masochizmu?

Nacisnąłem dzwonek. Drzwi otworzyła Stefa. Ubrana była w wytworną jedwabną suknię, włosy miała świeżo wyszczotkowane i uczesane. Nie wyglądała jednak zbyt dobrze; przybyło jej zarówno kilogramów, jak i zmarszczek. Zmierzyła mnie od stóp do głów i z jej spojrzenia wyczytałem, że mój wygląd pozostawia wiele do życzenia. Ale chwilę potem jej twarz rozjaśnił uśmiech, objęła mnie i ucałowaliśmy się.

— Spójrz, szampan! — zawołała.

Uścisnęliśmy się z Leonem.

Aby przemóc zakłopotanie i niepewność, związane z planami podróży, zawołałem:

— *Mazeł tow!* Jedziemy do Izraela!

— Kto „my”? — spytała Stefa.

— Ty, Leon, ja i jeszcze kilkoro ze starej gwardii.

— Jakiej starej gwardii?

— Och, to moi krajanie, prości ludzie, ale poczciwe dusze.

Stefa wzruszyła ramionami.

— Moja matka mawiała: „Snuje plany, nie pytając zainteresowanych o zdanie”.

— Po co siedzieć tutaj, w Nowym Jorku, kiedy tam rodzi się nowe żydowskie państwo?

— Kiedy macie zamiar jechać?

— Jak najszybciej.

Wyczytałem z twarzy Stefy, że pomysł jej się spodobał, więc dodałem:

— Na Sukot będziemy już tam.

— Słyszysz, Leonie?

— Tak, słyszę. Powinniśmy to byli zrobić już dawno.

— Jak twoje interesy? — spytałem.

— Same się kręcą — odparł Leon. — Piszą w gazetach o ukrytej inflacji i to prawda, że wszystko coraz bardziej drożeje, a nie tanieje. Ale jeśli chodzi o moje interesy, im mniej się robi, tym lepiej.

— Leon, mamy święto! — przerwała mu Stefa.

— Anioł Śmierci nie dba o święta. W miasteczku mojego ojca była kobieta, która miała własne całuny. Jeśli ktoś zmarł w święto, wypożyczala je. Drugiego dnia świąt wolno pogrzebać ciało, ale nie można szyć całunów.

— A jeżeli zmarły był mężczyzną? — spytałem.

— Wolno pochować mężczyznę w całunie kobiety. Wszyscy umarli mają tę samą płęć — odparł Leon.

— Po co ta cała gadanina o śmierci? — zapytała Stefa. — Na razie jeszcze żyjemy. Dobrze, pojedziemy z tobą do Izraela. Ale po co ci twoi krajanie?

— W szóstkę będzie nam raźniej.

— No dobrze, daj mi trochę czasu. Ile zostało do Sukot?

— Dokładnie dwa tygodnie.

Jedliśmy, piliśmy szampana, a oczy Stefy jaśniały dziewczęcym blaskiem. Tak, to, co zdaje się niemożliwe, jest możliwe — to będzie moja dewiza na przyszłość. Siedzieliśmy, rozmawiając do późna, więc oboje, Leon i Stefa, nalegali, bym został na noc. Pokój Franki wciąż na mnie czekał i tym razem dałem się namówić. Leon znał wszystkie szczegóły związane z Maxem Aberdamem, Harrym Treibitcherem i jego stryjem, Chaimem Joelem. Powiedział, że wiele lat temu Chaim Joel Treibitcher zakupił parcele w Miami Beach, które obecnie warte były miliony. Ten dawny chasyd był tak bogaty, że nie znał i nie był nawet w stanie obliczyć dokładnej wielkości swojego majątku. On, Leon, też posiada grunty w Miami, ale — jak stwierdził — „w porównaniu z nim jestem jak mucha przy słoniu”. Kiedy Leon poszedł do łóżka, Stefa spytała:

— W jaki sposób tak nagle wpadłeś na pomysł podróży do Izraela? Masz tam kochankę?

— Może.

— Jakaś nową czy dawną? Mnie możesz powiedzieć prawdę. Nie jestem zazdrosna. Co to za krajanie, z którymi chcesz jechać?

— Pewne małżeństwo i przyjaciółka Prywy.

— Ze starego kraju, co? A kto pokryje koszty?

— Zapłacą za siebie.

— W porządku, nie moja sprawa. Chodź, pościelę ci łóżko — powiedziała.

Udaliśmy się do pogrążonego w ciemnościach pokoju Franki. Wziąłem Stefę w ramiona i staliśmy, złączeni długim pocałunkiem.

— Nie bój się, Leon śpi — powiedziała Stefa. — On zasypia od razu. Budzi się po dwóch godzinach i nie może już potem zasnąć. Mnie też budzi i leżymy, pogrążeni w swoich smutkach. Kiedy człowiek leży tak co noc, nie mogąc zasnąć — dodała Stefa — jego umysł staje się niczym składnica szaleństwa. Dobrej nocy!

W czasie tych dni — Dziesięciu Dni Pokuty między Rosz Haszana i Dniem Pojednania — czułem, że jestem napięty do granic wytrzymałości i niewiele brakuje, a pęknę. Dalej prowadziłem zgodne z naszymi zamierzeniami przygotowania do wyjazdu. Zarezerwowałem bilety na statek, który w dzień po Jom Kipur wypływał do Cherbourga. Chcieliśmy spędzić kilka dni w Paryżu, a potem polecieć do Ziemi Izraela. W Izraelu mieliśmy być następnego dnia po Simchat Tora. Kreitlerowie mieli płynąć pierwszą klasą, Budnikowie zaś, Cłuwa i ja mieliśmy bilety turystyczne. Stefa spytała, czy nie chciałbym płynąć z nimi, na ich koszt, pierwszą klasą, ale nie mogłem zgodzić się na taką propozycję. Nigdy od nikogo niczego nie przyjmowałem, pominąwszy zaproszenia na posiłki, ale i wtedy zawsze pamiętałem, by przynieść swoim gospodarzom jakiś prezent.

Zostawiłem wydawcy tekst mojej powieści w odcinkach na dwa tygodnie naprzód. Kolejne odcinki miałem przysyłać mu z Izraela drogą lotniczą. Nagrałem też, z kilkutygodniowym zapasem, audycje dla radia. Udzielałem tych samych rad wszystkim bez wyjątku: niedoszłym samobójcom, rozczarowanym stalinistom, zdradzonym mężom, kobietom chorym na raka, za-

poznanych autorom i wynalazcom, którym skradziono patent. Ten świat — przekonywałem — nie jest naszym światem, nie my go tworzymy i nie mamy możliwości, by go zmienić. Najwyższe Moce dały nam tylko jeden dar: możliwość wyboru, wolność wybierania pomiędzy jednym nieszczęściem a innym, pomiędzy jednym złudzeniem a drugim. Radziłem: najlepiej nie robić nic. Ukułem nawet swoją własną dewizę: „Nie ma niczego lepszego niż nic”. W końcu większość z Dziesięciorga Przykazań zaczyna się słowami: „Nie będziesz”. Cytowałem Gemarę: „Najlepiej siedzieć i nic nie robić”. Pouczałem moich słuchaczy, aby, przynajmniej na razie, zamieniali jedną namiętność na inną, jeden rodzaj napięcia na drugi. Jeśli nie wiesz się w miłości, przekonywałem, spróbuj skierować swoją energię na robienie interesów, znajdź sobie hobby lub oddaj się jakiejś rozrywce. Po co popełniać samobójstwo, skoro i tak nieuchronnie czeka nas śmierć? Śmierć nie jest w stanie położyć kresu ludzkiemu duchowi. Dusza, materia i energia powstały z tego samego tworzywa. Śmierć to tylko przejście z jednej sfery do innej. Jeśli wszechświat jest żywy, to tak naprawdę w jego obrębie śmierć nie istnieje. Jak można położyć kres czemuś, co jest nieskończone? To, co napęnia żyjących trwogą — śmierć — może być również źródłem bezgranicznej rozkoszy.

Kiedy tak plotłem bez zająknięcia, nagle zdałem sobie sprawę, że często sam sobie przeczę. Ale czy mogłoby to komuś wyrządzić krzywdę? Na pewno istnieje gdzieś jakaś siła, która jednoczy w sobie wszystkie przeciwieństwa i łączy je w jedną prawdę. Zacytowałem powiedzenie Spinozy, że nie ma w boskiej naturze niczego, co można by nazwać kłamstwem. Nasze kłamstwa to cząsteczki prawdy, potłuczone tablice prawa, na których słowa: „Nie będziesz” są wyryte zaledwie na jednym z odłamków kamienia. Wszystko, co możemy zrobić, to unikać, na ile to możliwe, zadawania bólu sobie samym oraz innym. Radziłem swoim słuchaczom, by wybrali się w podróż, przeczytali dobrą książkę, znaleźli sobie jakieś hobby — i nigdy nie próbowali zmieniać tego czy innego systemu, tego czy innego rządu. Nie w naszej mocy leży rozwiązywanie problemów tego świata. Wolnego wyboru możemy dokonywać jedynie w drobiazgach, sprawach, które dotyczą nas osobiście. Swoje „kazania” przyozdabiałem cytatami z Goethego, Emersona, Biblii, traktatami z Gemary i Midrasz. Kiedy skończyłem, sam poczułem się pokrzepiony.

Żydowski dziennikarze często lekceważąco pisali o tych, którzy oddają się grze w karty, ale ja byłem innego zdania. Skoro karty mogą wnieść

w czyjeś życie nieco napięcia i uciechy, mają działanie dobroczynne, nie zaś zgubne. To samo można powiedzieć o teatrze, filmach, muzyce, książkach, gazetach. Wszystko, co służy zabiciu czasu, jest dobre. Czas to pustka, którą w ten czy inny sposób musimy zapełnić.

Nie obiecywałem ani trwałego spokoju, ani lekarstwa na człowiecze neurozy i kompleksy. Przeciwnie, ostrzegałem swych słuchaczy, że nim jeden z nich uwolni się od swej nerwicy, następny pogna, by w nią wpaść. Pułapki czyhają wszędzie. Życie to jeden nieprzerwany ciąg kryzysów, jedna ciągnąca się w nieskończoność szarpanina. A kiedy mija kryzys, pojawia się nuda — udreka najgorsza ze wszystkich. Zacytowałem Schopenhauera, mojego ulubionego filozofa, choć nie zgadzałem się z nim, że świat jako wola jest ślepy. Byłem pewien, że podobnie jak Anioł Śmierci, ma tysiące oczu.

Podróż morską minęła bez pośpiechu. Nim dotarliśmy w Paryżu do hotelu, który zarezerwował nam przedstawiciel biura podróży, zapadła noc. Nie poznawałem miasta. Ten Paryż, który zapamiętałem z połowy lat trzydziestych, gdy podróżowałem do Ameryki, był wytworny, tętniący życiem, pełen gwaru — iście karnawałowy. Paryż po drugiej wojnie światowej zdawał się bezbarwny, nędzny, spustoszony, pogrążony w mrokach nocy. Padał deszcz i wiał zimny wiatr. Nawet plac Concorde stracił swój urok; zapełniały go w całości niemodne samochody, jak gdyby był już tylko olbrzymim parkingiem.

Kiedy w końcu dotarliśmy do naszego hotelu przy placu Republiki, powiedziano nam, że restauracja jest nieczynna. Strajkowali kelnerzy. Właściwie cała Francja wydawała się ogarnięta strajkiem. Związki zawodowe groziły, że wkrótce pociągi przestaną jeździć, samoloty latać, a taksówki znikną z ulic. Przepęłniało mnie tyle obaw, że nie omieszkałem dociąć Miszy.

— Musisz być chyba szczęśliwy — zagadnąłem. — W końcu do tego właśnie dąży rewolucja.

Tylko Frejdl nie straciła głowy. Zeszła do holu i choć nie знаła ani słowa po francusku, znalazła brodatego oficera amerykańskiego, który okazał się ortodoksyjnym rabinem, kapelanem wojskowym. Hotel Intellect pełen był amerykańskich Żydów. Kiedy Frejdl wyjaśniła, że podróżuje w towarzystwie osiemdziesięcioletniego, schorowanego człowieka i wraz z żydow-

skim pisarzem, Aronem Greidingerem, zdąży do Izraela, wszyscy zaofiarowali pomoc. Rabin powiedział, że jest moim wiernym czytelnikiem. Choć nie mógł przyjąć mojego punktu widzenia na problemy żydostwa, szanował wiedzę, którą zdobyłem w starym kraju. Młody człowiek, który włączył się do rozmowy, zaofiarował się, że zaprowadzi nas do pobliskiej restauracji. Czarny rynek istniał nadal. Ceny były tam wyższe, ale można było dostać wszystko, na co tylko miało się ochotę, nawet czulent z kugłem, otwarta zaś była często do późnej nocy. Młodzieniec — niski i brodaty, z kędzierzawą jak u owcy czupryną — pokazał nam drogę do restauracji. W skąpo oświetlonym zaułku wspięliśmy się po ciemnych schodach na piętro. Poczulem zapach rosołu i siekanej wątróbki.

— Ten chłopak to nikt inny, jak prorok Eljasz — zażartowała Frejdl.

Cały Paryż pogrążony był w egipskich ciemnościach, ale tutaj Żydzi siedzieli przy późnym posiłku i rozmawiali w jidysz. Z kuchni wynurzyła się kobieta ubrana w suknię i fartuch przypominające mi Polskę. Wydawało mi się nawet, że ma na głowie perukę. Powiedziała mi, że jest moją czytelniczką i że żydowskie gazety w Paryżu przedrukowują moje artykuły i powieści. Wyciągnęła do mnie wilgotną dłoń i zawołała:

— Gdyby nie to, że się za bardzo wstydzę, pocałowałabym pana!

Po wojnie rząd francuski przeznaczył pewien budynek w Paryżu dla uciekinierów-intelektualistów: pisarzy, malarzy, muzyków, aktorów, reżyserów. Większość uchodźców rozjechała się do Ameryki, Izraela lub gdzie indziej, ale niektórzy pozostali. Podczas pobytu w Paryżu, Żydowski Związek Pisarzy zaprosił mnie na spotkanie, które miało się odbyć właśnie w tym budynku. Na spotkaniu zjawili się zbrojni w oskarżenia komuniści, quasi-komuniści i lewicowcy wszelkiej maści. Kilku obecnych tam syjonistów pokrzykiwało, że pomijam w swej twórczości problemy partii politycznych, walki z faszysmem, odrodzenia Izraela, męstwa partyzantów, walki kobiet o równouprawnienie. Wszyscy po kolei wyliczali popełnione przeze mnie polityczne grzechy, a trockiści zarzucili mi nawet, że nie stanąłem po stronie Trockiego. Byłem przyzwyczajony do takich literackich konwentykli jeszcze z czasów warszawskich. Wszyscy powtarzali na okrągło wyświechtany frazes o tym, że pisarzowi nie wolno zamykać się w wieży z kości słoniowej, podczas gdy masy stoją na barykadach. Misza Budnik, który też przyszedł na zebranie, zabrał głos i wygłosił długą mowę. Czy

pisarze wiedzieli o tym, że we Włoszech Stalin wymordował walczących o wolność anarchistów? Czy mieli świadomość, że w Związku Sowieckim tysiące anarchistów zginęło w niewolniczych obozach pracy i więzieniach? Czy czytali o tym, jak potraktowani zostali w Rosji Emma Goldman i inni, kiedy przybyli tam, by głosić prawdę? Wspomniał również o Sacco i Vanzettim oraz o czwórce powieszonych w Chicago. Ktoś z sali zakrzyknął:

— Czy szanowny mówca wie, że Machno inscenizował pogromy przeciwko Żydom?

A Misza odkrzyknął:

— Machno był bohaterem!

Na sali wybuchła wrzawa i przewodniczący zaczął walić pięścią w stół. Nie pozwolił Miszy mówić dalej i ściągnięto go z podium.

Kiedy przyszła moja kolej, mówiłem krótko: stwierdziłem, że teoria wiecznego powrotu Nietzschego była słuszna. Gdybym kiedyś znów — za milion lat — był żydowskim pisarzem, nadal kruszyłbym literackie kopie jednocześnie o syjonistów i terytorialistów, nacjonalizm i asymilację, marksizm i anarchizm, Weizmanna i Zabotyńskiego, *Neturej Karta* i „Kananeyczyków”, Bund i syjonistów, prawe skrzydło Poale Syjon i lewe skrzydło Poale Syjon, Haszomer Hacair i fołkistów, chasydów z Lubawicza i chasydów z Bobowej, ortodoksów, konserwatystów, a także Żydów reformowanych. Pisałbym o nich wszystkich powieści oraz opowiadania i wiersze — w stylu naturalistycznym, realistycznym i symbolicznym, byłbym zwolennikiem futurystów, dadaistów i wszystkich innych „istów” oraz „izmów”. Niektórzy, na sali zaśmiali się i przyklasnęli mi. Inni sarkali i protestowali. Podano lemoniadę i precle. Wiekowa pieśniarka o obfitym biuście zaczęła śpiewać ludowe pieśni i nie chciała oderwać się od mikrofonu.

Kiedy cała ta zabawa dobiegła końca, wdałem się w pogawędkę z kilkoma kobietami, które przeżyły wojnę — część z nich w gettach i obozach koncentracyjnych, inne w Rosji. Wysłuchałem nowych wariacji na temat niemieckiego okrucieństwa i bolszewickiego chaosu — zwyczajne historie o aresztowaniach w środku nocy, głodzie, donosach, przepelnionych celach więziennych, zatłoczonych pociągach stojących całymi dniami, czarnorynkowym handlu, pijaństwie, złodziejstwie, grabieżach, chuligaństwie i prostytucji. Wszystko to było mi tak tragicznie znajome. Opowiedziano mi o sławnym poecie, zlikwidowanym przez Stalina; do ostatniego dnia, nim postawiono go pod ścianą i rozstrzelano, nieprzerwanie pisał ody na cześć wielkiego Towarzysza Stalina. Pewien pisarz opowiedział mi, jak w trakcie

szczerzej rozmowy przy wódce z przyjacielem wyrwało mu się, podobnie jak i temu drugiemu, jakieś nieprzychylnie słowo o Stalinie. Kiedy wytrzeźwiał, przeraził się i pognął wprost na milicję, by donieść na swego przyjaciela. Najwyraźniej jednak jego przyjaciela również ogarnął podobny strach, bo zderzyli się w wejściu do pokoju, gdzie składano donosy.

Podczas postoju w Paryżu nasza grupa rozpieczęła się. Stefa i Leon chodzili do muzeów, drogich restauracji i kawiarni. Pojechali nawet na wycieczkę autobusową do Deauville. Misza i Frejdł wybrali się na poszukiwanie anarchistów, którzy mieli swoje siedziby w dzielnicy Belleville, niedaleko naszego hotelu i ośrodka żydowskich radykałów.

Spędziliśmy w Paryżu zaledwie kilka dni, ale wydawało się, jakby minęły całe tygodnie. Dawid Korn, stary żydowski poeta klasyczny, zaprosił mnie do siebie do domu. Poprosiłem Cłwę, która nie miała w Paryżu nikogo prócz mnie, aby poszła wraz ze mną. Uwiesiła się mnie, jakby była moją żoną. Poeta, który zarabiał na życie jako korespondent nowojorskiej gazety żydowskiej, z goryczą mówił o wszystkich żydowskich przywódcach — tych z lewa, tych z prawa, syjonistach, antysyjonistach i tak dalej. Toczył osobistą wojnę z wszelkiej maści modernistami — zabijają literaturę, sprawiają, że staje się odrażająca i nudna, z poezji zaś robią parodię. Tak jak mełamed z Chełma, który prosił żonę o upieczenie ciasta bez masła, cukru, rodzynek i jaj, moderniści usiłują tworzyć poezję pozbawioną rymu, rytmu, muzyki i miłości. Dawid Korn przeprosił, że nie przybył na spotkanie ze mną.

— Nie mogę znieść tych przebrzydłych gęb i chytrych oczek. Zawzięta zgraja. Ich frazesy na temat sprawiedliwości są tak odrażające, że nawet nie warto o nich wspominać. Póki był Stalin, schlebiali mu i czcili go jak bożka. Teraz, kiedy ten łajdak Dżugaszwili nie żyje [błąd autora — przyp. red.], nie spoczną, póki nie znajdą sobie nowego Stalina. Niewolnicy potrzebują pana.

Żona Korna, młodsza od niego, zbliżyła się do stołu, niosąc jakieś pigułki i szklankę wody. Swym niemodnym ubraniem i fryzurą, jaką nosiła, przypominała mi te młode kobiety, które wytwarzały bomby dla potrzeb rewolucji.

— Dawidzie, zażyj swoje witaminy.

Dawid Korn rzucił jej gniewne spojrzenie. Wąs drgał mu jak u kocura.

— Nie potrzebuję żadnych witamin. Daj mi spokój.

— Dawidzie, lekarz ci przepisał. Musisz je brać!

— Muszę? Ci wszyscy lekarze to oszuści, zbóje, kanciarze. Te ich lekarstwa to nic innego, jak trucizna.

— Panie Greidinger, proszę zrobić mi przysługę i namówić go, by zażył te pigułki. On jest chory, bardzo chory. Ledwo żyje. Nie wolno mu się denerwować.

— Przyjacielu, proszę zrobić mi przysługę i wziąć te witaminy — powiedziałem. — Jak to się mówi? Może nie pomogą, ale zaszkodzić, nie zaszkodzą.

— Bzdury! Wymyślili je ci złodzieje, aptekarze.

Dawid Korn wziął pigułki, włożył je do ust, zrobił kwaśną minę i wypił pół szklanki wody.

— Smakuje jak poezja Majakowskiego — wymruczał.

Rankiem wsiedliśmy do samolotu lecącego do Izraela, a późnym popołudniem wylądowaliśmy na lotnisku w Lod. W porównaniu z ogromnymi lotniskami Paryża i Nowego Jorku lotnisko izraelskie robiło wrażenie prowincjonalnego. Ciążył na nim spokój szabatu. Samolot, którym przylecieliśmy, wypełniony był chasydami, studentami jesziwy, kobietami w perukach i chustkach na głowach. Jeden z pasażerów odmawiał wczesną Minchę, inny wertował tom Miszny, rudobrody rabin egzaminował młodzieńca, który miał uzyskać *heter horaw*, uprawnienia rabinackie. Wysiadających chasydów oczekiwał tłum rabinów i studentów jesziwy. Od lat nie widziałem tak długich, kręconych pejsów, sięgających dosłownie ramion. Otaczała ich jakaś aura świeżości. Pod długimi chałatami nosili krótsze spodnie, białe pończochy i trzewiki, a ich aksamitne kapelusze sprawiały wrażenie zupełnie nowych. Byli zbyt młodzi, by mogli przeżyć holocaust jako dorośli ludzie, a jednocześnie zbyt dojrzały, by urodzić się w obozach dla dipisów.

Kontrola paszportów i bagaży postępowała wolno. Od czasu do czasu celnik otwierał jakąś walizkę i zaczynał wytrząsać z niej koszule, spodnie, swetry i inne części garderoby. Właściciel z obawą przyglądał się tej grzebaninie w jego rzeczach. W końcu minęliśmy kontrolę celną. Misza targał nie tylko swoje walizki, ale również bagaże Stefy, Leona, Cłwy i moje. Chciałem mu pomóc, ale ofuknął mnie. Od razu dostrzegłem Miriam. To była ona, ale coś w jej wyglądzie uległo zmianie; nie byłem jednak w stanie

określić, co to dokładnie było. Miała na sobie białą bluzkę i czarne spodnie. Rzuciła się ku mnie z otwartymi ramionami. Wprawdzie wysłałem jej z Paryża telegram, że nie przyjeżdżam sam, ale poczułem się zakłopotany przybyciem w tak licznym towarzystwie. Miriam objęła mnie i pocałowała.

— Nareszcie jesteś — powiedziała. — Przyjechałam samochodem, Motylku.

— Skąd wzięłaś samochód?

— Dał mi go pan Treibitcher. Sam chciał przyjechać na lotnisko, ale odwiodłam go od tego zamiaru.

— Jak czuje się Max?

— Lepiej, ale jeszcze nie całkiem wyzdrowiał. Zobacysz się z nim wkrótce w Tel Awiwie.

Przedstawiłem Miriam Kreitlerom i Budnikom.

— Misza Budnik jest moim przyjacielem z dzieciństwa, jeszcze z Biłgoraja — powiedziałem. — A to jego żona, Frejdl Budnik, niezwykła kobieta.

— Pamiętam Arona z czasów, kiedy nosił rude pejsy — zagadnął Misza — i kołysał się nad Gemarą w domu nauki. Czytał wtedy potajemnie powieść drukowaną w „Der Moment”, którą trzymał pod Gemarą.

— Misza, dość — wymruczała Frejdl.

Miriam przywitała się ze Stefą, Leonem i Frejdl. Z jakiegoś powodu nie podała jednak ręki Chuwie, lecz tylko skinęła jej głową. Zagadnęła Miszę:

— Pan też był studentem jesziwy?

— Zajmowałem się w tamtych czasach przemytem. Ale miałem w zwyczaju wpadać co wieczór do domu nauki, żeby trochę pogawędzić. Uwielbiałem słuchać fantazjowania Arona.

Miriam odeszła i powróciła za chwilę ogromnym samochodem, który nie był jednak wystarczająco duży dla sześciu osób z bagażami, nie licząc kierowcy. Stefa zaproponowała, że weźmie z Leonem taksówkę, i ledwo wymówiła te słowa, a już jak spod ziemi wyrósł przed nami *nehag* — jak w Izraelu mówi się na kierowców. Stefa spytała Miriam o nazwę hotelu, a Miriam odparła:

— Max zatrzymał się w małym hoteliku. Nie sądzę, żeby był odpowiedni dla pani, pani Kreitler. W pobliżu jest większy i nowocześniejszy hotel.

— Świetnie. Mój mąż jest nie najlepszego zdrowia. Musi mieć łazienkę i całą resztę. Czy w tym hotelu jest restauracja?

— Doskonała.

— Potrzebujemy też lekarza.

— W Tel Awiwie jest więcej lekarzy niż pacjentów.

Zauważyłem, że Miriam i Stefa przypadły sobie do gustu. Od razu zaczęły swiergotać po polsku. Cłwę Miriam zignorowała całkowicie.

— Gdzie się zatrzymamy? — spytała Frejdl.

— Przy ulicy Hayarkon. Na Wielkie Świąta przyjechało tu mnóstwo Żydów, ale większość z nich już wróciła do domu. Dla wszystkich znajdują się pokoje.

— Proszę pani, jedziemy czy zostajemy tutaj? — zapytał taksówkarz.

— Jedziemy. Na ulicę Hayarkon — odparła Miriam.

Miriam stała się już Izraelką. Nawet po hebrajsku mówiła z sefardyjskim akcentem. My byliśmy przy niej żółtodziobami. Taksówkarz odjechał jako pierwszy, pomógłszy uprzednio Kreitlerom umieścić bagaż. Budnikowie i Cłwa wsiedli do samochodu Chaima Joela Treibitchera; ja zająłem miejsce obok Miriam. Walizki wsadziliśmy do bagażnika, a kilka małych pakunków trzymaliśmy na kolanach. Zapytałem:

— Dlaczego Treibitcher przysłał swój samochód?

— Chaim Joel robi dla Maxa, co tylko możliwe. Jest też twoim gorącym wielbicielem. Gdyby nie on, Max by się tutaj wykończył. Treibitcher ściągnął najlepszych lekarzy i wynajął dyżurujące przez całą dobę pielęgniarki. Jest tutaj pół Warszawy. Maxowi nie podoba się Jerozolima.

— Dlaczego?

— Wydaje mu się zbyt święta. On jest *meszuga*, jak zawsze, ale uroczy.

Samochód mknął przed siebie, a ja siedziałem i przyglądałem się domom, palmom i cyprysom oraz garażom. Żydowscy żołnierze — zarówno chłopcy, jak i dziewczęta — stali wzdłuż drogi z wyciągniętymi kciukami w nadziei, że uda im się podjechać kawalek. Był sam środek upalnego dnia, z błękitnym, pozbawionym choćby jednej chmurki niebem. Wszystko iskrzyło się w słońcu, jak gdyby światło świeciło siedmiokroć jaśniej niż w czasach diaspory. Przybyłem do Ziemi Izraela, ziemi, do której moi przodkowie tęsknili przez dwa tysiące lat.

Stefa i Leon zajęli dwa pokoje w hotelu Dan. Budnikowie zamieszkali w hotelu przy ulicy Ben Jehudy, w pobliżu Hayarkon. My z Cłwą wynajęliśmy pokoje w niewielkim hoteliku, w którym zatrzymali się Max i Miriam. Max zmienił się całkowicie — stracił na wadze prawie dwadzieścia kilo, broda mu posiwiiała, a twarz miała ziemisty odcień. Miriam każdą noc spędzała obok niego. Powiedziała mi, że Prywa mieszka w Jerozolimie. Postawiła Maxowi ultimatum: albo ona, albo Miriam, i Max wybrał Miriam.

— Obawiam się jednak, że nie na długo — powiedział. — Jestem już bardziej tam niż tutaj — i pokazał palcem na niebo.

Zrobiłem potworny błąd, decydując się zabrać z sobą całą piątkę. Cłwa chciała być z Prywą, a nie z Maxem, i kilka dni po naszym przybyciu wyjechała do Jerozolimy. Poinformowała mnie, że Prywa poznała w Jerozolimie zamożną wdowę, która urzęduje seanse spirytystyczne. Zamierzały wydawać dziennik, w połowie po hebrajsku, w połowie po angielsku. Zatelefonowała Prywa, pragnąc donieść mi, że wszystkie jej okultystyczne moce powróciły i są w Jerozolimie silniejsze, niż były kiedykolwiek przedtem. Ona i jej protektorka, pani Glitzenstein, wywołały ducha doktora Herzla, hebrajskiego pisarza i męczennika Josefa Chaima Brennera, Maxa Nordaua i Ahada Ha-Ama. Najciekawszym z nich okazał się Max Nordau. Ten głośny materialista, który szydził z każdej religii i nawet mistrzów literatury uważał za szaleńców i zwyrodnialców, teraz przyznał, że był w błędzie i wszystkie jego dzieła, zwłaszcza zaś dwie książki, *Zwyrodnienie* i *Paradoksy*, powinny zostać spalone. W zaświatach spotkał włoskiego Żyda, materialistę Lombroso, który napisał, że geniusz chodzi w parze z obłędem. Teraz obaj błagają o przebaczenie duchy tych, których niegdyś atakowali, między innymi ducha polskiego medium, Kluskiego, oraz włoskiego, Paladiny. Prywa powiadomiła mnie również, że skontaktowała się ze zmarłą żoną Maxa i jego dwiema córkami, które zginęły z rąk nazistów.

Frejdl Budnik była urzeczona Izraelem, ale Misza popsuł jej całą radość. Od dnia przyjazdu wyrzekał i sarkał na państwo żydowskie. Nic mu się nie podobało. W restauracji, gdy kelner odmówił mu podania kawy ze śmietanką pod koniec posiłku, w trakcie którego serwowano mięso, narobił straszego szumu. Kiedy właściciel wyjaśnił mu, że takie jest prawo tego kraju, Misza zaczął pokrzykiwać, że to faszystowskie prawo. Frejdl wybrała się na spotkanie ze swoimi krajanami z Izbicy, Gorzkowa, Krasnegostawu. Niektórzy zapomnieli już jidysz i mówili między sobą po hebrajsku, o co Misza miał do nich pretensje. Zaprosiłem Frejdl i Miszę na obiad do hotelu

Dan, w którym zatrzymali się Stefa i Leon. Podczas obiadu Misza zwymyślał mnie za to, że przywiozłem ich do kraju rządzonego przez teokratów. Chciał wiedzieć, dlaczego w Ameryce Żydzi żądają oddzielenia Kościoła od państwa, skoro w Izraelu człowiek jest zmuszany do spożywania koshernego jedzenia, a panna młoda przed ślubem musi iść do mykwy? Misza uderzył pięścią w stół. Domagał się zobaczenia z maszgiachem, człowiekiem odpowiedzialnym za koszerność potraw, i zażądał, by jemu, Miszy, podano szynkę. Ósmego dnia Budnikowie wrócili do Ameryki. Frejdl, żegnając się, płakała. „Jakby opętał go jakiś dybuk” — powiedziała o Miszy.

Rzecz zastanawiająca, ale ja sam czułem, że nie jestem tym samym człowiekiem co przedtem. Jaka była natura tej zmiany i czy miała ona coś wspólnego z tutejszym klimatem? Być może było to związane z tysiącami lat żydowskiej historii. Czyżby władowały tutaj duchy starożytnych Żydów — kapłanów, Lewitów, przywódców różnych plemion, Hasmonejczyków, Saduceuszy i innych nieznanych sił, o których my, Żydzi z diaspory, dawno zapomnieliśmy albo i nigdy ich nie znaleźliśmy? Max zestarzał się tutaj.

Miriam zaczęła używać w rozmowie hebrajskich słów i zwrotów. Podejrzewałem, że jidysz nie interesuje jej już tak, jak w Nowym Jorku. Wciąż jeszcze nazywała mnie Motylkiem, wciąż obejmowała mnie i całowała, ale teraz, kiedy Max chorował i najwyraźniej nadal był impotentem, nie pragnęła już mnie. Zawsze znajdowała jakąś wymówkę. Czyżby miała żal, że przywiozłem z sobą Cłwę i Kreitlerów? Czułem czasem, że przyjaźń Maxa też jakby ochłodziła. Natomiast Leon przylgnął do mnie bardziej niż kiedykolwiek. Nieustannie zapraszał mnie na lunch albo na obiad. Dalej otrzymywał gazetę, dla której pisałem, i wciąż miał ochotę rozmawiać o każdym kolejnym odcinku mojej powieści. Jego zdrowie poprawiło się i Leon utrzymywał, że powietrze Tel Awiwu wywiera nań dobroczynny wpływ. Wyraził nawet ochotę zakupienia tutaj domu i dożycia swych dni pośród Żydów.

Okno mojego pokoju wychodziło na ulicę Hayarkon, z balkonu zaś rozciągał się widok na morze. Wieczorami często siadywałem na balkonie i dokonywałem rozrachunku ze swoim życiem. Przybyłem do Erec Israel, aby połączyć się z ukochaną kobietą, i zabrałem z sobą trzy kobiety, z którymi miałem romanse, jednak zrzędzeniem losu po raz pierwszy od wielu lat żyłem w celibacie. Miriam spała przy Maksie, Cłwa była w Jerozolimie, Frejdl i Misza wrócili do Nowego Jorku, a Stefa była bez reszty oddana swojemu mężowi.

Żydzi polscy wydawali w Tel Awiwie polski tygodnik, niemieccy Żydzi — tygodnik niemiecki, węgierscy — gazetę węgierską, a rumuńscy — rumuńską. W witrynach księgarń przy ulicach Ben Jehudy i Dizengoffa można było znaleźć nowe wydania książek we wszystkich językach. Budziłem się czasem w środku nocy, siadałem na krześle na moim balkoniku i wpatrywałem się w usiane gwiazdami niebo i morze. W Nowym Jorku zapomniałem, że na niebie są gwiazdy. Ale nad Tel Awiwem rozciągał się wszechświat pełen gwiazd, planet i wszystkich tych niebiańskich cudowności. Powietrze przesycone było zapachem winnic, drzew eukaliptusowych, cyprysów i innych woni, które zdawały mi się jakby znajome i zarazem nowe. Wiał ciepły wietrzyk, niosący z sobą aromaty, dla których nie byłem w stanie znaleźć odpowiednich nazw.

To morze, które miałem przed oczami, nie było po prostu i zwyczajnie wodą, ale *Hajam Hagadol*, czyli Wielkim Morzem, morzem, którym Jonasz uciekł od Boga, aby uniknąć głoszenia przepowiedni o zburzeniu Niniwy. Statek, którym Juda Halevi — największy hebrajski poeta wieków średnich — przybył do Ziemi Izraela, płynął właśnie po tym morzu. Po nim pływały okręty kupieckie, do których przyrównano Dzielną Niewiastę w Księdze Przypowieści. Fale skrzyły się w świetle księżyca i sam Bóg czuwał nad Tel Awiwem. W ciszy dosłyszeć można było echo słów proroka: „Widzenie Izajasza, syna Amosa, które miał w sprawie Judy i Jerozolimy w czasach...”. Niedaleko niepoczieszona Rachela wciąż opłakiwała swoje dzieci. Wokół czaili się Filistyni, Ammonicy, Moabicy, Aramejczycy, Kananejczycy, Amorycy, Chetycy, Jebusyci, Girgaszyci — wszyscy w oczekiwaniu na wznowienie odwiecznej wojny przeciw Bogu i Jego ludowi wybranemu.

Któregoś dnia przyszedł zobaczyć się ze mną pewien pisarz. Przyniósł jedno z moich opowiadań, przetłumaczone na hebrajski. Gdy poprawiłem przy nim ów przekład, zadał mi pytanie:

— Skoro jest pan tak biegły w hebrajskim, czemu nie pisze pan po hebrajsku, zamiast w jidysz? Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że jidysz wymiera, hebrajski zaś wraca do życia.

— To, że umiera, w moich oczach nie przesądza o niczym — odparłem. — Starożytni Grecy też wymarli, podobnie jak Rzymianie. Hebrajski był językiem martwym przez dwa tysiące lat. My wszyscy, którzy dzisiaj żyjemy, prędzej, czy później staniemy się martwi.

Otworzył usta, jakby chciał coś odrzec, ale w końcu nie powiedział nic. Zabrał swój rękopis i wyszedł.

Nie był odosobniony w swoich sądach. Takie same stwierdzenia słyszałem od innych pisarzy i uczonych. Mógłbym bez trudu przyswoić sobie nowoczesny hebrajski i sefardyjską wymowę. Zwykle jednak odpowiadałem w następujący sposób: „Moja matka mówiła po żydowsku. Moje babki i dziadowie mówili po żydowsku, wszyscy aż po *Syfthe Kohen* i rabina Mosze Isserlesa. Skoro jidysz był dość dobry dla Baal Szem Towa, Gaona z Wilna, rabina Nachmana z Braclawia, dla milionów Żydów, którzy zginęli z rąk hitlerowców, jest też dobry i dla mnie”.

„Jidysz to w osiemdziesięciu procentach niemiecki, a niemiecki jest językiem nazistów” — usłyszałem kiedyś od kogoś. „A hebrajskim mówili nasi wrogowie — Ammonici, Moabici, Filistyni, Medianici, a może i Amalekici. Aramejskim, językiem Zoharu i Gemary, mówił Nabuchodonozor i Hamilkar” — odparłem.

W Izraelu zaczęła się pora deszczowa. Zdrowie Maxa uległo poprawie i mógł już chodzić z pomocą laski. Często wraz z Miriam siadywaliśmy przy kawiarnianym stoliku na Dizengoffa, popijając kawę i gawędząc. Wyglądało na to, że Stefa i Leon kupią dom i zamieszkają w Tel Awiwie. Ja sam nie mogłem już tutaj dłużej zostać. Dostarczyłem ostatni rozdział powieści dla „Forwerts” i jakoś nie byłem w stanie zdecydować się na temat nowego utworu.

Chaim Joel Treibitcher przygotowywał przyjęcie w swoim nowym domu. Ponieważ nie poszliśmy z Miriam na jego przyjęcie w Nowym Jorku, wiedzieliśmy, że tym razem nie możemy zawieść. Rozeszła się wieść, że Chaim Joel poznał w Hajfie bogatą wdowę, amerykańską milionerkę, z którą zamierza się ożenić. Jego nowy dom położony był przy alei Rotszylda i Max żartował, że ulica zostanie teraz przemianowana na aleję Treibitchera. Chaim Joel opowiedział wszystko Maxowi o wdowie, pani Beigleman, która dosłownie spała na pieniądzach. Jej zmarły mąż pochodził z Afryki Południowej. Był właścicielem kopalni złota i wybudował drapacze chmur w Nowym Jorku, Chicago, Los Angeles i Houston. Choć szczęście mu sprzyjało, dostał zawału serca i zmarł. Pani Beigleman poznała Maxa. Oczarował ją jego dowcip, wdzięk, prawione przez niego komplementy i opowieści o Warszawie. Poleciała pewnego lekarza z Nowego Jorku, który operował jej męża.

Pani Beigleman, której spodziewano się na przyjęciu Chaima Joela, była potężną kobietą, miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, nos jak *szofar* i zęby kozła. Kiedy mówiła, jej głos pobrzmiwał głębokim altem. Stefa szepnęła mi po cichu na ucho: „Mogłaby połknąć Treibitchera i nikt by się o tym nigdy nie dowiedział”.

Zdawało się, że pasja twórcza mnie opuściła i nie miałem najmniejszej ochoty rozpoczynać nowej powieści. Po raz pierwszy od wielu lat chciałem trochę odpocząć. Czułem się zmęczony i dolegał mi skurcz nadgarstka — dobrze znana przypadłość pisarzy. Opuściło mnie też pożądanie wobec Miriam. Z jakiegoś trudnego do wyjaśnienia powodu odczuwałem lęk na myśl o nadchodzącym przyjęciu Treibitchera.

Chaim Joel zadzwonił do mnie do hotelu i uprzedził, żebym pamiętał o tym przyjęciu i nie spóźnił się. Kiedy spytałem go, dlaczego to takie ważne, odparł:

— Nie mogę ci teraz powiedzieć, ale w pewnym sensie to przyjęcie jest dla ciebie. Nie bój się. Nikt nie ukoronuje cię dynią ze świecami, jak to się przytrafiło bohaterowi twojego opowiadania. — Chciałem zbesztać Chaima Joela za to, że układa plany, nie pytając o zdanie osoby, której cała rzecz dotyczy, ale on powtórzył: — Tylko, na Boga, nie spóźnij się. — I odłożył słuchawkę.

W Tel Awiwie padały deszcze i zrobiło się zimno. Gazety doniosły, że na pustyni Negew rzeki nagle wystąpiły z brzegów. Suchy dopiero co ląd w jednym momencie zalały rozszalałe potoki, porywając z sobą ludzi, wielbłądy, owce. Niedaleko Tel Awiwu utworzyły się tak głębokie rozlewiska, że kobiety i dzieci, a także starsi ludzie nie byli w stanie się przez nie przepawić. Młodzi ludzie samorzutnie przenosili przechodniów na ramionach. Kilkakrotnie w ciągu nocy wysiadała elektryczność; Tel Awiw był pogrążony w egipskich ciemnościach. Nawet w nowoczesnym hotelu Kreitlerów z jakiegoś powodu nie było zimnej wody. Telefony nie działały jak należy; w samym środku mojej rozmowy z Leonem połączenie zostało przerwane.

Prywa przyjechała właśnie do Tel Awiwu wraz z Cłuwą, jednak nie po to, żeby zobaczyć się ze swoim chorym mężem, lecz by wziąć udział w przyjęciu Chaima Joela. Wskutek tego Miriam musiała opuścić pokój Maxa i zamieszkała ze mną. Była rozżalona i odgrażała się, że nie pójdzie na przyjęcie.

— Nie możemy znów tego zrobić! — zawołałem.

— Ty musisz pójść. Nie wiesz, że masz otrzymać nagrodę literacką? — Okazało się, że pani Beigleman ustanowiła nagrodę imienia swego nieżyjącego męża, w wysokości pięciuset dolarów. — Treibitcher zamierza dołączyć do tego nagrodę w tej samej wysokości, imienia Matyldy, tak więc twoja nagroda wyniesie tysiąc dolarów! — Miriam na myśl o tym zaśmiała się cicho. Potem dodała poważnym tonem: — Już od wielu dni chciałam porozmawiać na ten temat, Motylku, ale brakowało mi odwagi. Jesteś dla mnie dobry, ale zbyt młody, by być dla mnie tym, kim jest dla mnie Max.

— Zbyt młody? Przecież jestem od ciebie starszy o dwadzieścia lat!

— Zbliżam się do trzydziestki i chciałabym mieć dziecko, zanim złożą mnie do grobu. A jeśli mam je mieć, teraz jest odpowiedni czas. Co miesiąc, kiedy dostaję okres, mam uczucie, że tracę ostatnią szansę. Żaden mężczyzna nigdy tego nie zrozumie. My wszystkie mamy takie głupie fantazje. Napisałeś kiedyś opowiadanie — właściwie było to wspomnienie — o matce swojego przyjaciela, która co dwa lata rodziła dziecko, chłopca. I każdemu z nich, lulając w kołysce, śpiewała, że pewnego dnia, gdy dorośnie, zostanie rabinem. Pamiętasz?

— Tak, to była matka mojego przyjaciela, Izaaka. Żaden z tych jej synów nigdy nie dorósł. Wszyscy umarli w niemowlęctwie, ale ona nigdy nie przestawała śpiewać swojej piosenki: „Mojszele zostanie rebele, Berele zostanie rebele, Chazkele zostanie rebele”.

— Wspominam o tym opowiadaniu w mojej pracy — powiedziała Miriam. — Po co się żyje, jeśli nie po to, by dać życie komuś, kto będzie godny imienia Człowieka? Po cóż cały ten seks, cała ta miłość i namiętność? To, co czuję, jest silniejsze od praw logiki. Możesz mi nawet powiedzieć, że jestem bezwstydna. Przywołałeś kiedyś pewne określenie z Gemary. Nie pamiętam go już, ale oznaczało kobietę, która żąda seksu. Napisałeś, że można rozwieść się z taką kobietą bez odebrania kontraktu ślubnego. Czy to prawda?

— Tak mówi Gemara.

— W porządku, ale skoro nie jestem twoją żoną i nie mam ślubnego kontraktu, nie możesz się ze mną rozwieść i nie możesz mi go odebrać. Pamiętasz przysięgę, którą ci złożyłam?

— Pamiętam wszystko. Ale co zrobisz, jeśli się nie zgodzę — poszukasz sobie innego ojca?

— Powiedziałam już, że nie złamię mojego ślubu. Jeśli nie dane mi jest zostać matką, chcę to wiedzieć i się z tym pogodzić. Nie musisz mi teraz dawać odpowiedzi. Powiedz mi tylko, jak długo mam czekać. Nie chcę żyć przez cały długi rok w takiej niepewności.

— Będziemy mieli dziecko.

Siedzieliśmy w milczeniu, bez słowa. Byłem zdumiony tym, co powiedziałem, a Miriam tym, co usłyszała. Patrzyła na mnie tak, jakby miała ochotę śmiać się i płakać jednocześnie.

W końcu nadszedł dzień przyjęcia. Max utrzymywał, że Chaim Joel zaprosił setki gości, „połowę” Erec Israel, i że kosztowało go to majątek. Zaniósłem swój nowy garnitur do prasowania i kupiłem na tę okazję nową koszulę i krawat. Miriam wybrała się ze mną po zakupy i namówiła mnie także na kupno nowych butów. Odkąd wróciła Prywa, nikt Maxa nie odwiedzał, nawet Miriam. Czuwały przy nim tylko Prywa i Cłuwa.

Zadzwoił Chaim Joel i powiedział, że wyśle po mnie taksówkę. Po Maxa, Prywę i Cłuwę wyśle swój samochód. Wymienił długą listę zaproszonych dostojników, między innymi ministrów, członków Knesetu, oficerów wojska, autorów, wydawców, uczonych z uniwersytetów Rehovot i w Jerozolimie oraz aktorów z Habimy, Narodowego Teatru w Tel Awiwie i innych teatrów izraelskich.

Przyjęcie miało się rozpocząć od stołu szwedzkiego. Miriam, jakkolwiek konsekwentnie umniejszała wagę tego wydarzenia, starannie się do niego przygotowała. Zrobiła sobie nawet specjalną fryzurę, czego nigdy w Nowym Jorku nie widziałem. Chaim Joel wydrukował wytworne zaproszenia, w których wymienił moje nazwisko i zapowiedział wręczenie mi nagrody literackiej. Kazał sporządzić również coś w rodzaju dyplomu, z wypisaną na pergaminie, po hebrajsku i w jidysz, laudacją.

Poprzedniej nocy padało, ale teraz deszcz ustał i niebo się rozjaśniło. Wyszedłem na balkon, by przyjrzeć się zachodowi słońca. Miałem wrażenie, że słońce w Erec Israel nie było takie samo jak w Polsce albo w Ameryce. Unosiło się, złociste, na równi z lustrem wody, przypominając mi Jom Kipur o zmierzchu, przed *neilą*, modlitwą odmawianą o zachodzie słońca. Świętość zdawała się unosić nad wodami. To było morze Biblii, albowiem „ci, którzy na statkach ruszyli na morze, aby uprawiać handel na ogromnych wodach, ci widzieli dzieła Pana i Jego cuda wśród głębin”. To było

morze proroka Jonasza, morze z Księgi Hioba. W pobliżu leżały Tyr, Sydon, Tars. To nie był zwykły zachód słońca, taki jaki widywałem w Biłgoraju, Warszawie czy na Riverside Drive w Nowym Jorku. To słońce naprawdę zanurzało się w morzu, tak jak napisano w Gemarze i Midraszach.

Ogromny dom Chaima Joela, położony na przedmieściach Tel Awiwu, wypełniony był gośćmi. We wszystkich pokojach tłoczyli się ludzie — kwiat kobiecej urody, męskiego talentu, obywatelskiej cnoty, a nawet filantropii. Nigdy dotąd nie byłem świadkiem czegoś podobnego. Wciąż pamiętano przyjęcia wydawane przez Chaima Joela w Berlinie, gdzie mieszkał jeszcze na rok przed dojściem Hitlera do władzy. W tamtych czasach rolę gospodyni pełniła Matylda. To przyjęcie zdawało się całkowicie swobodne i nieco przy tym chaotyczne. Chaim Joel przywitał mnie krótko w drzwiach wraz ze swą przyszłą żoną. Miał na sobie smoking, który nadawał jego niewielkiej postaci komiczny wygląd cyrkowego karła. Obok niego stała potężna kobieta, obwieszona biżuterią, w sukni mieniącej się złotymi cekinami, z farbowanymi rudymi włosami zaczesanymi tak wysoko, jakby miała na głowie wieże. Powitali nas uprzejmie, jednak ogłuszający hałas pochłoniął ich słowa. Można było usłyszeć wszystkie możliwe języki świata — żydowski, hebrajski, angielski, niemiecki, francuski, rosyjski, polski, węgierski. Miriam chwyciła mnie pod ramię i przekroczyliśmy próg. Kelnerzy i kelnerki roznosili tace pełne rozmaitych przysmaków. Grupki gości gromadziły się wokół bufetu uginającego się pod ciężarem jadła i napojów. Zobaczyłem jakiegoś nieznajomego, który był uderzająco podobny do doktora Herzla — ta sama broda, te same oczy, ta sama blada arystokratyczna twarz. Zderzyłem się z jakimiś ludźmi, którym byłem najwyraźniej znany. Witali się ze mną i ściskali moją dłoń, wrzeszcząc mi do ucha niezrozumiałe słowa. Od czasu do czasu ktoś usiłował przekrzyczeć tłum, stukając łyżeczką w szklankę i prosząc o spokój, ale bez powodzenia. Powietrze było nagrzane i w domu zrobiło się niesamowicie gorąco. Miriam szepnęła mi do ucha:

— Wyjdźmy stąd.

Przepychaliśmy się z pokoju do pokoju, aż w końcu natrafiliśmy na sypialnię.

Dwa szerokie łoża zarzucone były stosami marynarek i żakietów. Na wierzchu jednej ze stert leżał aksamitny kapelusz rabinacki. Wcześniej już zauważyłem kilku brodatych mężczyzn, ubranych w długie, proste kapoty

i w myckach na głowach. Słyszałem, że poza różnymi instytucjami Chaim Joel wspiera również jesziwy w Safet i Jerozolimie. W tym pokoju było cicho. Podeszedłem do krzesła stojącego przy ścianie. Miriam zawołała:

— Jestem głodna, Motylku. Byłam głupia, sądząc, że posadzą nas przy stole i dadzą jeść.

— Może dadzą. Cierpliwości.

— Muszę odszukać Maxa. Zostań tutaj.

— Tylko nie zapomnij wrócić.

Usiadłem w różowym fotelu. W kieszeniach spodni miałem dwie czyste chusteczki, które były już mokre od wycierania twarzy z potu. Miriam przesłała mi całusa i zginęła w zgiełku i wrzawie. Kiedy otworzyła drzwi, usłyszałem jakby ryk tysiąca gardeł. Pokój pełen był cieni, rzucanych przez jedyną lampę. A więc to jest sypialnia milionera, pomyślałem. To tutaj będzie spał z tą olbrzymką, choć od śmierci jego żony upłynęło tak niewiele czasu. Chciało mi się jeść, a jednocześnie czułem się nasycony. Mój żołądek zdawał się napęczniały, usta wypełniał mi słodkawo-gorzki płyn.

„Jak oni chcą wręczyć mi nagrodę w samym środku takiej orgii?” — zastanawiałem się. „W jaki sposób w ogóle mnie znajdą?”. Dobrze mi było w samotności. Nie chciałem ich pieniędzy ani zaszczytów.

„Ożenić się, zostać ojcem?” — powątpiewał mój dybuk. „Spłodzić drugiego takiego Arona Greidingera, drugiego Maxa, Miriam, Chaima Joela Treibitchera czy może nawet drugą taką niewiastę, jak jego przysłała żona?”. Nikt nigdy się nie dowie, co może powstać z kombinacji jego genów. Zacząłem rozglądać się za czymś do czytania, jakąś książką, czasopiśmie czy gazetą, chcąc uwolnić się od własnych myśli, ale nic nie udało mi się znaleźć. Położyłem głowę na oparciu fotela i przymknąłem oczy.

Zawsze, ilekroć znalazłem się w tłumie, popadałem w mroczny nastrój. Jedną osobę, nawet dwie lub trzy, znosiłem dobrze, ale większe zgromadzenia ludzkie zawsze napępiały mnie lękiem. Tłum może stać się nieobliczalny; to motłoch jest autorem wojen, rewolucji, inkwizycji, wygnań, krucjat. Przerażała mnie nawet grupa chasydów czy tłum żałobników. To gawiedź stworzyła Złotego Cielca i oddawała mu cześć; to motłoch skazał na wygnanie Spinozę; w 1905 roku tłuszcza złożona z żydowskich rewolucjonistów napadła i zamordowała sklepikarza z Krochmalnej, zarzucając mu, że jest kapitalistą. To motłoch palił Żydów, heretyków i czarownice, linczował

Murzynów, podkładał ogień pod domostwa, rabował, gwałcił, a nawet mordował maleńkie dzieci.

Zaczynałem już drzemać, kiedy drzwi otworzyły się nagle i dobiegł mnie gwar głosów. Do pokoju weszła Miriam w towarzystwie Chaima Joela Treibitchera, Maxa i Stefy. Zadrzałem i oprzytomniałem. Max w smokingu prezentował się nieźle. Ufarbował brodę, która znowu była czarna. Zawołał tubalnym głosem:

— Dlaczego chowasz się tutaj niczym panna na wydaniu? Przyszliśmy po ciebie!

— No, poza wszystkim, jesteś honorowym gościem dzisiejszego wieczoru — zawołał Treibitcher.

— On chce nam pokazać, jaki jest skromny — powiedziała Stefa i wyczułem z jej głosu, że i ona jest trochę pijana. Miriam trzymała kieliszek w dłoni, jej oczy błyszczały upojnym szczęściem.

Chaim Joel chwycił mnie pod ramię i oprowadził po swoim wielkim domu. Pokoje nie były już tak zatłoczone jak przedtem. Wieczór był ciepły, więc bufet i stoły z napitkami wystawiono na zewnątrz. Dom Chaima Joela był otoczony olbrzymim ogrodem. Miriam podała mi talerz z jedzeniem i znalazła nawet krzesło. Lampy rzucały tajemnicze światło na drzewa, trawę i twarze gości. W powietrzu unosiły się zapachy jesieni i wiosny zarazem. Nie byliśmy już w Tel Awiwie, lecz na królewskim dworze, gdzieś w Indiach, Persji lub w głębi Afryki. Przypomnił mi się dwór królewski w Suzie, na którym król Achaszweros ucztował wraz ze swoimi niewolnikami, dostojnikami i ministrami. Rozweselony winem postanowił pokazać piękną Waszti, swoją żonę, podczas gdy obok leżały jego konkubiny, pilnowane przez eunuchów. Jadłem i popijałem słodkie wino, przyniesione mi przez Miriam; goście — zarówno mężczyźni, jak i kobiety — podchodzili i witali się ze mną. Zapewniali, że czytali wszystko, co napisałem. Dwie książki zostały już przetłumaczone na hebrajski; moje opowiadania były publikowane w hebrajskich i żydowskich czasopismach, a czasem i w prasie codziennej. Tel Awiw to nie Nowy Jork, gdzie pisarz może przeżyć całe życie, wydać mnóstwo książek i pozostać nieznany. Tutaj ludzie czytają wszystko i wiedzą, co w trawie piszczy.

Tego wieczora po raz pierwszy w życiu zaznałem smaku sławy. Wywołano mnie po nazwisku i usadowiono przy stole pośród dostojników. Chaim Joel wręczył mi ozdobny zwój pergaminu i kopertę zawierającą czek. Powiedział o mnie kilka zdań po żydowsku. Potem ktoś wygłosił po hebrajsku

mowę na temat mojej twórczości. Miriam, Stefa i przyszła żona Chaima Joela pocałowały mnie w policzek. Miałem wrażenie, że jestem pijany. Mimo to udało mi się podziękować Chaimowi Joelowi i jego gościom i powiedzieć kilka słów na temat losu Żydów i języka jidysz. Przyjęto je oklaskami. Pamiętałem też o tym, by wspomnieć o swojej przyjaźni z Maxem i Miriam, kobietą, która pisze na amerykańskim uniwersytecie pracę o mojej twórczości. Po raz pierwszy w życiu przemawiałem publicznie.

Po wręczeniu nagrody zaproszeni goście skupili się w małych grupkach. Usłyszałem znów dysputy wokół odwiecznych pytań: Co znaczy być Żydem? Jaka jest rola Żydów z diaspory teraz, kiedy powstało żydowskie państwo? Profesor pochodzący z Polski skarżył się, że Żydzi niemieccy całkowicie opanowali uniwersytet w Jerozolimie i zamykają dostęp uczonym o polskich i rosyjskich korzeniach. Debatowano też o sytuacji politycznej. Tak niewielu było Żydów w Erec Israel — zaledwie trzecia część liczby Żydów mieszkających w Ameryce — a i oni podzieleni byli pomiędzy różne partyjki — półlewicowców, lewicowców w trzech czwartych, a nawet komunistów. Chociaż Rosja głosowała na forum Narodów Zjednoczonych za powstaniem państwa żydowskiego, Chruszczow zaczął skłaniać się w swych sympatiach ku Egiptowi, Syrii, Jordanii, a nawet ku terrorystom palestyńskim. Małeńki naród był ze wszech stron otoczony przez wrogów. Rabin z białą brodą i młodzieńczą twarzą przekonywał kilku młodych ludzi w jarmułkach.

— Cała idea Erec Israel ma swoje źródło w Biblii, w naszych świętych księgach. Ale skoro gaśnie wiara we Wszechmocnego i Opatrzność, jak Żydzi mogą być Żydami, a Erec Israel żydowskim państwem? Równie dobrze mogliby wybrać Ugandę lub Syrię. Ta nasza nowoczesność to nic innego, jak głupota i niewiedza. Rabin Kook miał racje, kiedy mówił...

Słuchałem w skupieniu, pragnąc dowiedzieć się, co powiedział rabin Kook, ale ktoś delikatnie pociągnął mnie za ramię. Była to niewysoka, rozłożysta kobieta w średnim wieku, o czarnych oczach. Jeszcze zanim otworzyła usta, wiedziałem, że to Żydówka z Polski, ofiara hitleryzmu. Zwróciła się do mnie po żydowsku:

— Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam. Jestem pana czytelniczką... Muszę opowiedzieć panu o pewnej sprawie, ale w spokoju. Czy możemy gdzieś usiąść i porozmawiać?

— Chodźmy, znajdziemy jakieś miejsce.

Pokoje stopniowo zaczęły pustoszeć. Znaleźliśmy jakiś pokój, w którym nie było gości, i przysiedliśmy w kącie.

— Sprawa, o której chcę z panem porozmawiać, jest niezmiernie ważna — zaczęła. — Zastanawiałam się cały wieczór, czy w ogóle podejść do pana. Jestem kuzynką żony Chaima Joela, Matyldy, niech spoczywa w pokoju. Moja córka chodziła w Warszawie do gimnazjum razem z Miriam Zalkind. Mojej córki nie ma już, niestety, pomiędzy żywymi. Miriam nie poznała mnie — nic w tym zresztą dziwnego. W tamtych czasach byłam jeszcze dość młoda, ale teraz nie jestem już ani młoda, ani zdrowa. Wysłałam niedawno ze szpitala po poważnej operacji.

— Jak się pani nazywa? Miriam ucieszy się, jak się o pani dowie.

— Nie chcę, żeby się o mnie dowiedziała. Dobrze, że mnie nie poznała.

Kobieta potrząsnęła głową i ciągnęła z drżeniem w głosie:

— Błagam pana, niech się pan na mnie nie gniewa. To, co chcę powiedzieć, nie będzie dla pana miłe, ale czuję, że powiedzenie tego wszystkiego uznanemu pisarzowi żydowskiemu jest moim obowiązkiem.

Zdałem sobie sprawę, że ta kobieta wie o prowadzeniu się Miriam, jej rozwiązłym życiu, a może i o tym, co Miriam robiła po stronie aryjskiej. Odparłem:

— Tak, rozumiem, ale chcę, aby pani wiedziała, że nie nam sądzić tych, którzy przeżyli zagładę. To znaczy nie mnie sądzić. Pani jest prawdopodobnie ofiarą.

— Tak, przeszłam całe to piekło.

— Tak jak Miriam.

— Wiem, ale...

Kobieta przerwała. Otworzyła torebkę, wyjęła chusteczkę i otarła oczy.

— Bóg pewnego dnia osądzi, co zrobili z nami ci mordercy. Ale ludzie, którzy pomagali mordercom i im służyli — dla nich mogę żywić tylko pogardę.

— Co pani ma na myśli?

— Miriam była kapo.

Kobieta jakby wypluła z siebie te słowa. Skurecz wykrzywił jej twarz. We mnie wszystko zamarło.

— Gdzie? Kiedy?

— Musi mnie pan wysłuchać.

— Tak, tak.

W gardle tak mi zaschło, że z trudem wymówiłem te słowa. Kobieta odezwała się:

— Niech się pan nie martwi. Nie mam zamiaru opowiadać panu o wszystkim, co wycierpiałam z rąk Niemców. Ciągano mnie z obozu do obozu. Byłam szwaczką i dlatego udało mi się ocalić życie. Naprawiałam mundury i szylałam im bieliznę — nie żołnierzom, tylko oficerom. Nie sposób nawet opowiedzieć tego wszystkiego. Nasi uchodźcy napisali masę książek, przeczytałam prawie wszystkie. To, co mówią, to prawda. Ale prawda jest też taka, że pióro nie jest w stanie tego ogarnąć. Dla mnie, tak czy inaczej, jest już za późno. Jeśli opisałabym swoje przeżycia — gdybym w ogóle potrafiła to zrobić — byłoby po mnie.

— Nie wolno pani mówić w ten sposób!

— Chcę, żeby pan wiedział, że to, co teraz robię, czynię z ciężkim sercem. Nie powiem panu dokładnie, jak to się stało, ale pod koniec 1944 roku znalazłam się w Rydze. Wleczono nas z miejsca na miejsce, aż dotarliśmy, z setkami innych nieszczęśników, właśnie do Rygi. Niektórzy trzymali się jeszcze, ale inni bliscy byli śmierci. Któregoś dnia załadowali nas na frachtowiec, upchali jak śledzie w beczce i wywieźli do Stutthofu. O tym, że to był Stutthof, dowiedzieliśmy się tylko dzięki temu, że kilkorgu z nas pozwolono wyjść na pokład i oglądać światło dnia. Potem przewieziono nas do Marburga, który stanowił nasz końcowy przystanek. Było już wtedy jasne, że Niemcy przegrali wojnę. Jednak to, czy dożyjemy, by oglądać nasze oswobodzenie, pozostawało sprawą otwartą. Gdzieś dalej, za Stutthofem, widzieliśmy góry dziecięcych bucików, ubrań, różnego rodzaju rzeczy. Same dzieci spalono lub zagazowano, a ich maleńkie ubranka leżały złożone na stertach. Dochodzę teraz do sprawy, którą chciałabym panu przedstawić, po prostu czuję się do tego zmuszona. Miriam paradowała po Stutthofie z pejczem, który mogli nosić tylko kapo. Widziałam ją tak dokładnie, jak widzę teraz pana. To wszystko, co chciałam panu powiedzieć. Wierzę, że jest pan świadom tego, że żydowska dziewczyna nie zostawała kapo w nagrodę za dobre uczynki. A pejcz był po to, by go używać. Ona biła nim żydowskie dziewczęta za najmniejsze wykroczenia: za opieszałość, kiedy wzywano je do pracy, za próbę kradzieży ziemniaka i inne podobne zbrodnie. Niektórzy kapo pomagali nawet nazistom wpychać dzieci do komór gazowych. No cóż. To tyle, co chciałam panu powiedzieć. Jak to się mówi? „Fakty mówią za siebie”.

Przez długi czas siedziałem w milczeniu.

— Jest pani pewna, że to była ona? — zapytałem.

— Nie ma wątpliwości. Ona odwiedzała nasz dom. Rozpoznałabym ją na kilometr.

— Czy ona panią widziała?

— Nie, myślę, że nie. A gdyby nawet, nie poznałaby mnie. Byliśmy, jak to się mówi, na ostatnich nogach, chodzące trupy. Nie, nie widziała mnie, to znaczy nie poznała.

Podziękowałem kobiecie i obiecałem jej solennie, że nie powiem nic Miriam. Dokładnie w chwili, kiedy wstałem i podawałem jej rękę, nagle zjawiła się Miriam. Kobieta jeszcze bardziej zbladła i pospiesznie cofnęła dłoń. Poruszyła się niepewnie i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydała żadnego dźwięku.

— Gdzie byłeś cały ten czas? — spytała Miriam. — Szukałam cię.

— Pójdę już. Dobrej nocy — powiedziała kobieta łamiącym się głosem, odchodząc.

— Dobrej nocy i jeszcze raz — dziękuję.

— Kim jest ta kobieta? Czego chciała? — spytała Miriam.

— To nauczycielka. Chciała się mnie poradzić.

— To ty i tutaj udzielasz rad? Max i Prywa pojechali z Cłuwą do domu. Zanim wyjdziemy, powiedz mi, czego chciała ta kobieta?

— Ach, zawsze to samo — mąż, dzieci.

— Mam wrażenie, jakbym ją skądś znała. Czemu jesteś taki poruszony? Czy powiedziała coś, co cię wytrąciło z równowagi?

— Odwieczne tragedie rodzinne.

— Chodźmy. — I Miriam chwyciła mnie pod rękę.

Noc nie była zimna, ale mną wstrząsały dreszcze. Czekaliśmy na taksówkę, *szerut* czy choćby autobus, ale minęło pół godziny, a nic nie podjechało. Okolica tonęła w niemal nieprzeniknionych ciemnościach. Niebo się zachmurzyło, ale między chmurami można było dostrzec migoczące gwiazdy. Miriam miała na sobie lekką letnią sukienkę i wkrótce zaczęła się uskarżać na chłód.

— Gdzie my jesteśmy? — odezwała się. — Na pustyni? Ach, masz taką zimną dłoń! Zwykle masz ciepłe ręce.

— Nie jestem już taki młody.

— Jesteś, jesteś. Może lepiej, żebyśmy poszli pieszo? To nie może być daleko, ale pytanie, w jakim kierunku? Musimy tylko zorientować się, gdzie jest morze.

— No właśnie, gdzie?

Ledwo wymówiłem te słowa, zjedzona uprzednio kolacja podeszła mi do gardła. Odbiegłem kawałek i zacząłem wymiotować. Podeszedłem do latarni i złapałem się jej, zdając sobie sprawę, że nie jestem w stanie dalej iść. Fale gorzkiej cieczy wezbrały mi w ustach i chlusnęły. Czoło miałem pokryte potem. Wiedziałem, że muszę uważać, by nie powalać sobie marynarki i koszuli, ale nie byłem już panem swojego ciała. Miriam biegła za mną, wołając. Chwyła mnie za kark i zaczęła poklepywać, jakbym dławił się jedzeniem. Obok przejechała taksówka i Miriam zawołała na kierowcę, żeby się zatrzymał. Taksówkarz wykrzyknął coś w odpowiedzi, prawdopodobnie, że nie ma ochoty, bym zabrudził mu swymi wymiocinami wóz, po czym odjechał. Przed oczami tańczyły mi płomienie, kolana mi dygotały i z całych sił starałem się utrzymać na nogach. „Nie wolno mi zemdleć! Nie wolno!” — myślałem rozpaczliwie. Uświadomiłem sobie, że nie mam już zwoju, który wręczył mi Treibitcher, i prawdopodobnie zgubiłem też kopertę z czekiem. Miriam stała nade mną i wycierała mi twarz chusteczką. W tym momencie podjechała taksówka.

Dopiero kiedy wsiadłem, zauważyłem, że Miriam trzyma w ręku pergamin. W kieszeni na piersi znalazłem też kopertę z czekiem.

— Co się stało? — spytała Miriam. — Zjadłeś coś, co ci zaszkodziło? Wszystko, co podawali, było świeże.

Wnętrza miałem puste, ale w ustach, na podniebieniu, a nawet w nosie czułem gorzyc. Już po raz drugi zwymiotowałem w obecności Miriam; pierwszy raz tamtej nocy, kiedy wtargnął do nas Stanley z rewolwerem. Nie byłem w stanie odpowiedzieć Miriam. Nie zapomniałem jednak wyjąć portfela z tylnej kieszeni, pamiętając o tym, że trzeba zapłacić za kurs. Kierowca, w rozmownym nastroju, zadał Miriam jakieś pytanie po hebrajsku. Miałem uczucie, jakbym ogłuchł. Słyszałem jego głos, ale nie byłem w stanie zrozumieć słów, wypowiedzianych z sefardyjskim akcentem. Miriam mówiła biegle po hebrajsku. Dałem jej pieniądze, żeby zapłaciła za kurs, ale powiedziała, że to za dużo. Podjechalśmy pod hotel. Kiedy wyszedłem z taksówki, poczułem, że kolana znów mi drżą. Portier, starszy mężczyzna, zerknął na mnie i spytał:

— Co jest? Źle się pan czuje?

W hotelu nie było windy, więc Miriam prowadziła mnie po schodach. Kiedy tak szliśmy, po raz pierwszy w życiu poczułem ból, na który skarżą się starzy ludzie, mówiąc o zatkanych żyłach w nogach.

Miriam pomogła mi się rozebrać i obmyła moje ciało zimną wodą. Krzątała się wokół mnie niczym oddana żona i pomyślałem sobie: zostanę z nią. Kimkolwiek była wcześniej — to dla mnie bez znaczenia. A kim niby jestem, by osądzać ofiary hitleryzmu? Słyszałem zresztą, że i wśród kapo byli przyzwoici ludzie, którzy pomagali więźniom w obozach. Wszystko, czego pragnęli, to ocalić swoje życie. Byłem przepelniony głęboką litością dla tej młodej kobiety, która mając dwadzieścia siedem lat, zdążyła zaznać tyle cierpień jako Żydówka, jako kobieta, jako członek rodzaju ludzkiego. Znalazła moją piżamę i pomogła mi ją włożyć. Położyła mnie do łóżka. Po chwili spytała:

— Mogę z tobą zostać?

— Tak, moja droga.

Wyszła do swojego pokoju. Przebywała tam przez dłuższy czas. Leżałem w łóżku na wznak, zmęczony i wyczerpany. Nogi miałem zimne jak lód, ale nie tym zwykłym zimnem, które bierze się z otoczenia, lecz chłodem, który pochodził z mojego wnętrza. Zacząłem już drzemać, kiedy usłyszałem otwieranie drzwi. Miriam przyłgnęła do mnie. Jej ciało też było zimne. Najwyraźniej umyła się w zimnej wodzie. Objęła mnie i od dotknięcia jej lodowatych palców poczułem dreszcz na plecach.

— Poczekaj, dam ci drugi koc.

Podeszła do sąsiedniego łóżka. Usłyszałem, jak mamrocze:

— We wszystkich hotelach tak mocno przytwierdzają koce do materaca, że trzeba być Herkulesem, żeby je wyciągnąć.

Udało jej się w końcu, ale drugi koc niewiele mi pomógł. Żyd we mnie przypomniał mi werset z Biblii: „Z biegiem czasu sędziwy król Dawid tak się posunął w latach, że nie mógł się rozgrzać, choć okrywano go kocami”. Jakoś udało mi się zasnąć, ale nawet we śnie czułem chłód.

Po godzinie zatrzęsły mną dreszcze i obudziłem się. Miriam spała dalej. Czułem jej piersi i brzuch tuż przy moich plecach. Jej ciało było gorące i grzało moje niczym piec. Pewnie sypiała z nazistami, pomyślałem. Przypomniały mi się słowa Stanleya, że naziści dawali jej w podarunku rzeczy, które odbierali zamordowanym żydowskim dziewczętom. No tak, zdaje się, że pograżyłem się w głębokim bagnie. Przyszło mi do głowy określenie

„Czterdzieści Dziewięć Bram Nieczystości”. „Człowiek nie może już niżej upaść” — powiedziałem do siebie i przyniosło mi to ukojenie. „Nigdy nie spadnie już na mnie większy cios”.

Chociaż nie była to prawda, powiedziałem wszystkim, że otrzymałem telefon od mego wydawcy i muszę natychmiast wyjechać do Nowego Jorku. Stefa i Leon wrócili do Ameryki następnego dnia po przyjęciu u Chaima Joela. Max miał powrócić do szpitala i Miriam nie mogła zostawić go samego. Przed wyjazdem spotkałem się z matką Miriam, Fanią Zalkind, i jej kochankiem, Feliksem. Przypominała swoją córkę, choć jednocześnie różniła się od niej: była wyższa, bardziej smagła, oczy miała czarne. Mówiła szybko, warszawskim dialektem jidysz, i dużo się śmiała — nawet wtedy, kiedy ja nie widziałem najmniejszego powodu do śmiechu. Nosiła się w manierze aktorskiej, miała mocny makijaż, a obcasy tak wysokie, jakich nigdy dotąd nie widziałem. Ubrana była w dwukolorową sukienkę, z lewej strony czerwoną, a z prawej czarną, na głowie zaś miała ogromny kapelusz.

Mówiąc o Miriam, sprawiała wrażenie, jakby rozprawiała o swojej młodszej siostrze albo koleżance, a nie o córce.

— Ona jest uparta, straszliwie uparta — mówiła. — Jest mądra, ale jak na mądrą dziewczynę, popełniła zbyt wiele szaleństw. Na kolanach błagałam ją, żeby wyjechała z nami do Rosji. W szkole wróżono jej przyszłość, ale mówiąc tak między nami — podkochiwała się w każdym kolejnym nauczycielu. Nie potrafię zrozumieć, jak działa jej umysł. Mądra, inteligentna — a zarazem głupiutka jak małe dziecko. Wystarczy, że ktoś powie jej dobre słowo, a już gotowa się dlań poświęcić. Czasem sprawia wrażenie przemądrzałej, zwłaszcza gdy chodzi o literaturę, a jednocześnie bywa straszliwie naiwna. Od razu nie spodobał mi się ten Stanley. Trzeba było być ślepym, żeby nie widzieć, że jest zwykłym kanciarzem. Jego wiersze to stek bzdur. Nie uwierzy pan, ale nawet ze mną próbował flirtować. Odpycha samym swoim wyglądem — ma brzuch niczym kobieta w ciąży. O Maksie lepiej nie mówić. Jest za stary nawet dla mnie. W Warszawie miał opinię szarlatana pierwszej wody. Kiedy roztrwonił pieniądze swojego ojca, żerował na kobietach. Ktoś mi mówił, że za pięćset dolarów dosłownie sprzedał amerykańskiemu turyście swoją kochankę. Gdyby był trochę młodszy i sprawniejszy byłby z niego niezły rajfur. Miriam uciekła z rąk jednego hultaja tylko po to, by wpaść w ręce innego. Pytam pana, do czego to wszys-

tko doprowadzi? Inaczej sobie pana wyobrażałam — myślałam, że jest pan wyższy, ciemniejszy, i ma czarne, płonące oczy.

— Zanim wyłysiałem, byłem rudy.

— Tak, zauważyłam. Ma pan rude brwi. Mówią, że rudowłosi mają temperament. Podoba mi się pański głos. Miriam ubóstwia pana. No, ale lepiej nie wdawać się w szczegóły. Teraz, po tym, co przeżyliśmy, świat stanął na głowie. Chciałabym bardzo, żeby pan zobaczył, jak gram. Mój przyjaciel, Feliks Ruktzug, mógłby zaadaptować jakieś pańskie opowiadanie na scenę. Zagrałabym oczywiście główną rolę. Jestem w jego oczach największą aktorką, jaka kiedykolwiek żyła — i Fania Zalkind wybuchnęła śmiechem.

Miałem też okazję poznać Feliksa Ruktzuga. Był niski, ciemny, o szerokich ramionach i płaskim brzuchu, miał mały nos i wydatne usta. Nosił wąskie, opięte spodnie, zabawny czerwony krawat, a na palcach dwa pierścienie z brylantem — wyglądał jak typowy żigolak. Feliks Ruktzug był z przekonania komunistą, a nawet stalinistą. Wciąż pisywał artykuły o teatrze do jedyne go żydowskiego dziennika, który wychodził jeszcze w Warszawie. Nawet marksiści drwili z jego oklepanych frazesów.

Wszystko było już za mną — pożegnania, pocałunki, obietnice, przyrzeczenia. Miriam i Max odwieźli mnie do Lod. W drodze na lotnisko bacznie przyglądałem się wszystkiemu wokół, w nadziei, że odnajdę te szczególne rysy Erec Israel, które odróżniają stare od nowego. Początkowo zdawało mi się, że nic tutaj z czasów biblijnych nie ocalało. Ale wkrótce zacząłem rozpoznawać obrazy, które miały w sobie urok starożytności — twarz jemeńskiego Żyda, drzewko oliwne, osiołek ciągnący wóz. Czy te okolice należały do Żydów? Filistynów? Miriam trzymała moją dłoń, ściskając ją od czasu do czasu. Zdradziłem religię moich rodziców, ale Biblia wciąż miała na mnie przemożny wpływ.

— Czy choćby przez moment wierzyłem, że marzenie syjonistów się urzeczywistni? — zagadnął Max. — Nie, płaciłem co prawda na rzecz organizacji syjonistycznej, dawałem na Żydowski Fundusz Narodowy, ale nigdy, nawet przez chwile nie wierzyłem, że coś z tych rojeń wyniknie. Nie przekonała mnie nawet Deklaracja Balfoura. A jednak powstało tutaj żydowskie państwo i ja też tutaj jestem. Skoro przeznaczone mi umrzeć, chcę zostać pochowany w tej starożytnej ziemi.

— Przestań, Max! — zawołała Miriam.

— *Nu, nu.* Na razie jeszcze żyję. Ale prędzej czy później wszyscy odejdziemy. Lecz jakieś tchnienie pozostaje, czuję to. Wracaj, Motylku.

— Przyjadę do Nowego Jorku — powiedziała Miriam. — Wszyscy wrócimy do Ameryki, i to niedługo.

— Tak — odparł Max i poklepał mnie po plecach.

W samolocie zająłem miejsce przy oknie. Obok mnie usiadł niski, siwo-włosy rabin. Miał na sobie długi chałat, pod chałatem mały tałas, na kolanach zaś trzymał tom Miszny. Pomiędzy żółknącymi stronicami Miszny leżał *Mesilat Jeszarim*, który stale spadał na podłogę i który rabin nieustannie brał i podnosił do ust. Swoją kapelusz położył na tobołku razem z paltem. Na głowie miał wymiętą jarmułkę. Wyznałem mu, kim jestem — wnukiem biłgorajskiego rabina, żydowskim pisarzem mieszkającym w Nowym Jorku. On był rabinem w synagodze w Hajfie, gdzie, jak powiedział, roilo się od niemieckich Żydów i ateistów. Nawet w czasie szabatu z trudem udawało się tam zebrać *minjan*. Jemu, rabinowi, zaproponowano prowadzenie jesziwy w Jerozolimie, ale odparł, że „Jerozolima jest pełna jesziw i Tory. To w Hajfie mnie potrzebują”. Stracił żonę i dzieci w czasie holocaustu. Ludzie próbowali go ożenić. Jakkolwiek by było, rabin potrzebuje rabinowej! Ale on im odrzekł: „Ja wypełniłem już przykazanie: «Bądźcie płodni i rozmnażajcie się» i jak dla mnie, to dość”. Teraz leciał do Stanów Zjednoczonych, aby zebrać pieniądze potrzebne na założenie jesziwy w Hajfie.

— Wiem o panu wszystko — zagadnął. — Czytałem w gazecie o pańskim przyjeździe. Czy pana dziad był chasydem?

— Mój dziad z Biłgoraja podróżował do magida z Turzyska, nie do jego syna — odparłem.

— Wiem, wiem. My, w Galicji, jeździliśmy do Bełza, Bobowej, Gorlic, Sieniawy i do rużyńskich cadyków do Czortkowa, Husiatyna i Sadagóry. Turzysk leżał na terenie Rosji i ludzie rzadko tam jeździli. Ale ja go znam. *Diwre Abraham*. On wolał *nutrikon* i *gematrię*. Każdy mistrz ma swoją własną drogę i tak właśnie być powinno. Ma pan rodzinę, żonę i dzieci?

— Nie.

— Wdowiec?

— Nigdy nie byłem żonaty.

Rabin Zachariasz Kleingewirtz podrapał się po brodzie.

— Jakże to tak? Skoro Hitler — oby jego imię zostało wymazane — wymordował tak wielu Żydów, Żydzi powinni wychować nowe pokolenia.

— To prawda, ale...

— Wiem, co mówią oświeceni: na cóż wychowywać nowe pokolenia, skoro na Żydów zawsze spadają jakieś biedy? Oni wszyscy tak mówią. Jak rok długi, moja synagoga świeci pustkami. Ale na Rosz Haszana i Jom Kipur przychodzą. Nie wszyscy, ale wielu. O co im właściwie chodzi? Skoro nie ma ani sędziego, ani sądu, to czym niby Wielkie Święta różnią się od pozostałych dni w roku? Rozmawiam z nimi, pytam, dlaczego się nie żenią albo czemu mają tak mało dzieci, a oni wszyscy mają jedną odpowiedź: „Po co? Żeby było kogo zabijać?”. Złe moce mają odpowiedź na wszystko. Z drugiej strony każdy Żyd ma w sobie jakąś żydowską iskierkę, a iskra łatwo może przerodzić się w płomień. Kto zmuszał tych młodych ludzi z Rosji, aby jechali do Ziemi Izraela? Dlaczego nie myśleli jak Am Olamnicy i zamiast tego nie wyjechali do Ameryki? Przyjechali tutaj i poświęcili się; osuszali bagna i zapadali na malarię. Wielu umarło. Weźmy, na przykład, Josefa Chaima Brennera. Na swój sposób był gorliwym Żydem, zmarł śmiercią męczennika.

Wziął Misznę i na powrót zaczął ją przeglądać, kołysząc się. Przez chwilę zdawało się, że zapadł w sen. Ale wkrótce otrząsnął się i wyprostował.

— Czy pan przynajmniej jest w stanie wyżyć z tego pisma? — zapytał.

— Z trudem.

— O czym pan pisze?

Upłynęło kilka chwil, nim mu odpowiedziałem.

— Ach, o życiu Żydów.

— Gdzie? W Ameryce?

— W Ameryce. Przeważnie o tych ze starego kraju.

— Co pan pisze, powieści?

— Tak.

— Przeglądałem takie powieści. „On powiedział”, „ona powiedziała”. Co wynika z tych wszystkich romansów? Skoro on jest rozwiązły i ona jest rozwiązła, co to ma wspólnego z miłością? To nienawiść, a nie miłość. Zadręczają się tylko nawzajem. Wszystkie te kobiety to cudzołżnice. Dawniej podawano im wody przekleństwa, ale dzisiaj one same je piją. Cała ta gra jest zbudowana na kłamstwach. Dzisiaj on zdradza ją, a następnego dnia ona jego. Rozumie pan, o czym mówię?

— Tak, rabbi.

- Więc skoro pan o tym właśnie pisze, jakie są pańskie wnioski?
- Nie ma żadnych wniosków.
- Więc to musi wystarczyć? — spytał rabin.
- Jeśli nie ma się pańskiej wiary, rabbi — odrzekłem — to musi wystarczyć.

Rozdział dwunasty

W Nowym Jorku była już zima i padał śnieg. Leon i Stefa przygotowali się do wyjazdu do Miami Beach; Leon powiedział, że nie znosi nowojorskich zim, a ponadto ma w Miami jakiś interes do załatwienia. Został współnikiem w nowym przedsięwzięciu hotelowym. Stefa pokpiwała z niego.

— Jestem biznesmenem — odparował Leon. — Co mam robić, studiować Misznę? Póki człowiek oddycha, musi coś robić. Mam rację, Aronie?

— Całkowitą rację.

— Przestaniesz pisać, kiedy będziesz w moim wieku?

— Obawiam się, że nie.

— Jeśli człowiek nic nie robi, myśli tylko o śmierci, a z tego nie wynika nic dobrego. Kiedy jest zajęty, zapomina. Mam rację, Arele?

— Ze swojego punktu widzenia, tak.

— A z jakiego nie mam racji?

— Księgi Musarów mówią, że człowiek zawsze winien pamiętać o dniu swojej śmierci.

— A po co?

— Bo to go powstrzymuje od grzechu.

— Mnie nic nie musi powstrzymywać od grzechu. Gdybym chociaż mógł grzeszyć — zażartował Leon. — Tyle mojego, ile sobie poczytam, jak grzeszą inni. Umarli nie mogą nawet tego.

— Kierujesz swoje słowa pod niewłaściwy adres, Leonie — przerwała Stefa. — Aron wierzy, że umarli bynajmniej nie przestają krążyć i romansować. Któregoś dnia sam czytałeś mi jego artykuł na ten temat.

— To tylko gra, którą prowadzi z czytelnikami — odparł Leon. — Sam w to nie wierzy. Prawda jest taka, że ani pobożni Żydzi, ani rabini nie wierzą w życie po śmierci. Kiedy któryś z nich zachoruje, od razu biegnie do

lekarza. Biorą lekarstwa, witaminy i co tam jeszcze. Skoro sprawiedliwi siedzą w niebie na złotych krzesłach i jedzą Lewiatana, to dlaczego tak drżą przed śmiercią?

— Boją się piekła — stwierdziła Stefa.

— Kłamstwa, samooszukiwanie, bzdury — odrzekł Leon. — Oni wszyscy wiedzą, że po śmierci wszystko się kończy. Nawet Mojżesz nie chciał umierać. Wciąż błagał Boga, by pozwolił mu przeżyć jeszcze rok, tydzień, nawet dzień. Nieprawda, Arele?

— Tak mówi Midrasz.

— W samym Midraszu też jest lęk przed śmiercią.

— Skoro wszyscy tak się boją, to dlaczego w każdym pokoleniu setki tysięcy, a nawet miliony żołnierzy wyruszają na wojny? — spytałem. — Na świecie nigdy nie brakowało ochotników gotowych bić się za byle co. Nie tak dawno siedem milionów Niemców oddało życie za Hitlera. Milion Amerykanów narażało swoje życie w walce z Niemcami i Japonią. Gdyby teraz zjawił się jakiś demagog i zaczął nawoływać do wojny przeciw Meksykowi albo do zdobycia Filipin, nie zabrakłoby chętnych, gotowych usłuchać jego wezwania. Jak to wytłumaczysz?

Leon Kreitler ściągnął brwi.

— Każdy z nich myśli, że to ten drugi straci życie, nie on.

— *Nu*, tak to sobie tłumaczysz?

— Człowiek w gruncie rzeczy wierzy, że coś z niego pozostaje.

— Co pozostaje? Kości. A w końcu i one zgniją. Bzdura.

— Wojna to instynkt — zauważyła Stefa. Dyskusja toczyła się w kuchni i Stefa przez cały ten czas prasowała chusteczki i bieliznę. Teraz odłożyła żelazko na metalową płytkę i dorzuciła: — Jeśli ty nie pójdziesz na wojnę, twoi wrogowie sami do ciebie przyjdą. Tak czy inaczej, stracisz życie. Mężczyźni to szaleńcy.

— Kobiety teraz też zostają żołnierzami — zauważyłem.

Kiedy nadszedł czas pożegnania z Leonem i Stefą, wycalowałem ich oboje. Zrodziła się między nami bliskość, sprawiająca, że bez znaczenia było to, iż są mężem i żoną. Stefa często przyznawała się Leonowi, że miała kiedyś ze mną romans. Leon z kolei oświadczał, że ma nadzieję, iż po jego śmierci ożeni się ze Stefą. Proponował mi wydanie moich utworów

w jidysz, ale nigdy jego oferty nie przyjąłem. Doszło do tego, że książka w jidysz nie mogła zostać opublikowana bez subwencji, i wszystko to wydawało mi się bezsensowne. Zanim wyszedłem, złożyłem solenną obietnicę, że odwiedzę ich w Miami Beach. Brakowało mi dwóch lat do pięćdziesiątki i czułem się już starym człowiekiem. Przeżyłem dwie wojny światowe, cała moja rodzina zginęła, z bliskich mi kobiet została garstka popiołów. Ludzie, o których pisałem, byli martwi. Stałem się skamieliną dawno umarłej epoki. Kiedy mój wydawca przedstawił mnie na jakimś literackim przyjęciu, młodszy goście pytali: „To pan jeszcze żyje? Myśleliśmy, że...”. I przepraszali za omyłkę.

Jak szybko rodzą się pewne sytuacje i jak szybko znajdują swój koniec! Minęło zaledwie kilka miesięcy, odkąd zaczął się mój związek z Miriam. Dopiero co płonęliśmy namiętnością, a teraz, w styczniu, wszystko to zdawało się należeć do odległej przeszłości. Wydawało mi się oczywiste, że Miriam pozostanie z Maxem w Izraelu. Żył, dzięki Bogu, choć serce mu niedomagало. Ponadto cierpiał teraz na cukrzycę. Miriam nie mogła ani nie chciała zostawiać go samego w takim stanie. Umarłby już dawno, gdyby nie Chaim Joel Treibitcher, który dosłownie przyjął go do siebie do domu. Słyszałem od Miriam i innych, że brakuje harmonii między tym szczodrobliwym człowiekiem i jego nową żoną, która więcej czasu spędzała w Ameryce niż w Tel Awiwie. Miała swoich własnych synów, córki, synowe, zięciów, wnuki. Podróżowała do rozmaitych kurortów i prowadziła własne interesy. Nigdy nie doszło do połączenia majątków jej i Chaima Joela. Każde z nich miało swoje własne sposoby prowadzenia interesów. Zresztą, ona miała dużą rodzinę, Treibitcher zaś zamierzał przekazać swoje pieniądze na rzecz żydowskiego państwa i różnych stowarzyszeń dobroczynnych. Na dodatek jego żona stale była uwikłana w jakieś procesy sądowe. Miriam donosiła mi o tym wszystkim w listach. Ona sama złożyła podanie o przyjęcie do pracy na uniwersytet w Jerozolimie. Byli tam skłonni zaakceptować jej dysertację i przyznać jej doktorat. Wymagali jedynie, by zaliczyła kurs języka hebrajskiego i historii Żydów.

Miriam pisała do mnie długie listy, na które odpowiadałem w paru słowach. Póki Max żyje, ona go nie zostawi. Ich wzajemne stosunki, obecnie platoniczne, stały się serdeczniejsze niż kiedyś. Rzecz zastanawiająca, ale Chaim Joel Treibitcher na swój własny sposób również zakochał się w Miriam i miała teraz obok siebie nie jednego, lecz dwu starców. Pisała:

Nie śmieję się, Motylku, ale nawet mi ta sytuacja odpowiada. Miałam już dość seksu i wszelkiego plugastwa w moim życiu. Rozwinęła się we mnie głęboka słabość do starszych mężczyzn. Pociągają mnie bardziej niż ci wszyscy studenci i młodzi profesorowie, którzy usiłują ze mną flirtować. Max jest dla mnie wszystkim — ojcem i mężem. Ale Chaim Joel to też uroczy człowiek. Jest naiwny, niewiarygodnie wręcz naiwny. To dla mnie niewyobrażalne, w jaki sposób mógł zgromadzić swoje miliony i zostać mecenasem znanych europejskich artystów. Chaim Joel do dzisiejszego dnia nie zdaje sobie sprawy, że jego błogosławionej pamięci Matylda miała kochanków. Nigdy nie spotkałam kogoś o tak czystej duszy. A jednocześnie ma on poczucie humoru, zawsze o posmaku talmudycznym i chasydzkim. Znał wszystkich rabinów, rabinowe, wszystkie tajemnice ich dworów. Ale patrzy na wszystko niewinnymi, dziecięcymi oczami. To rzadka przyjemność móc się przysłuchiwać, jak rozmawiają z Maxem. Ich jidysz jest taki, że trudno mi czasem uchwycić znaczenie. Mieszają słowa ze świętego języka, Gemary i innych ksiąg. Wydaje się, że w przypadku takich Żydów wszystko ma swe źródło w Torze, nawet ich żarciki.

Myśl, że wszystko to zginie wraz z ich pokoleniem, jest dla mnie bolesna. W oczach sabras, tych wszystkich urodzonych już w Izraelu to próżniacy, szmegeges. Oni często mówią, że jesteś „zanurzony” w żydostwie, co napawa mnie lękiem, iż moja dysertacja poświęcona Twoim utworom jest powierzchowna. Dla mnie jesteś człowiekiem nowoczesnym. Żyję tylko jednym marzeniem: żeby cię tutaj ujrzeć. Ale kiedy to nastąpi?

Prywa i Cłwa wróciły do Nowego Jorku. Zadzwoniły i zaprosiły mnie na kolację. Powiedziały, że Chaim Joel Treibitcher zwrócił im wszystkie pieniądze wraz z odsetkami. Prywa przyjechała do Nowego Jorku z pewnym planem: chciała założyć Żydowskie Towarzystwo Metapsychiczne. Żydzi, którzy mówili w jidysz, nie czytali okultystycznych dzienników, a swoje doświadczenia najlepiej potrafiliby przekazać po żydowsku. Prywa przypomniała mi, iż wydrukowałem wiele listów od czytelników na ten temat i pisałem, że jeśli tego typu doświadczenia są prawdziwe, winniśmy na nowo przemyśleć wszystkie nasze wartości. Ona sama zebrała mnóstwo takich historii. Ludzie, którzy przeżyli holocaust, ocalili dzięki cudom, ale nie mieli ani odwagi, ani ochoty na opowiadanie o swych doświadczeniach psychologom czy naukowcom. Należało obchodzić się z nimi delikatnie, po przyjacielsku. Przedyskutowałem całą rzecz z Prywa i Cławą i dwa tygodnie później ukazał się mój artykuł. Wkrótce zaczęły napływać listy.

Nigdy nie otrzymałem tylu listów w odpowiedzi na to, co pisałem. Ludzie zajmujący się badaniami metapsychicznymi, tacy jak doktor Rhine, uskarżali się, że nie są w stanie uzyskać niezbędnych do tego celu funduszy. Jednak Żydowskie Towarzystwo Metapsychiczne nie potrzebowało środków. Stworzyliśmy je tak, jak pobożni Żydzi zakładali niegdyś chedery, chasydzkie sztibły i jesziwy — bez specjalnych zezwoleń, sekretarek, maszyn do pisania, poczty i znaczków. Nie potrzebowaliśmy miejsca na biuro. Ci, którzy mieli coś do opowiedzenia, mogli napisać list lub zadzwonić — albo do mnie do redakcji „Forwerts”, albo do Prywy do domu. Redaktor naczelny dał mi wolną rękę i mogłem pisać, co tylko chciałem, oraz drukować wybrane przez siebie listy. W swoim artykule stwierdziłem, że badania zjawisk nadprzyrodzonych nigdy nie staną się nauką. Bo i w jaki sposób? Badacz musiał w swych dociekaniach polegać na ludziach, ich pamięci i uczciwości. Przytoczyłem słowa mojego ojca: „Gdyby niebo i piekło leżały na środku placu targowego, nie byłoby wolności wyboru. Trzeba wierzyć w Boga, Opatrzność, nieśmiertelność duszy, nagrodę i karę. Każdy może dostrzec Bożą mądrość, ale przecież wierzyć trzeba w Jego miłosierdzie. Wiara zaś została zbudowana na wątpliwościach”.

Najwięksi święci miewali chwile zwątpienia. Nikt, kto kocha, nie może być całkowicie pewny, że człowiek przez niego kochany jest mu wierny. Na dowód, że Wszechmocny domaga się wzajemności, zacytowałem wers: „I uwierzył w Boga, i Pan poczytał mu to za zasługę”. Zwróciłem uwagę na to, że nawet tak zwane nauki ścisłe nie są nieomyślne. Całe lata, do naszych czasów, wierzono, że gazy są podstawą wszystkich zjawisk elektromagnetycznych. Atom, długo uważany za nierozszczepialny, okazał się rozszczepialny. Czas stał się pojęciem względnym, grawitacja była rodzajem „zmarszczki” w przestrzeni, a wszechświat umykał sam przed sobą po eksplozji, która, jak wierzono, miała miejsce dwadzieścia miliardów lat temu. Aksjomaty matematyczne przestały być prawdami odwiecznymi i — miast tego — przekształciły się w definicje i reguły.

Wieczorami zacząłem odwiedzać Prywę, ponieważ w moim pokoju przy Siedemdziesiątej Ulicy często bywało zimno. W szabat znów chodziłem w odwiedziny do Budników, ale większość wieczorów spędzałem z Prywą i Cłuwą. Często zapraszałem je obie na kolację do restauracji Tip Top na Broadwayu. Czasem Cłuwa gotowała dla mnie moje ulubione warszawskie potrawy — zupę z zasmażką, kluski z fasolą, kaszę ze smażoną cebulą, ziemniaki z grzybami, a niekiedy nawet potrawę mojej matki, składającą się

z kaszy perłowej, ziemniaków, białej fasoli, suszonych grzybów. Cłuwa nigdy nie musiała mnie pytać, jakie potrawy gotowała moja matka. Wiedziała to z moich opowiadań.

Początkowo Prywa zabroniła mi wymieniać imienia Miriam. Mówiła o niej „ta trefna dziewczucha”. Jednak kiedy siadaliśmy wokół naszego okrągłego spirytystycznego stoliczka, imię Miriam pojawiało się często. Deseczka dla medium, która skakała po literkach, powiadomiła nas, że Max zawiódł się na Miriam i że Miriam zdradziła go (i mnie też) z Chaimem Joelem Treibitcherem. Prywa wykrzyknęła:

— Niech pan nie będzie taki zdziwiony. Wywłoka pozostanie wywłoką.

Z Prywą wciąż byliśmy na „pan, pani”. Z drugiej strony, z Cłuwą pozostawaliśmy w tak zażyłych stosunkach i na tyle często zdradzaliśmy to w słowach, że Prywa oznajmiła:

— Dzieci, dość tego udawania. Nie jestem głupia. Powiedźcie wreszcie, co jest między wami.

Stoliczek, przyrządy spirytystyczne i talia kart do tarota usankcjonowały poniekąd nasze stosunki. Pewnego wieczora, gdy wszystkie światła były zgaszone i w ciemnościach migotała tylko maleńka czerwona żaróweczka, której używaliśmy w czasie seansów, deseczka poinformowała nas, że Miriam była kapo. Prywa spytała: „Gdzie?”, a deseczka utworzyła słowo „Stutthof”. Potem Prywa zapytała (pytania wygłaszała uroczystym tonem), jak zachowywała się Miriam, a deseczka zaczęła poruszać się z niezwykłą prędkością i ułożyła takie słowa: „Biła żydowskie dziewczęta, wpychała dzieci do komór gazowych”. Deseczka wyjawiała nam następnie, że Miriam była kochanką oficera SS, nazwiskiem Wolfgang Schmidt. Tak naprawdę nigdy nie wierzyłem w okultystyczne moce stoliczka, ponieważ czułem, jak Cłuwa unosi go nogą. Nieraz jej kolano zderzyło się z moim. W jaki sposób obie kobiety manewrowały deseczką i sprawiały, że poruszała się na rozkaz, nigdy się nie dowiem. Zawsze zgadzałem się z Houdinim, że wszystkie bez wyjątku media oszukują. Ręce Prywy często drżały, cierpiała na chorobę Parkinsona; jak kobieta w jej stanie mogła manipulować deseczką nad tablicą z literami? Tego wieczora deseczka biegała po tabliczce zygzakiem, jakby napędzana swoją własną siłą. Zamknąłem oczy i w czerwonej poświacie zmaterializowała mi się postać Wolfganga Schmidta: potężny nazista o ospowatej twarzy, na rękawie swastyka, pistolet przy udzie, w dłoni pejcz. Oczy miał jak paciorki, jego czoło przecinała blizna, ostrzyżone na jeża białe i sztywne włosy sterczały niczym świńska szczecina. Usłyszałem, jak krzy-

czy na Miriam chrapliwym głosem. Miałem osobliwe uczucie, że wszystko to już wcześniej widziałem i słyszałem, na jawie lub we śnie.

W czasie samotnych nocy często budziłem się trapiiony niepokojem o swoją pracę literacką. Kilka opowiadań i powieść, która ukazała się w gazecie, leżały złożone w walizkach. Jaki wydawca opublikuje długą powieść debiutanta, który dobiega pięćdziesiątki? Moja wcześniejsza powieść, która wyszła po angielsku, otrzymała życzliwe recenzje, ale nie sprzedawała się dobrze. Zaliczkę wydałem na przepisanie rękopisu. Włączyłem tam pewien epizod, rozgrywający się w Szwajcarii. Ponieważ uczciwość nie pozwalała mi pisać o kraju, którego nigdy nie widziałem, więc nim wziąłem się do pracy nad książką, wyjechałem do Szwajcarii. Ta podróż kosztowała mnie trzy razy więcej niż otrzymane honorarium. Wydawca odmówił wznowienia powieści. Powiedział mi nawet, że matryce zostały „wyrzucone na złom”.

Myśl o rozpoczęciu całego tego procesu od nowa, ze wszystkimi komplikacjami, jakie pociąga za sobą tłumaczenie z jidysz, napełniała mnie przerażeniem. Jakiś wewnętrzny głos mówił mi: „Za późno, to ponad twoje siły”. Byłem w trakcie pisania kolejnej powieści, która pochłaniała całą moją energię. Każdego dnia czytało ją trzydzieści lub czterdzieści tysięcy czytelników, z których większość była polskimi Żydami, znającymi każde opisywane przeze mnie miasteczko, ulice i każdy dom. Najbliższa pomyłka przynosiła falę dziesiątków, czasem setek listów. Moje opisy seksu lub półświatka wywoływały protesty rabinów i starszyny, twierdzących, że dolewam oliwy do ognia antysemityzmu, obrażam i okrywam hańbą hitlerowskie ofiary. Po co chrześcijański świat ma wiedzieć o istnieniu żydowskich złodziei, oszustów, rajfurów, prostytutek, skoro i tak wszystkich ich zamęczono? Czemu zamiast tego nie pisać o prawych Żydach, rabinach, chasydach, uczonych, pobożnych niewiastach, cnotliwych pannach? To prawda, pisałem też o tak zwanych bohaterach pozytywnych, jednak czas wymagał — tak argumentowali autorzy listów — by żydowski pisarz skupiał się wyłącznie na tym, co dobre i świętobliwe.

Dotykałem też spraw, które w żydowskiej prasie były wyklęte. Byłem odmieńcem, zarówno jako pisarz, jak i jako dziennikarz. Artykuły, które obecnie drukowałem — o telepatii, jasnowidzeniu, marzeniach sennych, przeczuciach — wzburzyły czytelników, uważających się za racjonalistów, socjalistów, radykałów. Po co wracać do średniowiecznych przesądów? —

pytali. Po co budzić dawny fanatyzm? Komunistyczna gazeta wykorzystywała każdą sposobność, aby dowieść, że moja twórczość to opium dla żydowskich mas, mające sprawić, by zapomniano o walce o sprawiedliwość społeczną i zjednoczenie ludzkości. Nawet syjoniści chcieli wiedzieć, gdzie w moich utworach jest mowa o odrodzeniu żydowskiej historii, którego świadkiem stało się nasze pokolenie. Mieszkający we mnie abnegat i pesymista przekonywał: „I tak jako pisarz nie masz szans na sukces. Daj sobie spokój!”. Wyobrażałem sobie, że jestem windziarzem gdzieś w Brooklynie lub pomywaczem w jakiejś podrzędnej restauracyjce. Wszystko, czego mnie, wegetarianinowi, było trzeba, to kromka chleba, kawałek sera, filiżanka kawy i łóżko do spania. Za niecałe dwadzieścia dolarów tygodniowo byłbym w stanie się utrzymać, mógłbym też żyć z zapomogi, a zawsze jeszcze mógłbym popełnić samobójstwo. Ale inny głos przekonywał: „Masz w tych swoich walizach, które targasz z sobą z jednego wynajmowanego pokoju do drugiego, prawdziwe skarby. Nie pozwól im zniszczyć. Czterdzieści osiem lat to w końcu nie starość. Anatol France miał czterdzieści, kiedy zaczął w ogóle pisać. Byli nawet tacy — jakżeż oni się nazywali? — którzy zaczynali swoją karierę literacką po pięćdziesiątce. Jak na razie masz przynajmniej zajęcie, a skoro je masz, powinieneś się mu poświęcić. Zaczynaj od jutra!”.

Wstałem z łóżka, zapaliłem światło i otworzyłem szufladę, w której przechowywałem swoje notatniki i kilka starych pamiętników. Boże w niebiosach, zacząłem cenić dar wolności wyboru, kiedy byłem jeszcze bardzo młody, nie miałem nawet dwudziestu lat. WOLNY WYBÓR ALBO ŚMIERĆ — zapisałem na kartce w notesie, po czym podkreśliłem to trzy razy: najpierw na zielono, potem na niebiesko, i wreszcie na czerwono. Napisałem tę krótką dewizę ponad dwadzieścia lat temu w hotelu w Otwocuku, kiedy miałem prawie dwadzieścia siedem lat. Przeżywałem wówczas taki sam kryzys jak teraz. W ciszy nocy podniosłem rękę i przysiągłem sobie, że tym razem dotrzymam słowa.

Złożywszy tę uroczystą obietnicę, nie mogłem już zasnąć. Na jakimś świstku papieru znalazłem taki wiersz:

Sekretnie idę swą ścieżką na wskroś przez grzech i grozę,
Spożywaj chleb samotnie, ukryty w swojej norze.

Te linijki wzbudziły niezliczone skojarzenia. Dawno temu stworzyłem teorię, że wolność wyboru jest rzeczą całkowicie indywidualną. Dwoje ludzi

będących razem ma mniejszy wybór niż każde z nich z osobna; w masie nie ma właściwie żadnego wyboru. Mężczyzna obarczony rodziną ma mniejszy wybór niż kawaler; ktoś, kto należy do partii, ma mniejszy wybór niż jego nigdzie nienależący sąsiad, szło to w parze z moją teorią, że ludzka cywilizacja, a nawet kultura dąży do tego, by dać naszemu rodzajowi więcej wyboru, więcej wolnej woli. Byłem wciąż panteistą, wywodzącym się nie ze szkoły Spinozy, ale z tradycji po części kabalistycznej. Utożsamiałem miłość z wolnością. Kiedy mężczyzna kocha kobietę, jest to akt wolności. Miłości Boga nie można nakazać; może być jedynie aktem wolnej woli. Fakt, że niemal wszystkie stworzenia rodzą się z połączenia tego, co męskie, i tego, co żeńskie, był dla mnie dowodem, iż życie to eksperyment w boskim laboratorium wolności. Wolność nie może pozostawać bierna; ona pragnie tworzyć. Pragnie nieskończonych zmian, możliwości, rozmaitych kombinacji. Pragnie miłości.

Moje dziwaczne rozumienie wolności wyboru było też powiązane z teorią sztuki. Nauka, przynajmniej jak dotąd, nauczała przymusu. Ale sztuka w pewnym sensie uczyła wolności. Robiła to, co chciała, nie to, co musiała. Prawdziwy artysta miał wolną wolę i robił to, co mu się podobało. Nauka była wytworem całych zespołów wynalazców — technologia wymagała kolektywu. Ale sztukę tworzyły jednostki. Teorie Hippolyte Taine'a, podobnie jak tych wszystkich profesorów, którzy pragnęli przekształcić sztukę w naukę, zawsze uważałem za błędne.

W czasie tych bezsennych nocy pozwalałem moim myślom płynąć swobodnie, kiedy bowiem zapadałem w sen, wkraczałem w królestwo bezwzględnego przymusu. We śnie znikala jakakolwiek możliwość wyboru, a ja przynajmniej tak myślałem, kiedy budziłem się z nocnych koszmarów.

Pewnego ranka, kiedy otworzyłem oczy, na dworze było już jasno. Coś stało się z ogrzewaniem i w pokoju było tak zimno, jak na dworze. Dotknąłem kaloryfera, który, jak się okazało, nie był nawet letni. Nos miałem zapchany, w piersi wzbierał mi kaszel. Zapomniałem nakręcić zegarek, który stanął za piętnaście czwarta. Despotyczna przyczynowość wciąż władala wszechświatem. Kąpiel lub prysznic w tej zimnicy nie wchodziły w rachubę. Ale musiałem się ogolić. Odkręciłem kran i zamoczyłem pędzel do golenia w zimnej wodzie. Postanowiłem pójść ogrzać się do mieszkania Miriam, bo miałem do niego klucz, a było zbyt wcześnie, żeby iść do redakcji. Ubrałem się zatem i wyruszyłem. Kiedy dotarłem do domu Miriam, powitał mnie dozorca: — Cieszę się, że pana widzę. Mam dla pana depeszę. Wręczył mi

kopertę. Otworzyłem ją i przeczytałem: „Max umarł dziś w nocy we śnie. Całuję, Twoja Miriam”.

Zima dobiegała kresu i wkrótce miała nadejść wiosna. Fania i Moryc Zalkindowie zaproponowali, że wyprawią nam huczne wesele, ale wraz z Miriam uparliśmy się, żeby to była skromna ceremonia, w obecności jedynie ich dwojga. Była to poniekąd podwójna uroczystość, ponieważ matka Miriam, zerwawszy z Feliksem Ruktzugiem, wróciła z Izraela i Moryc przyjął ją z powrotem.

Ten wczesny kwietniowy poranek był słoneczny, ale kiedy byliśmy już gotowi, by jechać do ratusza w Brooklynie, zaczął padać śnieg. Wkrótce zrobiła się zamieć. Fania kupiła Miriam wspaniałą słomkowy kapelusz, ale Miriam nie mogła włożyć go w tę śnieżycę. Moryc Zalkind wręczył mi czek na dwadzieścia tysięcy dolarów. Podziękowałem mu i bezzwłocznie podarłem papier na strzępy. Zabrałem swoje trzy walizy, z których dwie wypełnione były rękopisami i wycinkami z gazet, i przeprowadziłem się do mieszkania Miriam. W sypialni nad naszym łóżkiem Miriam powiesiła powiększoną i oprawioną w ramki fotografię Maxa. Ślub wzięliśmy tylko cywilny, jako że ani Miriam, ani mnie nie uśmiechał się ślub przed rabinem. Po uroczystości Zalkindowie zaprosili nas na lunch do wegetariańskiej restauracji. Po posiłku pojechali do swojego domu na Long Island, a my z Miriam wzięliśmy taksówkę. Moryc Zalkind powiedział mi:

— To najcichszy ślub od czasów Adama i Ewy.

W taksówce Miriam oparła się o moje ramię i zaszlochała. Wyznała mi, że nie może powstrzymać się od łez. Gdy weszliśmy do mieszkania, zadzwieczał telefon. Dzwonił korektor z „Forwerts”, bo w jednym z moich artykułów znalazł błąd i prosił o zgodę na jego poprawienie. Odparłem:

— Nie musi pan prosić o moją zgodę. Po to właśnie pan jest, żeby poprawiać pomyłki pisarzy, gdziekolwiek je pan znajdzie.

W mieszkaniu Miriam zawsze było ciepło. Para syczała w kaloryferach, śnieg przestał padać, przez chmury przedzierało się słońce, a twarz Maxa na fotografii na ścianie zalana była światłem. Jego oczy spozierały na nas, uśmiechając się z tą żydowsko-polską radością, której śmierć nie była w stanie zaćmić. Miriam przestała płakać. Wyciągnąwszy się na łóżku, powiedziała:

- Jeśli będziemy mieli dziecko, damy mu na imię Max.
- Nie będzie dzieci — odparłem.
- Dlaczego nie? — spytała.
- Ty i ja jesteśmy jak hybrydy — odrzekłem — na nas kończy się ród.

Posłowie

Powieść *Meszuge* ukazywała się w odcinkach na łamach „Forwerts”, pod pierwotnym tytułem *Zagubione dusze*, od kwietnia 1981 do lutego 1983 roku. Kiedy na prośbę pana Singera skończyłam jej szkicową wersję po angielsku, pisarz zdecydował się zmienić tytuł i wpisał atramentem na pierwszej stronie maszynopisu słowo MESZUGE.

Po raz pierwszy spotkałam Isaaca Bashevisa Singera w 1975 roku, kiedy moja wykładowczyni, która redagowała „The Jewish Spectator”, poprosiła mnie o przeprowadzenie z nim wywiadu dla tego pisma. Podczas naszego drugiego spotkania przedstawiłam mu swoje przekłady dwu opowiadań, które napisał wiele, wiele lat wcześniej — po hebrajsku. Wyrwał mi z rąk kartki ze słowami, że nie chce, by te „stare rzeczy” nadal pozostawały w obiegu. „Ale — dodał z uśmiechem — dlaczego nie miałyby mi pani pomóc w tłumaczeniu moich utworów z jidysz?”. Odparłam, że chciałabym bardzo zająć się jego opowiadaniem o Krochmalnej, ponieważ mój ojciec, Josef Kratka, dorastał właśnie na tej warszawskiej ulicy i mógłby pomóc mi podczas tłumaczenia. Isaac — poprosił, bym tak właśnie się do niego zwracała — sprawiał wrażenie ucieszonego informacją dotyczącą moich korzeni i uścisnęliśmy sobie dłonie.

Wspólna praca z moim ojcem przyniosła nieoczekiwane korzyści. Zanurzony się do głębi w świat Isaaca, ojciec zaczął przywoływać z pamięci krewnych i przyjaciół, o których nigdy dotąd nie słyszałam. Drobne szczegóły wywoływały w nim dawno już zatarte wspomnienia. Kiedy pojawiło się nieznane żydowskie słowo, odnoszące się do pewnej potrawy, ojciec znalazł nie tylko właściwy odpowiednik — „przysmażone ziemniaki” — ale podał też sposób przyrządzania: ugotować ziemniaki do miękkości, dodać smażoną cebulkę i przyrumienioną mąkę, zmieszać razem; najlepiej smakuje z dwiema kromkami chleba. Zdaje się, że trzeba żyć w pewnym środowisku i sięgnąć określonego poziomu ubóstwa, by docenić taki przysmak.

W maju 1982 roku Isaac poprosił mnie, bym spotkała się z nim w American Restaurant na Broadwayu przy Osiemdziesiątej Piątej Ulicy, aby porozmawiać o jego najnowszej powieści w odcinkach, *Zagubione dusze*. Pomimo swego wieku (miał siedemdziesiąt osiem lat) Isaac wszedł żwawym krokiem. Nosił okulary przeciwsłoneczne, a rondo kapelusza przysłaniało mu oczy. W restauracji wyjaśnił, że postanowił napisać powieść o młodej kobiecie, szczerze zakochanej, najpierw w starszym panu, a potem, jednocześnie, w mężczyźnie w średnim wieku, który nagle się pojawia. „To sytuacja dziwna sama w sobie — powiedział — wiele obiecująca”. Opisywał wypadki, które zdarzyły się w 1950 roku w Nowym Jorku i jego okolicach. Wyznał, że chce, by czytelnik zrozumiał wszelkie sprzeczności i konflikty wewnętrzne każdej z trzech głównych postaci. Zakładałam, że wszystkie te fikcyjne wydarzenia oparte były na wypadkach, które w istocie miały miejsce, a bohaterowie — wzorowani na ludziach, których znał. Wydawało się oczywiste, że pierwowzorem narratora, Arona Greidingera, który pisuje do „Forwerts”, jest Isaac, choć on sam nigdy tego wprost nie powiedział.

Praca z Isaakiem w przestronnym mieszkaniu jego i Almy, mieszczącym się w domu przy Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy w pobliżu Broadwayu, miała swoje wzloty i upadki. Isaac robił poprawki ręcznie, czarnym atramentem. Kiedyś napisał akapit na swojej maszynie z żydowską czcionką, a potem przepisał ręcznie po angielsku. Miał swoją „walizeczkę z wycinkami”, gdzie przechowywał kolejne odcinki powieści drukowanych w „Forwerts”, które wydzielał zaufanym współtłumaczom. Podkreślał, że to wersje angielskie, nie zaś te w jidysz, stanowią podstawę dla obcojęzycznych wydań i dlatego właśnie sam bierze udział w tłumaczeniu. W tym mieszkaniu był pokój, który Isaac nazywał Pokojem Chaosu. Leżały tam nie tylko maszynopisy i egzemplarze „Forwerts”, ale i książki, nagrody, odznaczenia, medale, honorowe doktoraty, dyplom literackiej Nagrody Nobla, National Book Award i podobne wyróżnienia. Gdyby nie Alma, która wykopała wąską ścieżkę przez cały ten stos papierzyśk, wejście do pokoju byłoby chyba niemożliwe.

Pewnego razu, kiedy pracowaliśmy nad rękopisem i Almy nie było w domu, Isaac odebrał telefon w pokoju obok. Dzwonił reporter z gazety; usłyszałam głos Isaaca: „Teraz nie będzie już pan do mnie dzwonił, będzie pan dzwonił do Miłosza”. Tego dnia ogłoszono, że poeta Czesław Miłosz został nowym laureatem literackiej Nagrody Nobla. Kiedy Isaac wrócił do pokoju, powiedział: „W tym świecie szybko stajesz się przebrzmiałą sławą”.

Pracowałam również z Isaakiem nad tłumaczeniem *Króla pól* powieści o Polsce w pierwotnym okresie jej historii. Została ona wydana w roku 1988, już w czasie choroby pisarza, i wydawca nie był świadom tego, że jestem współtłumaczem tej książki. Miło mi dowiedzieć się, że uwzględni ten fakt w jej następnym wydaniu.

Pewnego wieczoru na kolacji w naszym domu Alma opowiedziała historię podróży do Düsseldorfu, gdzie miała przyjąć — w imieniu Isaaca — Medal Bubera-Rosenzweiga. Była to opowieść o niedoszłych do skutku połączeniach, odwołanych lotach i nieprzewidzianych komplikacjach, tak niesamowitych, jak te w *Wykładzie* i *Teczce*, opowiadaniach Isaaca o koszmarnych przygodach, które w czasie podróży spotykają żydowskiego pisarza. To był ulubiony temat Isaaca: w życiu, pomimo najlepszych planów, nikt nie może być niczego pewien. „Czasem — powiedział nam — leżę w nocy, nie śpiąc, i zastanawiam się, czy rzeczywiście wygłosiłem ten wykład, czy też wciąż jeszcze jest on przede mną? Rano, kiedy dzwoni przyjaciel, by powiedzieć, że miałem wspaniały wykład — dopiero wtedy jestem pewny”.

Pewnego ranka przyszedłam do jego mieszkania całkowicie zniechęcona i powiedziałam mu, że wszystko — codzienne zajęcia i bezustanne zmagania — wydaje mi się bezsensowne, Isaac westchnął i zgodził się — tak, on też ma takie dni. Ale co robić? Trzeba się z tym pogodzić i pracować nadal. „Chciałabym wierzyć, że to wszystko prowadzi ku czemuś dobremu — powiedziałam — ku czemuś wyższemu”. Isaac też miał taką nadzieję. „Ale kto wie?” — powiedział. „Jesteśmy na tym świecie, by stawać się mądrzejszymi, bardziej litościwymi, dojrzałszymi. Ale gdybyśmy zawczasu wiedzieli, do czego to wszystko prowadzi, jak moglibyśmy się uczyć i dojrzewać?”.

Kiedy pewnego dnia zatelefonowałam, był zadowolony. „Miałem zamiar do ciebie zadzwonić — powiedział — ale przechodziłem straszny kryzys twórczy”. Wybierał się właśnie na swój letni wypoczynek do Szwajcarii i nie był pewien, jak powinna się dalej potoczyć powieść, wciąż jeszcze ukazująca się w odcinkach. Następnego dnia kryzys minął. „Zrozumiałem, jak skończyć tę powieść” — oznajmił. „To taki rodzaj kryzysu, który nie zabija. Przeciwnie, pobudza cię do myślenia, czyni cię twórczym. Sam proces tworzenia to nic innego, jak nieprzerwany ciąg kryzysów”.

Nili Wachtel

Słowniczek

Am Olam — dosł. naród świata; żydowskie towarzystwo powstałe w Odessie w 1881 r. mające na celu zakładanie rolniczych osiedli w USA. Am Olamnicy przeciwni byli zakładaniu osiedli w Erec Israel.

Bericha — tajna operacja mająca na celu przemieszczenie Żydów ze wschodniej, centralnej i południowej Europy do Erec Israel (1944–1948) w ramach „nielegalnej emigracji” do Palestyny.

cadyk (hebr.) — dosł. człowiek sprawiedliwy; charyzmatyczny przywódca chasydzki darzony kultem przez wyznawców ze względu na wiarę w nadprzyrodzoną moc czynienia cudów.

charoset — potrawa sporządzona z posiekanych owoców i orzechów rozartych razem na pastę i osłodzonych winem lub daktylami, spożywana w czasie wieczerzy sederowej w święto Pesach. Macza się w niej gorzkie zioła, aby poprawić ich smak.

chasyd (hebr.) — dosł. pobożny; zwolennik ruchu religijno-mistycznego zapoczątkowanego w XVIII wieku przez Izraela ben Eliezera z Podola zwanego Baal Szem Tow.

cheder (hebr.) — dosł. pokój; tu: tradycyjna elementarna żydowska szkoła religijna, w której dzieci od piątego do trzynastego roku życia uczyły się modlitwy i Biblii.

chumec — chleb kwaszony, którego nie wolno spożywać ani przechowywać w domu w czasie Pesach.

chupa — baldachim, pod którym udziela się ślubu żydowskim nowożeńcom.

czulent — potrawa szabasowa przygotowywana w piątek z przeznaczeniem na sobotę, składająca się z kartofli, fasoli, kaszy, mięsa wołowego oraz przypraw, tradycyjnie spożywana przez Żydów aszkenazyjskich.

diwre Abraham — dosł. słowa Abrahama.

dom nauki (bet hamidrasz) — budynek lub pomieszczenie wykorzystywane do studiów religijnych oraz modlitwy.

drejdl (jid.) — czworoboczny bąk chanukowy, służący dzieciom do gry w czasie ośmiu dni świąt.

dybuk (hebr.) — dusza grzesznego nieboszczyka wstępująca w ciało żyjącego człowieka.

elul — ostatni miesiąc w kalendarzu żydowskim (sierpień/wrzesień).

Gemara — część Talmudu zawierająca komentarze do Miszny. Gemara sformułowana została w języku aramejskim.

gematria — homiletyczna reguła pozwalająca kojarzyć słowa o tych samych wartościach liczbowych.

goj — nie-Żyd

golem — figura ulepiona z gliny przez człowieka i ożywiona za pomocą cudotwórczej formuły; motyw często występujący w literaturze i tradycji żydowskiej. Golem może nieść pomoc Żydom w trudnych czasach, ale potrafi także spowodować zniszczenie.

Hadassa — kobieca organizacja syjonistyczna w USA, zajmująca się głównie sprawami edukacji i dobroczynnością.

Hagada (hebr.) — pouczenie, opowieść; część Talmudu, powstała w II-IV w., składająca się z legend, przypowieści, alegorii, metafor i aforyzmów poetyckich. Nazwą tą określa się również opowieść o wyjściu Żydów z Egiptu, która jest czytana w pierwszy i drugi wieczór święta Pesach; zob. seder.

Haszomer Hacair — ruch młodzieży syjonistycznej mający na celu zakładanie kibuców w Erec Israel.

Hawdala — ceremonia zakończenia szabatu w sobotę wieczorem.

hamantasze — trójkątne, nadziewane ciasteczka, podawane zwykle w święto Purim.

jesziwa — wyższa uczelnia talmudyczna.

jidyszysta — zwolennik uznania jidysz za język narodowy Żydów.

Jom Kipur — jedno z dwóch największych świąt w żydowskim roku obrzędowym; Dzień Pojednania, w Polsce znany także pod nazwą Sądny Dzień; dzień pokuty i postu, obchodzony 10. dnia miesiąca tiszri. Według tradycji los każdego człowieka, który nie został jednoznacznie określony w Rosz Haszana, rozstrzyga się właśnie w Jom Kipur.

kabała (hebr.) — mistyczny, teozoficzno-filozoficzny nurt w judaizmie, oparty na neoplatońskiej teorii emanacji, skierowany przeciwko racjonalistycznym prądom filozoficznym; głosiła m.in. wiarę w magiczną siłę liter tekstu biblijnego oraz w możliwość magicznego działania za pomocą kombinacji liter imienia boskiego.

Kadisz (hebr.) — powszechna aramejska modlitwa codzienna, ale zazwyczaj modlitwa za zmarłych; do jej odmówienia wymagana jest obecność co najmniej dziesięciu mężczyzn.

„**Kananejczycy**” — grupa izraelskich pisarzy i artystów, którzy uważali, że należy stworzyć naród żydowski obejmujący także muzułmanów i chrześcijan; czynnikiem łączącym miał być język hebrajski.

kilisz — rodzaj kartoflanki.

kitł (jid.) — biały strój symbolizujący całun, noszony przez mężczyzn, zwłaszcza w Jom Kipur

koszer (hebr.) — zgodny z żydowskimi przepisami rytualnymi.

kugel — zapiekanka przyrządzana przeważnie z makaronu i jabłek, podawana w święta.

Lechaim (hebr.) — dosł. na życie; toast wznoszony zwykle podczas picia alkoholu.

Mazel tow (hebr.) — dosł. dobry los; słowa wyrażające życzenia i gratulacje składane z okazji radosnego wydarzenia.

Mea Szearim — dzielnica Jerozolimy zamieszkała przez ortodoksów.

melamed — nauczyciel w chederze.

Mesilat Jeszarim — dosł. ścieżka ludzi prawych; dzieło Mojżesza Chaima Luzatto (1707–1746), kabalisty i poety, autora prac z dziedziny etyki.

mezuza — amulet, zwitek pergaminu zawierający cytaty z Tory, znajdujący się w futerale z blachy lub drewna i przybity do framugi drzwi wejściowych u pobożnych Żydów.

minjan — zgromadzenie złożone z dziesięciu Żydów płci męskiej powyżej trzynastego roku życia, niezbędne do odprawienia publicznych modłów w synagodze i niektórych uroczystości religijnych.

Miszna — część Talmudu zawierająca zebrane i zapisane przez rabina Judę w końcu II wieku główne przepisy prawa zwyczajowego ujęte w 63 traktaty.

mincha — modły popołudniowe.

musaryzm — XIX-wieczny, powstały na Litwie ruch religijny, kładący szczególny nacisk na etyczne kształtowanie jednostki.

mycwe tanc — taniec stanowiący część obrzędu weselnego, mający na celu uhonorowanie nowożeńców.

mykwa — łaźnia przeznaczona do kąpieli rytualnych.

nutrikon — mistyczna metoda interpretacji liter danego słowa jako początkowych liter innych słów.

Pesach — święto wolności, upamiętniające wyjście Żydów z Egiptu; przypada na wiosnę.

pompuszkes — rodzaj placków.

Purym (Purim) — radosne święto upamiętniające ocalenie Żydów przed zagładą szykowaną im przez Hamana, biblijnego dostojnika perskiego.

rabin — religijny przełożony gminy żydowskiej, orzekający w sprawach sądowych i rytualnych oraz nadzorujący nauczanie.

Rosz Haszana — Nowy Rok, najważniejsze (wraz z Jom Kipur) święto żydowskie obchodzone jesienią; dzień, w którym decydują się losy człowieka.

Sara, córka Tuwima — XVII-wieczna autorka modlitw, pochodząca z Polski.

seder — uroczysta ucztą paschalna odbywająca się według ustalonego rytuału w pierwszy, a w diasporze także w drugi wieczór Pesach; odczytuje się podczas niej Hagadę, opowieść o wyjściu Żydów z Egiptu.

Sefardyjczyk — Żyd, którego przodkowie wywodzą się z Półwyspu Iberyjskiego.

Straszne Dni — dziesięć dni pokuty od Rosz Haszana do Jom Kipur; decyduje się wtedy los człowieka na następny rok, gdyż Bóg zapisuje go w Księdze Żywota albo Księdze Zmarłych.

Sukot (Sukes) — Święto Szałasów, znane także po polsku pod nazwą Kuczki, albo Święto Kuczek, upamiętniające stawianie szałasów w trakcie wędrówki Żydów przez pustynię. Także uroczystość zakończenia zbiorów.

Syfthe Kohen — dosł. usta kapłana; dzieło autorstwa Sabataja ben Meira ha-Kohena (1621–1662). Jest to komentarz do *Szulchan Aruch*, opublikowany po raz pierwszy w Krakowie w 1646 roku.

szabat (szabes) — cotygodniowe święto zaczynające się w piątek wieczorem, a kończące w sobotę wieczorem.

Szawuot (Szawues) — święto przypadające w siedem tygodni po Pesach; zwane również świętem Nadania Prawa, bowiem zbiega się w czasie z rocznicą objawienia na górze Synaj.

szlemiel (jid.) — głupiec, nieudacznik.

Szma Israel (Słuchaj, Izraelu) — pierwsze słowa jednej z najważniejszych modlitw żydowskich, odmawianej codziennie, a także na łożu śmierci.

szmegege (jid.) — wałkoń, próżniak.

sztetl (jid.) — małe miasteczko; mała prowincjonalna gmina żydowska.

szolem alejchem — dosł. pokój wam; pozdrowienie.

szofar — róg barani, którego dźwięki rozlegają się w bóżnicach w czasie nabożeństwa w dniu Rosz Haszana oraz na zakończenie Jom Kipur; ma też obwieścić przyjście Mesjasza.

sztibl (jid.) — dosł. pokoik; mała synagoga.

sztrajml — męska czapa albo kapelusz obramowane lisim albo innym futrem.

Szulchan Aruch (hebr.) — dosł. nakryty stół; najbardziej autorytatywny kodeks, zawierający najważniejsze rozstrzygnięcia prawne, przepisy religijne i normy praktycznego postępowania; opracowany w XVI w. przez Józefa Karo.

tachles (jid.) — sprawy praktyczne, przyziemne.

Talmud — dzieło religijne, składające się z Miszny i Gemary, zawierające pobiblijny dorobek judaizmu. Został opracowany w dwu niezależnych redakcjach: jerozolimskiej (IV w.) i babilońskiej (VI w.).

tales — białe okrycie (najczęściej w czarne lub niebieskie pasy) z frędzlami (cyces) używane do modlitwy przez żonatych mężczyzn; mały tales — mały szal lub kaftanik noszony przez Żydów stale pod ubraniem już od dzieciństwa, w odróżnieniu od talesu dużego, zakładanego na ubranie w czasie modlitwy wyłącznie przez żonatych mężczyzn.

Tora — w znaczeniu węższym — Pięcioksiąg, w szerszym — nauka, wiedza. Oznacza także rodłały przechowywane w Arce Przymierza.

Wielkie Święta — cykl świąt, na które składają się: Rosz Haszana, Straszne Dni, Jom Kipur, Sukot i Simchat Tora (Święto radości Tory).